

# Korona z jelenich rogów

NORTON ANDRE



calibre 0.9.27

Andre Norton

Korona z jelenich rogow

Przelozyła Ewa Witecka

Tytuł oryginalu Horn Crown

SCAN-dal

Rozdział I

Deszcz padał bez przerwy i przemoczone podrozne oponcze ciążyły nam na ramionach. Ci spośród nas, którzy byli prostymi ludźmi, nigdy nie oddalającymi się zbyt od uprawianych przez siebie pol czy pastwisk znanych już ich przodkom, rozmawiali półgłosem o Placze Geomie i spoglądali na niebo, jakby w każdej chwili spodziewali się ujrzeć w gorze jej pełne łez oczy. Lecz nawet ludzie wykształceni czuli się nieswojo na myśl o nieszczęściach, które przyczyniły się do naszego wygnania. Czy nasi bardowie-medrcy właściwie użyli swojej wiedzy? To za ich sprawą przeszliśmy przez Brame dwor za dworem, klan za klanem, nie tylko pozostawiając za sobą naszą ojczyznę, ale również część wspomnień. Przez jakiś czas zastanawialiśmy się nawet, skąd i po co przybyliśmy do tej zalewanej deszczem ponurej krainy. Lecz w miarę jak podążaliśmy wciąż dalej i dalej na północ, coraz rzadziej padało to pytanie. Zresztą wszyscy wiedzieliśmy, że w porzuconej ojczyźnie czekał nas straszny los. Dlatego właśnie Mieczowi Bracia przeprowadzili rekonesans w tym obcym kraju i cała ich kompania chroniła nasze tyły, gdy przechodziliśmy przez Brame. Miedzy nimi byli Laudat i Ouse. To oni śpiewając otworzyli przejście między światami i potem je zamknęli, bijąc w szamanskie bebnę, by uniemożliwić nam odwrot i zarazem uchronić przed pogonią.

Zwiadowcy spotkali się z nami po tej stronie Bramy. Spędzili tu niemal cały miesiąc księżycowy wypatrując zagrażających nam niebezpieczeństw. Opowiedzieli nam o rzeczach dziwnych i zagadkowych. Mówili bowiem o wysokich wzgórzach i głębokich dolinach zamieszkałych niegdyś przez ludzi - albo istoty do ludzi podobne. Stwierdzili wszakże, iż obecnie ta kraina jest wyludniona, jakkolwiek pozostały w niej budowle wzniesione przez poprzednich mieszkańców.

Nie znaczy to wcale, iż będzie tu całkiem bezpiecznie. Wręcz przeciwnie, napotkali wiele miejsc, w których obudziły się i trwały wrogi ludzom siły. Miejsc tych powinniśmy unikać jak ognia. Mieczowi Bracia powiedzieli nam też, że znajdziemy tu spragnioną pluga ziemię w dolinach, a porośnięte wysoka trawa zbocza czekają na nasze owce, bydło i konie, niosące teraz toboły i ciągnące wyladowane po brzegi wozy.

Krewni każdego wielmoży stanowili grupę, skupioną wokół starannie zapakowanego dobytku. Starcy i dzieci jechali na wozach albo na najspokojniejszych wierzchowcach, natomiast konni druzynnicy i wasale mieli w razie zagrożenia natychmiast otoczyć ich

murem ciał.

Posuwaliśmy się do przodu bardzo powoli, by zbyt nie przemęczać owiec i bydła. Myślałem też, że ciążyła nam obcość tej krainy, może dlatego, że po drodze mijaliśmy jakieś dziwne kamienne kolumny i budowle i że nie powitały nas ciepłe promienie słońca.

Moim panem był Garn i nasz dwór nie dorównywał pozostałym ani bogactwem dobytku, ani liczbą wasali. Nasze stadko owiec łatwo dawało się policzyć i musieliśmy strzec tylko jednego byka i pięciu krow. Cały ruchomy dorobek dawnego życia wypełniał trzy wozy. Młode kobiety jechały konno, a wiele z nich trzymało jedno dziecko przed sobą, drugie zaś za sobą, uczezione matczynej paską.

Jako bliski krewny mojego pana, ale nie jego dziedzic (moj ojciec i ojciec Garnowy byli braćmi), nosiłem tarczę krewniaka i dowodziłem czterema kusznikami. Byłem jeszcze bardzo młody i poważnie traktowałem swoje obowiązki. Dlatego jadąc na czele postępujących za sobą w pewnych odległościach zbrojnych jeźdźców, trzymałem się prawej flanki klanu i z nateżeniem wypatrywałem wśród wzgórz najmniejszego nawet poruszenia.

Dyskutowaliśmy - a raczej zrobili to nasi panowie po przejściu przez Brame - nad celowością podróży tą drogą. Jednakże Mieczowi Bracia zareczyli, że wiedzie ona prosto przez opustoszałe okolice i że w pobliżu nie spotkamy żadnych budowli nieznanego ludu.

Była to prawdziwa droga - biegła prosto jak strzelił, a kamienne bloki, którymi ją wybrukowano, tu i owdzie przeswitywały między porośniętą roślinnością. Nasze wozy jechały po niej znacznie łatwiej, niż gdybyśmy wyruszyli na przełaj.

Nie tylko deszcz zasłaniał przed nami tę nową dla nas choć w istocie starożytną krainę. Strzępy mgły wisiały nad szczytami wzgórz po obu stronach drogi. Czasami ta mgła traciła swoją zwykłą, szarobiałą barwę i zaczynała połyskiwać błękitem albo robiła się ciemnoszara, a wtedy budził się w nas niepokój.

Jeden z Mieczowych Braci przemknął obok mnie do czoła kolumny. Przyglądałem mu się z nieukrywaną zazdrością. Bracia nie należeli do żadnego klanu, gdyż składając Mieczową Przysięgę wyrzekali się wszelkich więzów rodzinnych. Ich mistrzostwo we władaniu mieczem, luką i krotką włócznią było powszechnie znane i mieli oni wśród nas wielki posłuch nawet bez uciekania się do oręża. Jednak od klanów niczego nie żądali, zaopatrując się w żywność z własnych stad i trzód, którymi zajmowali się piesi Bracia.

Wielu młodzieńców marzyło o wstąpieniu do Mieczowego Bractwa. Lecz dla większości marzenie to nigdy się nie ziszcilo, ponieważ Bracia nie zmieniali liczebności swego oddziału, przyjmując nowicjuszy tylko w razie śmierci jednego z towarzyszy.

Tuż za Mieczowym Bratem przyklusował Garn w asyście dwóch drużynników; robił przegląd jeźdźców strzegących flank naszego klanu. Był człowiekiem niemal równie surowym i ponurym jak okolica, przez którą jechaliśmy, czy ołowiane niebo w gorze.

Nieskory do rozmowy, w mig zauważał najmniejsze choćby zaniedbanie w obowiązkach i z łatwością potrafił dojrzec źródło ewentualnych kłopotów. Kiedy zwrócił twarz o orlich rysach w stronę mojego oddziałku, mimo woli sięgnąłem mocniej wodze. Spodziewałem się, że albo skomentuje sposób, w jaki ustawiłem te części jego sil, albo sprawdzi tylną straż, którą dowodził jego syn Everad. Zamiast tego Garn zrownał bieg swego konia z moim, aż jechaliśmy strzemię w strzemię, eskorta zaś nieznacznie wstrzymała swoje wierzchowce.

Nie spodziewałem się po nim żadnych uwag o okolicy, brzydkiej pogodzie czy przeszłości. Sam po prostu milczałem, przypominając sobie pośpiesznie wszystko, co w ostatnich dniach mogło mu się nie spodobać w moim postępowaniu. Garn omiotł spojrzeniem wzgórze, między którymi biegła droga - nie sądziłem jednak, by próbował dojrzec ostatnich jeźdźców z tylnej straży klanu Rarasta, który jechał przed nami.

-Jest tu dobra pasza - powiedział.

Mój pan potrafił ocenić wartość ziemi i wyciągnąć z niej jak największy pożytek. Znałem wszystkich członków naszego klanu, wiezi, które ich ze sobą łączyły, ich wady i zalety, wiedziałem, co lubią, a czego nie. Znałem swoje miejsce wśród krewnych Garna, przeniósłem przez Brame wyćwiczone umiejętności władania bronią - nie wiedziałem jednak, dlaczego przybyliśmy do tego świata i jakich niebezpieczeństw przez to unikneliśmy.

-Wieczorem po rozbiciu obozu odbedziemy naradę. Mieczowi Bracia sprawdzili się w tym rekonesansie. Ten kraj jest ogromny. Los może tu sprzyjać nawet tym, którzy przedtem nie osiągnęli wielkości.

Nadal szukałem w myślach przyczyny tej nieoczekiwanej szczerości. Zdumiałem się tak, jakby odezwał się do mnie mój stąpający ciężko koń. Mimo tego oszłomienia, zrozumiałem znaczenie słów Garna. Ogromny kraj, kraj stojący otworem przed osadnikami. Klanów było prawie sto i większość z nich przewyższała nas liczebnie zarówno w ludziach, jak i w inwentarzu, tym wszystkim, co zapewniało pozycję wśród wielmożów. Lecz żaden z nich nie chciałby osadzić swoich wasali w takim rozproszeniu, by trudno przyszło im się kiedyś bronić. Dlatego istniała szansa, że nawet taki mały klan jak nasz otrzyma dużo ziemi.

Garn zaś mówił dalej:

-Na naradzie będą obecni wszyscy krewni i odbedzie się ciągnięcie losów. Zgodziliśmy się co do jednego - że tylko raz będzie można wybierać: albo ziemia na wybrzeżu, albo w głębi kraju. Siwen, Urik, Farkon i Dawuan już postanowili osiedlić się nad morzem. Reszta zda się na Los. Myśle... - zawahał się i rzekł: - Kiedy zatrzymamy się w południe, chciałbym porozmawiać z tobą, z Hewlinem, Everadem oraz ze Stigiem.

Wcale nie słuchając, jak wyrażam zgodę, zawrócił nagle wierzchowiec i pojechał do Everada. Wciąż nie mogłem się otrząsnąć ze zdziwienia. Zazwyczaj sam podejmował decyzje i wcale nie potrzebował się radzić nawet swego dziedzica. Najbardziej zdumiał

mnie, że w ogóle chciał zasięgnąć rady Stiga, przywódcy rolników, którzy nie byli jego krewnymi.

Co miał na myśli? Dlaczego wspominał o ziemiach na wybrzeżu? W przeszłości nie mieszkaliśmy nad morzem. i nie zwykliśmy wyrzekać się dawnych obyczajów. Doszedłem do wniosku, że przybycie do nowego świata może stać się przyczyną wielkiej zmiany w naszym trybie życia.

Poranna mżawka rzedła i przed południem zaświeciło blade słońce. W jego blasku trochę się rozwił ponury cień, który czynił okolice tak obca w naszych oczach. Nie odprowadzając nawet wozów na pobocze, rozbiliśmy oboz, tam gdzie się zatrzymaliśmy. Wszystkie klany skupiły się na niej niby paciorki na zbyt długiej nici.

Z naszego pierwszego wozu wyjęto przenosne piecyki z zarzaczymi się węglami, których tak starannie dogladano podczas podróży, i dorzucono węgla drzewnego tyle tylko, by nieco podgrzać wzmacniający ziołowy napój. Garn nie powinien na mnie czekać, przelknąłem więc pośpiesznie swoją porcję sucharów.

Siedział nieco z boku na stolku i skinieniem ręki polecił nam usiąść na słomiance rozeslanej przed nim. Oprócz Everada i Stiga był tam również Hewlin, najstarszy z drużynników, o twarzy niemal równie ponurej jak oblicze jego pana.

-Chodzi o wybór ziemi dla nas - zaczął, gdy tylko usiedliśmy. - Rozmawiałem z Quaine'em, który ze wszystkich Braci najlepiej poznał wybrzeże. - Garn wyjął zza pasa cienką rurkę, wydobyl z niej kawałek skóry i rozwinał go przed nami.

Zobaczyliśmy na nim jakies ciemne linie. Wila się tam gruba czarna linia, z nią łączyły się po jednej stronie trzy ciensze, równie krete. Dwa zagłębienia tej grubej linii już zaznaczono dużymi krzyżami i na nie wielmożna wskazał najpierw.

-To brzeg morza, tak jak zobaczył go Quaine. Te tutaj to duże zatoki. Ziemię wokół nich weźmie dwóch spośród tych, którzy już oświadczyli, że pragną się osiedlić tylko na wybrzeżu. - Przesunął dalej palec, aż uderzył nim w znacznie mniejsze zagłębienie.

-Tutaj wpada rzeka, wprawdzie mniejsza od innych, ale ma dobrą wodę i wcześniej przepływa przez dużą dolinę. Rzeka łatwo jest podróżować i wieźć wełnę na jarmark...

Wolne! Pomyślałem o naszym żalosnym małym stadku owiec. Co mielibyśmy sprzedawać? Sami wykorzystywaliśmy całą ustrzyżoną wełnę. Kobiety ją tkaly i szyły z niej odzież dla klanu. A starczało tylko na nową spódnicę lub kaftan raz na trzy, cztery lata.

-Czy właśnie ten teren chciałbyś wybrać, panie, gdyby los ci go wyznaczył, a nikomu innemu jeszcze go nie przydzielono? - Everad odważył się wypowiedzieć głośno myśl, która nam wszystkim przysłała do głowy.

-Tak, odparł krotko Garn. Sa tez inne sprawy.. - Urwal, a nikt z nas nie smial zapytac, co to za sprawy.

Spojrzałem na linie na kawalku skory i sprobowałem sobie wyobrazic to wszystko - ziemie i morze, rzeke i szerokie doliny, czekajace na nasze plugi, nasze male trzody i stada. Lecz linie pozostaly narysowanymi na skorze liniami i poza nimi niczego nie zobaczyłem.

Garn nie czekal ani na nasze rady, ani na uwagi. Zreszta nie spodziewalem sie tego. Wezwal nas tylko po to, zebysmy poznali jego wybor i podjeli wlasciwe przygotowania, oczywiscie jezeli przy ciagnieciu losow wszystko pojdzie po jego mysli.

Wskazana przezen rzeka lezala daleko na polnocy, dalej niz zatoki, ktore wybrali wielmoze pragnacy osiedlic sie na wybrzezu. Zastanowilem sie, ile dni wedrowki nas od niej dzieli, gdyz wiekszosc podrozowala pieszo. Byla wiosna i jezeli mielismy zebrac w tym roku jakiegokolwiek plony, powinniśmy jak najpredzej zasiac drogocenne ziarno, ktore stanowilo polowe ladunku naszego ostatniego wozu. Nie wiedzielismy przeciez, jak chlodne bywaja tu zimy, kiedy nadchodza i ile czasu dojrzewaja rosliny. Zbyt dluga podroz oznaczalaby glodowy przednowek, widmo nawiedzajace kazdy klan. Jednak to Garn mial podjac decyzje, a my musieliśmy mu ufac, gdyz zaden suzeren nie sprowadzilby na swoich ludzi nieszczescia, jesli mogl do niego nie dopuscic.

Zebralismy sie na nocna narade w srodku obozowiska, w poblizu dlugiego sznura wozow i uzywanych do przewozu ludzi furgonow pana Farkona. Jego wasale rozpalili ognisko, wokol ktorego zasiedli nasi panowie, a za nimi ich krewni. Laudat i Ouse, ciasno okreceni szarymi oponczami, jakby wilgoc dokuczala im bardziej niz innym, oraz Wavent, Kapitan Mieczowego Bractwa Na Te Dekade, ulokowali sie w centrum kregu. Laudat postawil tuz przed Wawentem brazowa mise.

Obaj Bardowie wygladali na wychudzonych i wyczerpanych, twarze mieli szare i strudzone. Otwarcie i zamkniecie Bramy miedzy swiatami musial uch smiertelnie zmeczyc, a jednak przybyli na narade. Ale to Wavent pierwszy zabral glos.

Ponownie opisal nasza nowa ojczyzne, przypomnial, iz nie ma tu rownin, teren jest gorzysty, zryty dolinami. Jedne z nich sa rozlegle i porosniete bujna roslinnoscia, inne zas waskie i kamieniste. Opowiedzial tez o zaznaczonych na mapie Garna rzekach i o duzych, nadajacych sie na porty zatokach.

-Kapitanie - zabral szybko glos pan Farkon - zauwazyłem, ze niewiele powiedziales o roznych wielce osobliwych miejscach, na ktore natrafiono. O Dawnym Ludzie tez sie nie rozwodziles. Czy ktos z nich tu pozostal, a jesli tak, dlaczego nie bronia orezem swoich ziem?

Wśród zebranych przeszedł szmer. Ouse wyprostował się, jakby chciał już wstac i odpowiedziec, lecz powstrzymal się i pozostawil to Wawentowi.

-Tak, kiedyś był to ludny kraj - przyznał Kapitan Mieczowych Braci. - Ale jego mieszkańcy go opuścili. Znaleźliśmy to, co po nich pozostało. W większości są to bezpieczne, przyjazne ludziom miejsca. Nie chciałbym jednak wprowadzać was w błąd, panowie, są tu też enklawy zła. Rozpoznacie je po smrodzie, jaki od nich bucha. Powinnście również omijać wszystkie napotkane budowle czy ruiny. My, Mieczowi Bracia, wielokrotnie przemierzając te krainy znaleźliśmy tylko dzikie zwierzęta. Nie napotkaliśmy żadnych ludzkich śladów. Nikogo tu nie ma i nie wiemy, dlaczego.

Pan Rolfin pokręcił głową. W blasku ognia zabłysły tuż nad jego oczami odłamki szlachetnego kamienia czerwonej barwy osadzone w helmie.

-Nie wiecie, dokąd odeszła tamta rasa - powtórzył. - Przecież w ten sposób mogą nam zagrozić nieznani i niewidzialni wrogowie.

Znow szmer przeszedł wśród wielmożów. Tym razem Ouse wstał, niecierpliwym ruchem ramion odrzucił na plecy kaptur oponczy i wszyscy zobaczyli jego siwe włosy i chuda, pomarszczona twarz.

-Ten kraj jest pusty - powiedział spokojnie. - Od chwili przybycia nie wyczuliśmy niczego, co można by określić mianem wroga. Tej nocy, zanim zebraliście się na naradzie, panowie, Laudet i ja zaspiewaliśmy ochronne zaklęcie i zapaliliśmy pochodnie Odwiecznego Plomienia. Plonęły jasno i nic nie zareagowało na nasze wezwanie. Wprowadźcie się tu ślady dawnych mocy nieznanego rodzaju, ale Plomien nie może palić się tam, gdzie zagraża wojna i czai się zło.

Pan Rolfin odchrząknął. Wszyscy wiedzieliśmy, że zawsze wypatrywał niebezpieczeństw w nowym miejscu, lecz tym razem nie mógł wysunąć żadnych zastrzeżeń. Gdyby zagrażały nam złe moce, Odwieczny i Jedyne Plomien na pewno by zgasł. Kilku moich sąsiadów odetchnęło z ulgą.

Później Wavent noga pchnął przed siebie misę z brazy, którą przygotował Laudet. Następnie ją podniósł i trzymał oburącz.

-Tutaj, panowie z High Hallacku, są losy, które wyciągniecie - przemówił uroczysto, jakby wygłaszał obrzędową formułę. - W blasku Jedyne Plomienia wszyscy wodzowie klanów są sobie równi. Tak było dawniej i tak powinno być teraz. Zdajcie się na los szczęścia, gdyż jutro dotrzemy do pierwszej z wielkich dolin i jeden z was będzie mógł zakończyć tam podróż i osiedlić na stałe.

Trzymając misę nieco powyżej głów siedzących wokół ogniska wielmożów, skierował się w prawo. Wodzowie sięgali do niej po kolei i wyciągali skraweczki skóry, a wraz z nimi swoją przyszłość, wszyscy jednak wiedzieliśmy, że później będzie można przeprowadzić zmiany, oczywiście za zgodą stron.

Ouse odczekał, aż Wavent obejdzie znaczną część kregu, zanim ruszył za nim z mniejszą

misa z lekko zasniedziałego srebra. Podsunął ją garstce wodzów, którzy nie wzięli udziału w pierwszym losowaniu. Teraz oni mieli wybrać nadmorskie doliny. Garn, tak jak nam zapowiedział, nie ciągnął losu z misy Wawenta. Sąsiedzi spojrzeli na niego z zaskoczeniem. Dopiero gdy dotarł do niego Ouse, sięgnął żywo do srebrnej miski, ale jego twarz nawet nie drgnęła.

Nikt nie spojrział na to, co przyniósł mu Los, wszyscy czekali na koniec losowania. W misie Wawenta pozostało jeszcze kilka zwitków, gdy Ouse już odwrócił swoją miskę dnem do góry i usiadł na dawnym miejscu.

Kiedy Kapitan Mieczowych Braci stanął przy ognisku, każdy z losujących rozwinał swój skrawek skóry i spojrział na napis runiczny. Mieczowi Bracia razem z Bardami sporządzili losy, zanim jeszcze przeszliśmy przez Brame. Każdy oprócz lokalizacji zawierał wskazówki dla podróżnych i osadników.

Chcieliśmy wiedzieć, co przypadło Garnowi, ale nasz pan nie odwrócił się, ani nie pokazał krewnym wyciągniętego losu, tak jak zrobiło to wielu suzerenów. Podniósł się gwałtownie i już znaleźli się tacy, którzy chcieli dokonać zamiany: jedni pragnęli więcej pastwisk, inni zaś ziemi uprawnej. Czekaliśmy cierpliwie, aż w końcu Garn powiedział:

-Plomien był dla nas łaskawy. Mamy ziemię nad tamtą rzeką.

Taki szczęśliwy traf graniczył z nieprawdopodobieństwem. Pomyślałem, że tym razem Losowi, na którym nigdy nie można polegać, dopomógł jakiś potężniejszy od niego sojusznik.

Z mroku wyszedł i zbliżył się ku nam jeden z Mieczowych Braci. Był to Quaine, który opowiedział naszemu wodzowi o tej nadmorskiej dolinie. Podszedł teraz do Garny i zapytał:

-Czy sprzyjało ci szczęście, panie?

Garn wstał, pokazując rozciągnięty w dłoniach kawałek skóry. Obrzucił Quaine'a jednym z tych znanych nam przenikliwych, prawie oskarżycielskich spojrzeń, którymi wymuszał na nas posłuszeństwo. Lecz Quaine nie był ani jego sługą, ani krewnym. Stał tak spokojnie, jakby pytał o pogodę.

Był rówieśnikiem Wawenta, a więc tylko o kilka lat młodszy od Garny, i przez ostatnią Dekadę pełnił funkcję Kapitana Mieczowych Braci. Zachował jednak smukłe jak u młodzieńca ciało i nie miał siwych włosów. Poruszał się z gracją wojownika, który posiadał wszystkie sekrety szermierki.

-Mam je - odparł krótko Garn. - Ale czeka nas długa podróż. - Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu, a mimo to wielmożna wpatrywał się w Quaine'a, jakby czekał na inne, znacznie ważniejsze słowa Mieczowego Brata.



Ten jednak milczał. Po chwili Garn oderwał od niego wzrok i zapatrzył się w płomienie. Nigdy nie zdradzał swych uczuć, ale w owej chwili zadałem sobie pytanie, czy rzeczywiście był taki zadowolony z wyników losowania, jak chciał, żebyśmy wierzyli. Zbudziły się we mnie lekkie wątpliwości, czy było to li tylko szczęście? Z drugiej strony ani Wavent, ani Ouse nie uciekliby się do oszustwa na korzyść nawet najpotężniejszego z wodzów, Garn zaś był jednym z ostatnich pod względem bogactwa czy liczebności rodu.

-Ci, którzy jada nad morze, powinni podróżować razem - odezwał się wreszcie Quaine. - Wprawdzie jest inna droga, która prowadzi najpierw na wschód, a potem na północ, lecz jest znacznie starsza od tej tutaj i trudno będzie po niej jechać. Jeżeli wyruszyacie razem, w razie potrzeby będziecie mogli przyjść sobie z pomocą.

Garn skinął głową i wsunął zwitek skóry do sakiewki przy pasie. Później wymienił pytającym tonem tylko cztery imiona:

-Siwen, Urik, Farkon i Dawuan?

-Również Milos i Tugness - dodał Quaine.

Teraz Garn wytrzeszczył na niego oczy, ja zaś sięgnąłem do miecza, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, dopóki moje palce nie zacisnęły się na zimnym metalu. Mimo że większość naszych wspomnień uległa zatarciu podczas przejścia przez Brame, to niektóre z nich pozostały. Tugness nigdy nie był przyjacielem Garn. Nasze klany dzieliła zadawniona nienawiść. Kiedyś oznaczało to rozlew krwi, obecnie zaś ograniczało się do tego, że nie składaliśmy im Przyjacielskich wizyt ani nie uczestniczyliśmy w tych samych zgromadzeniach co oni.

-Gdzie? - zapytał krótko Garn.

-Nie pytałem - odparł Quaine wzruszając ramionami. - Twoja dolina leży najdalej na północy, jest ostatnia, do której dotarliśmy prowadząc zwiad. Tugness na pewno osiadł na południe od niej.

-To dobrze.

-Opuszczymy dotychczasową drogę przed zachodem słońca - ciągnął Quaine. - Będzie dowodził Bracmi towarzyszącymi grupie udającej się nad morze.

Garn skinął głową, odwrócił się na piecie i bez pożegnania skierował się do naszego obozu oddalonego nieco od miejsca narady. Poszliśmy za nim. W drodze nie odezwał się do nas ani słowem.

Wprawdzie całodzienna podróż bardzo mnie zmęczyła - zwłaszcza zaś konieczność dostosowania tempa konia do powolnych obrotów kół wozów - ale gdy określiłem się opanczy i oparłem głowę o siodło, nie zasnąłem od razu. Wsłuchiwałem się w ciche odgłosy

docierające z obozu. Jakies dziecko zanosilo sie od placzu w stronie, gdzie ulokowano kobiety - prawdopodobnie byl to chory wnuk Stiga. Slyszałem też ruchy spiacego bydła i od czasu do czasu czyjes sapnicie lub chrapanie. Garn wszedł do swego malego namiotu. Najpierw blysnęła iskra, gdy krzesal ogień, a później zapłonelo słabe światło lampy. Może znow przyglądał sie losowi, który wyciągnął z miski Ousego.

Początkowo myślałem z niepokojem, że szczęście zbyt nam sprzyja. Nieoczekiwane powodzenie Tugnessa jakos to zrownowazyło. Jeżeli nasza przyszła posiadłość graniczyła z jego włością, będziemy musieli jakos się z nim pojednać, a nie utrzymywać niepewny rozejm. Przybyliśmy do nieznanego kraju, porzuconego przez jego dawnych mieszkańców i nikt z nas nie wiedział, dlaczego to zrobili. I choć Bardowie i Mieczowi Bracia podkreślali, że nie ma tu wrogów, w miarę jak jechałem, coraz wyraźniej wyczuwałem panującą wokół samotność i opuszczenie. Może rzeczywiście będziemy potrzebowali pomocy sąsiadów, nawet jeśli beda od nas oddaleni o dzień drogi. W takich czasach wszyscy mieszkańcy Hallacku powinni się zjednoczyć i zapomnieć o dawnych sporach i wrogosci.

Nie, myliłem się, to nie był Hallack. Ten pozostał za Bramą, na zawsze dla nas stracony. Zaczęliśmy nazywać naszą nową ojczyznę High Hallackiem, ponieważ był to kraj gorzysty. I te nazwy zachowają w pamięci bardowie.

Latarnia w namiocie Garna zgasła, a ja wciąż nie mogłem zasnąć. Spojrzałem na niebo szukając wzrokiem gwiazd. Przeniknął mnie zimny deszcz i włosy mi się zjeżyły. Nie zobaczyłem żadnego znanego od dzieciństwa gwiazdozbioru. Gdzie się podziały Strzala, Byk, Rog Mysliwego?!

Deszcz przestał padać wiele godzin temu i chmury się rozeszły. Na tym niebie świeciło wiele gwiazdnych gromad - ale wszystkie były obce! Dokąd zawędrowaliśmy? Wszystko, co nas otaczało, wydawało się na pozór takie same - ziemia, trawa, drzewa i krzaki. Tylko gwiazdy się zmieniły. Przybyliśmy do kraju, w którym będziemy mogli żyć, ale znaleźliśmy się bardzo daleko od naszej ojczyzny.

Leżałem drżąc na całym ciele. Nie samo przejście przez Bramę, lecz dopiero widok obcych gwiazd uzmysłowił mi, że naprawdę byliśmy wygnancami i że możemy liczyć tylko na siebie. Co najbardziej mogło nam zagrozić w najbliższej przyszłości? Zastanawiałem się nad wybraną przez Garna nadmorską doliną i jakąś cząstkę mojej istoty ogarnęło podniecenie na myśl o poznawaniu nowych ziem. Równocześnie jednak poczułem obawę przed nieznanymi niebezpieczeństwami, aż w końcu, zmęczony jałowymi domysłami, zapadłem w sen.

## Rozdział II

Już dawno pozostawiliśmy za sobą wielkie doliny, w których osiedliły się klany Farkona, Urika i Dawuana. Na prawo od nas szumiało wciąż morze. Coraz częściej natykaliśmy się na resztki tego, co zbudowali dawni mieszkańcy tej krainy: kamienne wieże, otoczone

kolumnami brukowane place, stosy nie ociosanych glazow czy wysokie monolity. Czasem trafialy sie nawet cale odcinki starozytnej drogi, ulatwiajac nam znacznie podroz. Ciekawe, jacy byli owi ludzie, ktorzy tak mozolnie ustawiali jeden kamien na drugim, i co ich do tego sklonilo? Quaine i jeszcze trzech Mieczowych Braci co rusz odlaczali sie od kolumny, przeprowadzali szybki rekonesans i co jakis czas wskazywali nam kolejne ruiny, ostrzegajac przed niektórymi, gdyz nie ufali wydobywajacym sie z nich emanacjom.

Minelismy tez największe i najżyźniejsze z nadmorskich ziem. Przez dwadzieścia dni wędrowalismy powoli na polnoc. Dwukrotnie musielismy oddalic sie od morza prawie na dzien drogi w glab ladu, by poszukac brodu na rzece. Na szczescie obie rzeki plynely spokojnie i leniwie - przynajmniej o tej porze roku - tak ze przeprawilismy sie przez nie bezpiecznie.

W dwudziestym czwartym dniu podrozy opuscili nas ludzie pana Milosa, skrecajac na zachod do ujscia waskiej doliny. Dolina ta nie plynela zadna rzeka, musielismy wiec cofnac sie na piaszczysty brzeg morza, zeby okrazyc dwa lancuchy stromych wzgorz, ktore jej strzegly. Pozegnalismy sie, przyrzekajac sobie solennie spotykac sie w czasie swieta plonow. Mysle jednak, ze wszyscy, bez wzgledu na to, czy ruszali w dalsza droge, czy pozostawali na nowych ziemiach klanu, poczulismy sie bardzo samotni. Zrozumielismy bowiem wtedy, ze oto ulega zerwaniu jeszcze jedna pradawna wiez i ze kiedyś moze przyjdzie nam tego gorzko zalowac.

Podczas tej dlugiej wędrowki zblizylismy sie do siebie, chociazby dlatego, ze bylismy sami w obcym kraju. Wydawalo sie nawet, ze znikla wszelka wrogosc miedzy nami a Tugnessem i jego klanem. Wspolnie zdejmowalismy pakunki z wozow, by ulatwic im przeprawe przez rzeka, i przewozilismy na siodlach owce nie baczac, czy maja na uszach znaki naszego Domu, czy tez nie. I chociaz rozbijalismy na noc własne obozy, odwiedzalismy sie czesto.

Podczas jednej z takich wizyt zobaczylem po raz pierwszy smukla jak brzoźka dziewczynie jadaca na kosmatym kucyku. Wierzchowiec cierpliwie niosl na grzbiecie swoja pania i jej dwie pekate skorzane sakwy, ale gdy tylko zblizyl sie do niego ktos obcy, wywracal oczami, strzygl uszami i szczerzyl zolte zeby. Mimo pozorow slabosci, dziewczyna ta byla silna jak chlopiec i wykonywala swoje obowiazki z kompetencja, ktora nie miala w sobie nic z rutyny wiesniaczki ani z manier wielkiej damy.

Juz trzeciego dnia podrozy zauwazylem, ze rozni sie od innych kobiet, ktore jechaly konno i pomagaly mezczyznom w miare swych sil. Nieznajoma towarzyszyła maledu furgonowi, niewiele wiekszem niz fury, ktorymi rolnicy woza nadwyzki plonow na jarmark. Uwiązane z tylu myszate kucyki byly tej samej barwy co pokrycie furgonu. Nasi ludzie od dawna zdobili malowidlami wozy i furgony, tego jednak nikt nie przyozdobil, przez co bardziej rzucal sie w oczy.

Mial on plandekę z cienkiej, dobrze wyprawionej skory, ktora mocno przywiazano do drewnianych palakow. Powozila nim starsza kobieta ubrana w spodnice i oponcze takiej

samej barwy jak reszta wyposażenia. To dzięki tej niezwyklej u nas szarosci domysliłem się, że stara kobieta jest czarownica.

Ta para wiesniaczek najwyraźniej nie należała do żadnego klanu. Raz zauważyłem, że Ouse zbliżył się do ich furgonu i przez jakiś czas jechał obok niego rozmawiając z czarownicą; wtedy dziewczyna na koniu ustąpiła mu miejsca. Sam fakt, iż Bard tak wyróżnił tę Madra Kobiety, świadczył, że była ona znana w gronie obdarzonych wewnętrzną wiedzą, chociaż odziewała się skromnie i podróżowała nie rzucając się w oczy.

Początkowo myślałem, że porzucą nasz szlak wraz z któryś z wielkich panów. Madra Kobieta znalazłaby bez wątpienia zajęcie w licznej swicie, lecząc choroby i usuwając zagrożenia dla duszy. Lecz nasza grupa wciąż się zmniejszała, a one pozostawały z nami.

Zwykle nie zadaje się pytań dotyczących czarownic. Madre Kobiety nie czczą Odwiecznego Plomienia i nikt tego nie kwestionuje ani przeciw temu nie protestuje. W dodatku mogą wedrować, dokąd zechcą, gdyż służą wszystkim bez wyjątku. Wielu żołnierzy i wiele kobiet w pogoju miało powody, żeby je błogosławić i dziękować za udzieloną przez nie pomoc.

Jeśli pragnie się zdobyć jakieś wiadomości, w końcu się je zdobywa. Dowiedziałem się więc, że dziewczyna nazywa się Gathea i że jest podrzutkiem. Czarownica wzięła ją dzieckiem na wychowanie i uczyniła swoją służką i uczennicą. Dziewczyna wiodła inny tryb życia niż pozostałe kobiety i nie należało osadzać jej zachowania według wiejskich lub dworskich obyczajów.

Gathei nie można było nazwać urodziwą; zbyt szczupła, opalona, miała za ostre rysy twarzy. A jednak było w niej coś, co zwracało uwagę mężczyzn, może swoboda, z jaką się poruszała. W każdym razie utkwiała mi w pamięci i nawet zastanawiałem się, jak wyglądałaby w odświetnej drugiej sukni i tabardzie, zamiast krótkiego kaftana i spodni, gdyby rozpuściła ciasno owinięte wokół głowy warkocze i wplotła w nie srebrny lancuszek z dzwieczącymi słodko dzwoneczkami jak Lynne córka Garna. Z kolei nie umiałbym sobie wyobrazić Lynne przewożonej przez rzekę wierzgająca owce, z jedną ręką wczepioną w welne, druga zaś klepiąciami ponagłająca kucyka do szybszego biegu.

Z zaskoczeniem przyjąłem, że czarownica i jej służka nie odjechały także z ludźmi pana Milosa. Nie przypuszczałem bowiem, by związały się z klanem Tugnessa. Nie obozowały z nimi w nocy, ale nieco na uboczu rozpałaly własne ognisko. Tak nakazywał zwyczaj, ponieważ Madre Kobiety nie należały do żadnej społeczności. Wybierały sobie miejsce, gdzie mogły uprawiać ziola i dokonywać własnych obrzędów. Niektóre z nich należało zachować w tajemnicy i chronić przed wzrokiem niepowołanych.

Na piaszczystej plaży wylądowane wozy jechały wolniej niż zwykle. Tej nocy założyliśmy oboz na brzegu morza, pomiędzy wodą a wysokimi skałami klifu. Większości z nas morze wydawało się dziwne i przyglądaliśmy mu się niepewnie. Tylko dzieci poszły szukać

muszelek tuż nad wodą i stały z zadartymi głowami obserwując rozkrzyczane ptaki łowiące w morzu ryby.

Dopiero po rozbiciu obozu znalazłem wolną chwilę i z ciekawością zbliżyłem się do brzegu. Fala ścigała fale, lizac brzeg i umierając na nim. Głęboko odetchnąłem rześkim, ostrym powietrzem. Morze w oddali ciemniało i zdumiała mnie odwaga ludzi pływających po tym bezmiarze w drewnianych lupinach, które były dla nich tarczą i mieczem chroniącymi przed gniewem żywiołów.

Wśród nabrzeżnych skał dostrzegłem błysk wody. Wysokie glazy otaczały małe sadzawki wciąż zasilane przez morskie fale. Pływających w nich istot nigdy dotąd nie widziałem. Zaciekawiony przykucnąłem, żeby lepiej się przyjrzeć tym dziwadłom. Śmigaly w przezroczystej wodzie, może kryły się pod kamieniami. Wszystkie były myśliwymi i każda z nich na swój sposób szukała pożywienia.

Usłyszawszy plusk odwróciłem się i zobaczyłem Gatheę. Z podwiniętymi do kolan spodniami szła bosą przez niewielką rafę, szarpacz i ciagnac z całej siły czerwona, podobna do winorośli lodyge z ociekającymi wodą wielkimi liśćmi. Ta morska winorośl musiała mieć mocne korzenie, gdyż dziewczyna nie mogła jej wyrwać.

Bez namysłu zdjąłem buty, nie podwijając nogawek podszedłem do Gathej i chwyciłem za czerwoną lodygę. Spojrzała przez ramię, lekko marszcząc jasne brwi i skinęła głową, dziękując za pomoc. Oboje mocno szarpnęliśmy. Mimo to uparta roślina nie uległa. Pociągnawszy ze dwa razy wyjąłem miecz z pochwy. Służka Madrej Kobiety znowu skinęła głową i wyciągnęła ku niemu władczo rękę - pozwoliłem jej wziąć brzeszczot. Trzymałem z całej siły lodygę, a Gatheę rozciąła ją zamasztywanym ciosem. Potem jedną ręką ponownie chwyciła zdobycz, drugą zaś podała mi miecz rekojścia do przodu.

-Dziękuję ci, Elronie z Domu Garna - powiedziała cichym, lekko zachrypniętym, jakby rzadko używanym głosem. Zaskoczyło mnie, że wiedziała, jak się nazywam. Przecież nikt z naszego klanu nie rozmawiał z jej panią podczas podróży. Nie byłem też kims znaczącym wśród domowników.

-Co z tym zrobisz? - zapytałem. Wróciłem na brzeg i chociaż nie poprosiła mnie o pomoc ani jej nie odrzuciła, pomogłem jej wyciągnąć z wody morskie ziele.

-Wysuszone i sproszkowane liście mogą użyźnić ziemię po zasiewie - odparła takim samym tonem jak wiesniak omawiający orkę na nowym zagonie. - Maja też inne właściwości, które zna Zabina. To cenne ziele, zerwane w samą porę.

Spojrzałem na śliską roślinę z oblepionymi piaskiem drugimi wasami i pomyślałem, że to, czego nie znamy, może być bardziej wartościowe, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

Gatheę odeszła bez słowa, ciagnac za sobą długą ped morskiej winorośli, ja zaś otarłem nogi z piasku przed założeniem butów. Ściemniło się i nadeszła pora posiłku, wróciłem więc do

obożu.

Trzymając miske z pokruszonymi sucharami, do których dodano kilka kawalków ugotowanego mięsa, napełniłem łyżkę, podniosłem ją do ust i ręka mi znieruchomiała w pol drogi, gdy zobaczyłem dwóch przybyszów oświetlonych płomieniami głównego ogniska. Quaine siedzący ze skrzyżowanymi nogami obok Garna zapraszająco przywołał ich ruchem ręki, natomiast wódz naszego klanu nie poruszył się, tylko spojrzał zimno ponad krawędzią rogu, z którego pił wzmacniający napój.

W ostatnich dniach kilkakrotnie widziałem pana Tugnessa, nigdy jednak nie znalazłem się tak blisko niego, że wyciągnięta dłoń mogłbym dotknąć pochwy jego miecza.

Tugness był niskim, niezwykle barczystym mężczyzną, gdyż walczył tylko toporem bojowym i dzięki wieloletnim ćwiczeniom wyrobił sobie potężną muskulaturę. Na koniu nasz sąsiad wyglądał imponująco, ale po ziemi stapał drobnym krokiem i kolysał się na boki, robiło to wrażenie, jakby miał zbyt ciężką górną połowę ciała.

Na podróżnym kaftanie jak wszyscy nosił kolczugę, lecz w ręku trzymał swój ozdobny hełm. Wiatr rozwiewał mu gestę, rosnące kępami rudobrazowe włosy. W przeciwieństwie do większości mężczyzn z naszej rasy miał gesty zarost i zdawał się nim szczyć, zapuścił bowiem krótką brodę, która okalała jego szerokie usta. Jego mały, perkaty nos został złamany podczas jakiejś młodzieńczej bijatyki i obecnie wyglądał jak niekształtne jajo, z którego bez przerwy wydobywało się sapanie.

Garbił też plecy i wyglądał bardziej jak nieokrzesany najemnik, któremu zlecono jakąś brudną robotę, niż szlachcic z wielkiego rodu. O krok za Tugnessem szedł jego syn i dziedzic, wyższy od ojca i znacznie od niego chudszy. Powłóczył nogami, a ręce zwisały mu bezwładnie. Ci, którzy go znali albo o nim słyszeli, wiedzieli, że wcale nie był takim głupcem, na jakiego wyglądał. Opowiadano sobie o jego mistrzostwie w strzelaniu z kuszy. Był jednak tylko cieniem ojca i mało miał do czynienia ze swymi rówieśnikami. Kiedy go o coś zapytywano, otwierał szeroko oczy i odpowiadał tak zwieszle, jak to było możliwe.

Pan Tugness od razu przeszedł do sedna sprawy, jak gdyby ruszał z toporem na przeciwnika. Jednakże zwrócił się do Quaine'a, zignorował zaś Garna, przygarbił się nawet jeszcze bardziej, jakby w ten sposób chciał uniknąć widoku wroga.

-Kiedy wyrwiemy się z tego piekła?! - zapytał, gniewnie kopiąc nogą piasek, który trysnął na wszystkie strony. Mieczowy Brat powinien zrozumieć, o co mu chodzi. - Moj przedni zaprzęg poobcierał już sobie boki i szyje, a zapasowego nie mamy. Obiecales nam ziemię, gdzie ona jest?

Quaine nie okazał urazy. Podniósł się i stanął naprzeciwko Tugnessa, wsunawszy palce za pas.

-Jeśli Płomien będzie nam sprzyjać, panie, jutro przed zachodem słońca znajdziemy się w

odleglosci strzalu od twojej ziemi.

Tugness sapnal glosno i zacisnal piesci, jakby trzymal w nich trzonek topora. Rzucil Quaine'owi ostre spojrzenie spod krzaczastych brwi.

-Chcielibysmy wreszcie znalezc sie na twardej ziemi. - Znow tupnal noga w piasek. - To swinstwo wpada czlowiekowi do ust, kiedy je albo pije. Mamy tego powyzej uszu! Oby tak sie rzeczy mialy, jak mowisz, Mieczowniku!

Jego ostatnie slowa zabrzmialy niemal jak grozba. Odwrocil sie, obsypujac piaskiem najblizej stojace osoby. Thorg, jego dziedzic, ruszyl za ojcem. Mimo pewnej niezdarnosci kroczył lekko jak zwiadowca na ziemi nieprzyjaciela. Nagle podniosl glowe i wbil we mnie wzrok.

Juz jako chlopiec umialem wyczytac tajemne mysli czlowieka z jego oczu, gdy twarz ich nie zdradzala. Pod spojrzeniem Thorga zamarlem z lyzka przy ustach. Bylem wstrzasniety, ale natychmiast sie opanowalem ufajac, ze nie zauwazyl mojej reakcji. Dlaczegozby syn i dziedzic Tugnessa, z ktorym nigdy dotad sie nie zetknalem, mialby nienawidziec mnie tak bardzo? Bylem mlody i Garn nie cenil mnie zbyt, wiedzialem zreszta o tym od dzieciinstwa. Nie bylem - i nie moglem byc - wrogiem Thorga. Tyle tylko, ze obaj nalezelismy do zwasnionych klanow. Nie moglem jednak oprzec sie wrazeniu, ze Thorg zywil do mnie nienawisc raczej osobista. Wszystko to bardzo mnie zaniepokoiło.

Tej nocy swiecil ksiezyc, piekny i zimny. Jego srebrzysta poswiata przeslonila nieznane gwiazdy. Stare opowiesci mowia, ze ksiezyc wywiera wplyw na serca i umysly ludzi, tak jak slonce wplywa na skore czyniac ja ogorzala. Ale ksiezycowa moc to nie sprawa mezczyzn, lecz kobiet, zwlaszcza zas tych, ktore sa czarownicami.

Odsunalem sie nieco od pokotem obok siebie spiacych druzynnikow. Przesypiali oczekiwanie na swoja kolej pelnienia warty. Lezalem w pewnej odleglosci od wozow i zarzacego sie ogniska, dlatego wiec zobaczylem w blasku ksiezycyca idaca szybkim krokiem Madra Kobieta, a za nia Gathee, ktora niosla jakies zawiniatko. Tulila je do piersi jakby bylo dzieckiem lub skarbem, ktory nalezalo pilnie strzec nawet przed promieniami miesiaca.

Skierowaly sie nad morze, potem poszly jego brzegiem. Zaden wartownik nie odwazylby sie do nich odezwac ani dac im znac, ze je zauwazyl. Czarownica i jej sluzka zajmowaly sie czyms zwiazanym ze swoim rzemioslem. Za nimi szla jakas kryjaca sie w cieniu postac. Dostrzeglem ja, gdy dotarla do wielkich glazow przegradzajacych rozlegla plaze.

Przewrocilem sie na bok, zrzucajac z siebie oponcze, ktora bylem przykryty. Musialem sie dowiedziec, kto je sledzi.

Chociaz nie dorownywalem zrecznoscia Mieczowym Braciom, nieraz polowalem na dzikie zwierzeta i dobrze Poznałem zolnierskie rzemioslo. Wiedzialem wiec, ze zasadzka i niespodziany atak wiecej znacza niz otwarty boj. Podczolgałem sie wiec do miejsca, z

ktorego moglem obserwowac nieznajomego mezczyzne.

Wydawalo mi sie, ze pozostawalismy w ukryciu bardzo dlugo, on w swojej Kryjowce, ja zas w mojej. Pozniej ja opuscil, gdy obie kobiety znikly w oddali i w blasku ksiezycy widac bylo tylko niespokojna powierzchnie morza. Nie zobaczylem jego twarzy, lecz rozpoznalem go po ruchach i sposobie chodzenia. Dlaczego i po co Thorg szedl za Madra Kobieta i jej sluzka? Podeptal odwieczny obyczaj i gdyby go zauwazono, zostalby surowo ukarany. Moze nie przez mezczyzn, ale z pewnoscia przez kobiety ze swego klanu. Albowiem zaden mezczyzna nie powinien podgladac kobiecych obrzedow. Niewiasty bronily tego prawa i mscily sie na zuchwalcach je naruszajacych.

Thorg skierowal sie do obozu Tugnessa. Nie poszedlem za nim. Wciaz sie zastanawialem, co nim kierowalo. Nie mogli chyba interesowac sie Gathea - juz sama mysl o tym budzila zgroze. A moze?

Potrzasnalem glowa, zeby przegnac natretne mysli i wreszcie sie zdrzemnałem. O swicie obudzono mnie do pelnienia ostatniej wartty i zobaczylem zdumiewajacy wschod slonca. Na horyzoncie tuz nad woda wisialy chmury, ktore wygladaly jak duza wyspa. Dostrzeglem na niej gory i doliny, a wszystko robilo wrazenie tak wyrazistego i prawdziwego, ze chcialoby sie podplynac tam lodzia, by wyjsc na powstaly w nocy lad. Nigdy dotychczas nie widzialem nic podobnego. Uslyszalem za soba cichy szmer i odwrocilem sie blyskawicznie, wyciagajac miecz z pochwy. Zobaczylem Quaine'a i zrobilo mi sie glupio. Mieczowy Brat stal w swojej ulubionej pozycie z palcami wsunietymi za pas i wpatrywal sie w morze tak jak ja przed chwila.

Schowalem miecz, gdy przemowil:

-Mozna by pomyslec, ze to lad...

-Nie znam morza - odparlem. - Moze to czesto spotykane zjawisko w tych stronach o swicie.

-Nie. - Quaine pokrecil glowa. - To jest jak dalekowidzenie. Spojrz!

Juz przedtem zauwazylem gory na zrodzonej z chmur wyspie. Teraz na zboczach jednej z nich odcinalo sie cos, co bardzo przypominalo z wygladu kwadratowa cytadele o dwoch wiezach, jednej nieco nizszej. Widziadlo sprawialo wrazenie calkiem materialnego i moglbym przysiac, ze to miejsce naprawde istnialo. Po chwili promienie sloneczne przeswietlily chmury, nie tknely jednak powietrznej budowli. Zamek wygladal jak prawdziwy, widzialem go wyraznie, a potem w okamgnieniu zniknal. Nie rozplynal sie, nie zmienil powolnie ksztaltu poprzez przemieszczenie chmur, tylko nagle zgasl jak zdmuchnieta swieca. Widok ten tak mocno wryl mi sie w pamiec, ze bez trudu moglbym go narysowac na gladkim piasku.

Spojrzałem pytajaco na Mieczowego Brata. Byłem gleboko przekonany, że nie jestem



swiadkiem zwyklego nocnego zjawiska; mialo ono w sobie cos niesamowitego. Moze to jeden z tych cudow, przed ktorymi nas ostrzegano? Ogarnela mnie taka pewnosc, ze zamek z chmur naprawde gdzieś istnieje, iz zapragnalem go odnalezc. Powiedzialem na glos:

-Ten zamek... On byl prawdziwy!

Quaine obrzucil mnie ostrym spojrzeniem, zupełnie jak Garn, kiedy cos przeskrobalem.

-Co takiego zobaczyles? - szepnal tak cicho, ze szum fal prawie zagluszył jego slowa.

-Zamek o dwoch wiezach. Ale jak on mogl stac na chmurach?

-Kiedy obserwuje sie chmury, one przybieraja wtedy wiele ksztaltow - odparl.

Zawstydzilem sie jak dziecko, ktore uwierzyl w opowiesc tkacza piesni i dostrzega potwory w kazdym glazie i dzialanie magii wokol siebie. Tymczasem Quaine obserwowal wyspe z chmur, dopoki promienie slonca nie ujawnily jej struktury. Ciemna plama tkwiaca w miejscu, gdzie zobaczylem niezwykle zamek, zniknela. Uslyszalem zarazem, ze oboz budzi sie ze snu. Wtedy Mieczowy Brat odwrocil sie i znow bacznie na mnie spojrzal, jakby chcial odczytac moje mysli.

-To dziwny kraj - powiedzial cicho i wydalo mi sie, ze zamierza wyjawic mi jakis sekret. - Jest w nim wiele zjawisk, ktorych nie mozemy zrozumiec. Madry czlowiek pozostawi je w spokoju. Ale... - zawahal sie i po chwili mowil dalej: - Dla niektorych z nas ciekawosc to zaleta. Jest w nas cos, co kaze nam powiekszac nasza wiedze. Lecz na tej drodze nie ma przewodnikow i glupca moze zgubic jego glupota. Stapaj ostroznie, mlody Elronie. Mysle, ze nalezysz do ludzi z brzemieniem...

-Brzemieniem? - powtorzylem nic nie rozumiejac.

-Tak nazywaja to medrcy lub ci, ktorzy za takich uchodza. Inni okreslaja to mianem "dar". Ale tak naprawde liczy sie tylko to, jak go wykorzystasz, dobrze czy zle, i w jaki sposob nauczysz sie tego, czego musisz sie nauczyc. Powiem ci jedno - uwazaj, pozbadz sie beztroski. Wedrowka po tym kraju jest dwakroc niebezpieczniejsza dla tych, ktorzy maja podwojny wzrok...

Zamilkl i nagle odszedl. Nie wiedzialem, przed czym mnie ostrzegal. Nie zrozumialem tez, dlaczego mowil o jakimś "brzemieniu" czy "darze". Bylem tylko malenka czastka Domu mojego pana, ktory przewodzil bardzo slabemu i biednemu klanowi. Caly moj majatek skladal sie z ubrania, ktore mialem na sobie, miecza, kolczugi i helmu, ktore odziedziczylem po ojcu, oraz z niewielkiej sakwy, ktora znajdowala sie na jednym z wozow. Wlozylem do niej zwoj starozytnych ballad, ktore umialem odczytac, choc napisano je innymi runami niz uzywane obecnie, odswietna tunike z dobrej welny, nieco Inianej bielizny oraz nalezacy niegdys do mojej matki noz o wysadzanej drogimi kamieniami rekojesci. Na pewno nie bylo

to zadne brzemie...

Wracając do obozu zastanawiałem się, dlaczego Thorg śledził Madra Kobietę i jej służkę, jakby był nieprzyjacielskim zwiadowcą. Powracałem też wielokrotnie myślą do powietrznego zamku. Czy Quaine również go zobaczył? Kiedy poprosił, bym mu opowiedział, co ujrzałem na niebie, nie przyznał się, że go widzi. A przecież sam zwrócił moją uwagę na chmury... No cóż, Mieczowi Bracia mają własną wiedzę. Przeprowadzili zwiad w tym kraju, zanim przeszliśmy przez Brame. Możliwe, że część tego, czego się dowiedzieli, zatrzymali dla siebie albo przekazali jedynie starszym członkom rady.

Poranna wizja nie dawała mi spokoju, ponieważ jakaś cząstka mojej istoty - wbrew zdrowemu rozsądkowi - uznała, że zobaczyłem coś niezwykłego tylko dlatego, iż znaleźliśmy się w krainie, gdzie wszystko jest nam obce.

Quaine miał rację. Niebawem dotarliśmy do punktu, w którym ludzie Tugnessa skreśliли w bok; pojechał z nimi jeden z podwładnych Quaine'a. Waska zatoka wrzynająca się w wysokie skały nie nadawała się na port, ale prowadziła do dużej doliny o łagodnych zboczach porośniętych polyskliwą wiosenną trawą. Była to tak piękna okolica, że nawet pan Tugness nie mógł jej nic zarzucić.

Pozegnaliśmy się chłodno, gdyż nie łączyła nas przyjaźń, lecz jedynie wspólne pochodzenie. Nasi rolnicy uznali, iż ziemia w dolinie Tugnessa wygląda na żyzną i wyrazili nadzieję, że w naszej włości będzie tak samo. Jednak więcej znaczył dla mnie fakt, iż Madra Kobieta skierowała swój furgon w tę samą stronę co klan Tugnessa. Przykro mi było, że wolała zostać tutaj i nie pojechała z nami.

Pozostaliśmy sami. Nasza kolumna, bardzo już teraz krótka, ruszyła w dalszą drogę. Jeszcze raz rozbiliśmy oboz na plaży, ale w nocy chmury przesłoniły księżyc, i kiedy znowu pełniłem wartę o świcie, nie zobaczyłem żadnej powietrznej wyspy. Dał silny wiatr, opryskując nas pyłem wodnym, mimo że obozowaliśmy z dala od linii przyboju. Następnego ranka dopadł nas deszcz i brneliśmy w grzaskim piasku pomiędzy wysokim urwiskiem a brzegiem morza. Często musieliśmy albo sami pchać obciążone wozy, albo doprzegać do nich nasze wierzchowce.

Byliśmy już bardzo zmęczeni tymi zmaganiem z samą ziemią, gdy po kolejnym okrążeniu ściany skalnej przed naszymi oczami pojawiła się mała najeżona rafami zatoka, więc nieprzyjazna żeglarzom. Wpadła do niej rzeka i nie musiałem czekać na okrzyk Garna, żeby wiedzieć, że dotarliśmy do celu podróży.

Zaprzęgi zatrzymały się tu na krótko. Wzieliśmy owce na siodła i pognaliśmy bydło w górę rzeki przez wąskie przejście w klifie. W urwistej ścianie gnieździły się morskie ptaki. Skały były białe od nagromadzonych przez lata odchodów.

Ptaki krzątały nad nami, wydając przenikliwe, gniewne okrzyki, które odbijały się echem od

scian wawozu. Wreszcie wawoz sie skonczyl i znalezlismy sie w dolinie, na pierwszy rzut oka rownie pieknej jak majetnosc klanu Tugnessa. Bydlo i owce od razu zaczely szczypac swieza trawe, my zas zatrzymalismy wozy na brzegu rzeki, zeby odpoczac. Dopiero teraz mogliśmy sie cieszyć z zakonczenia podrozy. Dotarlimy do ziemi, która miała odtąd nalezec do nas i do naszych potomkow.

### Rozdział III

Wspialem sie po stromym zboczach, gdzie skalne koscie ziemi przebijaly sie przez cienka warstwe gleby, która w koncu wypelniala juz tylko zagłębienia. Rzadko jej starczalo dla szorstkiej trawy lub wykrzywionych przez wichury krzakow. Odwrocilem sie i spojrzalem w dol na doline Garna dopiero wtedy, gdy dotarlem na szczyt i owional mnie zimny gorski wiatr. W zagajnikach, które wygladaly z gory jak puszyste zielone kobierce - a wiosna nadeszła wczesnie i drzewa okryly sie zielenia dosłownie z dnia na dzien - zobaczylem juz wyrwy po scietych drzewach. Ogolone z galezi pnie zawleczono na dol do miejsca, które Garn wybral na tymczasowa siedzibe.

Transportowaly je cztery konie pociagowe. Pozostala szostke zaprzeczono do plugow. Czekalo je ciezkie zadanie: mialy zaorac gruba warstwe darni i przygotowac ziemie pod siew. Wymagalo to mozolnej pracy, w której brali udzial wszyscy mezczyzni i kobiety bez wzgledu na to, czy byli krewnymi Garna, czy tez klanowymi rolnikami. Tego dnia nie pracowalem, bo nadeszła moja kolej patrolowania pobliskich szczytow. Mimo ze okolica sprawiala wrazenie opustoszonej, Garn nie uznal za pewnik, iz nic nam tu nie grozi. Poza tym patrolujacych gory druzynnikow mianowano tez myśliwymi i chetnie witano to, co upolowali.

Quaine i jego ludzie pozostali z nami przez dziesiec dni, a potem odjechali na zachod. Tak jak ja trzymalem warte wsrod okolicznych szczytow, tak cale Mieczowe Bractwo mialo patrolowac zachodnia granice High Hallacku, strzegac nowo zasiedlonych dolin. Do ich zadan nalezalo wyszukanie i naniesienie na mape tego wszystkiego, co pozostawily po sobie istoty, które zaczelismy nazywac Dawnym Ludem.

Jedno z takich miejsc znajdowalo sie w poblizu naszej doliny. Mimo ze - zdaniem Quaine'a - w porownaniu z innymi nie wywieralo szczegolnego wrazenia, zaznajomil sie z nim i obserwowal je kazdy druzynnik. Wlasnie teraz przypadla moja kolej.

Udalem sie tam w kolczudze, w helmie i przy mieczu, trzymajac w pogotowiu kusze, jakbym szykowal sie do odparcia jakiegos ataku, choc wszystko wskazywalo, iz przybylimy do bezludnego swiata. Przeskoczylem przez jakas szczeline skalna i zwrociwszy sie na zachod, jalem isc wzdluz poludniowej granicy naszej posiadlosci. Nasz klan byl tak nieliczny, ze Garn mogl jednorazowo wyznaczyc na patrol tylko dwoch mezczyzn. Po powrocie mielismy mu meldowac o wszystkim co nas spotkalo i co dostrzegliśmy.

W gorach żyły dzikie zwierzęta tylko barwą lub rozmiarami różniące się od tych, na które polowałem przez całe życie. Przed naszym przybyciem pasł się w dolinie jakiś gatunek szybkożonogich jeleni; opuściły to miejsce i teraz rzadko je widywaliśmy. Wysoko wśród szczytów można było spotkać inne zwierzę, prawie tak duże jak nowo narodzone zrebie. Natura wyposażyla je w ostre kły i pazury oraz w odpowiedni do tego charakter, należało więc zachować ostrożność podczas polowania. Nagroda za to było niezwykle smaczne mięso.

Nad doliną krążyło mnóstwo ptaków, jedne bajecznie kolorowe, polyskujące w niebie jak świetlne smugi, inne zaś czarne, o nieprzyjemnym wyglądzie. Te ostatnie gnieździły się w koronach drzew i skrzeczały gniewnie na widok drwali. Kiedy spłoszone hałasem wyrebu zrywały się do lotu, kierowały się zawsze na zachód, jakby dokądś spieszyły zameldować o spustoszeniach poczynionych przez nas w ich ostoi. Teraz też uniosły się w powietrze, dwukrotnie zatoczyły krąg nad lasem, po czym zniknęły za gorskim grzbieciem.

Przyglądałem się uważnie skalom, gdyż wczoraj Rolf zameldował o odkryciu dziwnych śladów w wypelnionych ziemią zagłębieniach. Coś podeszło na sam skraj klifu, jakby chciało nas śledzić. Ślady te pozostawiła szeroka łapa wielkości męskiej dłoni. Bardzo możliwe, że Rolf znalazł tropy jakiegoś naprawdę niebezpiecznego zwierzęcia - łowcy, który mógłby na nas zapolować.

Przed wspinaczką zdjąłem buty i włożyłem cienkie, prawie bezkształtne cizmy używane przez myśliwych. Wyczuwając przez nie skalne podłoże, wędrowałem najciszej jak potrafiłem. Powietrze było czyste i świeże, unosił się w nim delikatny zapach młodej roślinności i prawie nieuchwytna won kwiatów.

Niebawem dowiedziałem się, skąd przyniósł je wiatr. Najdalej wysunięta na zachód krawędź skalnego płaskowyzu urywała się nagle. Zbliżywszy się ostrożnie, ujrzałem niezbyt głęboką kotlinę, a w niej miejsce Dawnego Ludu. Niewiele wyższe ode mnie drzewa, stare, sadzane po wykrzywionych pniach i koslawych galeziach, rosły w równych odstępach wokół kwadratowego brukowanego placu.

Drzewa te właśnie kwitły. Ich kwiaty były różowobiałe, duże i prawie płaskie, a każdy szeroki płatek miał ciemno-różową obwódkę. Lecz choć już wiele takich płatków opadło na bruk, nie wyrosła tam ani jedna kępka trawy. Nie zobaczyłem też żadnych śladów mchu na gładkiej powierzchni kamiennych bloków. Na środku placu ułożono figurę w kształcie polksiezyca z niebieskawych kamieni o metalicznym połysku. W każdym rogu wznosiła się kolumna prawie tak wysoka jak ja. Ustawiono na nich rzeźby - niebieskawy krąg, połokrąg i ćwiartkę koła oraz czarny jak noc dysk.

Od dnia, w którym odkryto to miejsce, często się o nim dyskutowało. Lynne, która potajemnie odwiedziła je w towarzystwie brata, oznajmiła, że ma no coś wspólnego z księżycową magią i że rzeźby przedstawiają cztery fazy miesiąca. Była bardzo podniecona i kilkakrotnie powtórzyła, iż chciałaby je zobaczyć podczas pełni księżyca, żeby się

przekonać, czy przetrwała tam jakaś starożytna moc. Nie chciało mi się jednak wierzyć, by sama odważyła się na taki krok. Nie sądziłem też, żeby ktokolwiek jej w tym dopomógł. Gara surowo ukarałby takiego szalenca.

W rzeczy samej zabronił komukolwiek postawić tam stopy. Każdy patrol miał obejrzeć to miejsce przynajmniej dwukrotnie, ale tylko obejrzeć. Była to uzasadniona ostrożność.

Lecz ostrożność nie zawsze jest cnotą młodych, a ja pragnąłem sprawdzić, czy owe symbole albo rzeźby wykonano z metalu, który oparł się zębowi czasu. Nie dostrzegłem też żadnego zagrożenia. Wręcz przeciwnie, gdy tak stałem tuż pod drzewami i przyglądałem się opadającym płatkom, moje serce ogarnął dziwny spokój i tęsknota za czymś nieokreślonym. Później wzdrygnąłem się, jakby ktoś oparł mi ręce na ramionach i mocno mnie potrząsnął, aby mnie obudzić. Ruszyłem dalej, lecz jeszcze długo towarzyszył mi delikatny zapach kwiatów. Miałem ponadto uczucie, że ciągnie mnie z powrotem niewidzialna, choć niezbyt mocna, więź, jakby chciała mnie zatrzymać jakaś nieznana siła.

Nigdy nie uważałem się za marzyciela obdarzonego bujną wyobraźnią. Ktoś taki nie wytrzymałby długo w Domu Garna bez zmiany swego sposobu myślenia, gdyż dla mojego pana wszystko, co miało jakikolwiek związek z uczuciami, było podejrzane. Mnie zaś od przejścia przez Bramę dreczył dziwny niepokój. Pragnąłem swobodnie wędrować po nieznanej krainie jak nie mający żadnych zobowiązań Mieczowy Brat i poznać jej dobre i złe strony. Złe spałem, walczyłem z coraz większym zniecierpliwieniem i tęsknotą i musiałem brać się w karby i zmuszać do pracy. Nie uważałem warty ani patroli za pracę, gdyż sprawiały mi przyjemność. Wypatrywałem więc tych dni z lekkim sercem, ale przezornie nikomu się do tego nie przyznawałem.

Obchód skalnych fortyfikacji doliny zabierał cały dzień, od wschodu słońca do późnego letniego zmierzchu. Nie należało też zatrzymywać się po drodze. Jak najszybciej ruszyłem więc dalej znajoma ścieżka.

Na południu ciemnoszary nagi górski grzbiet był bardzo szeroki, tworzył prawie płaskowyż. Wystarczyło przebyć te kamienne pustkowia, żeby dotrzeć do włości Tugnessa, ale nikt z nas tam nie chodził. Na zachodnim skraju doliny płynąca rzeka wciniała się w skały, tworząc wąską gardziel, gdzie skały jeszcze wyższe niż przy wejściu stromo opadały aż do wody. Kamienne ściany były tak kruche i spekane, że musieliśmy iść bardzo ostrożnie. Ponieważ góra nie można było przejść z jednego brzegu rzeki na drugi, dwóch drużynników jednocześnie patrolowało szczyty - jeden północną część zachodnich murów, drugi zaś południową. Zazwyczaj spotykaliśmy się nad przepaścią i machaliśmy do siebie rękami.

Tego dnia wartę pełnił ze mną Hewlin. Nasz dowódca miał u nas taki autorytet, że nie chciałem się spóźnić na spotkanie, tym bardziej że przed powrotem zamierzaliśmy posilić się w spokoju i omówić polowanie.

Hewlin przyszedł nieco wcześniej i stał oparty o podobną do słupa skałę. Podniósł dłoń i

odpowiedziałem na jego powitanie. Miał więcej szczęścia ode mnie, gdyż u jego stóp leżała wypatroszona tusza skalnego drapieżnika. Machnąłem ręką na znak, że mu gratuluje, lecz ponury jak zawsze drużynnik nie zareagował. Później podniósł zdobycz i odszedł bez słowa. Ja zaś zostałem, żeby zjeść podróżne suchary i napić się ciepłej wody z manierki.

Na niebie pojawiło się stado czarnych ptaków. Leciły wzdłuż strumienia tak nisko, że widziałem je wyraźnie z mojej skalnej grzedy. Błyszczące czerwone oczy i czerwone narosłe zwisające wokół mocnych czarnych dziobów nadawały im odpychający wygląd zwierząt zarazy jakas wstretna choroba. Dwa ptaki odłączyły się od innych i zaczęły krzyć mi nad głową, krzycząc ochryple. Ich wrzaski zburzyły spokój, jaki czułem od chwili, gdy spojrzałem na Świątynie Księżyca.

Nagle jeden z nich rzucił się na mnie. Odruchowo zasłoniłem się ramieniem i ostre szpony rozdarły mi skórzany rękaw kaftana. Wstałem i wyciągnąłem miecz z pochwy, obserwując ze zdumieniem rozwrzeszczane ptaszyska. Nigdy nie widziałem, żeby ptaki kiedykolwiek atakowały człowieka.

Krzyły w górę nie przestając wrzeszczec. Jeden znow zanurkował. Zamachnąłem się mieczem. Z łatwością zrobił unik. Po chwili rzucił się na mnie drugi. Poczulem się nieswojo. Nie zdołałem się przed nimi obronić. Rozejrzawszy się szybko dookoła, zauważyłem wielki pochyły głaz. Jeżeli opre się o niego plecami, osłoni mnie przed dziobami i szponami napastników.

Dwie skrzydlate furie przykły mnie do tej wątpliwej kryjówki krzycząc nieustannie wokół głazu. Reszta czarnych ptaków odleciała, ale ta dwojka najwyraźniej zamierzała doprowadzić do końca spor z moimi pobratymcami drwałami.

Stojąca ukośnie skala chroniła moją głowę i ramiona. Ptaszyska będą zmuszone atakować mnie od dołu, a ja wtedy z łatwością odepre mieczem każdą napastkę. Czekalem więc spokojnie. Wydawało mi się, że atakujący podobnie rozumowali, dlatego kontynuowali obleżenie.

Rosl we mnie gniew. Żeby dwa ptaki trzymały w szachu człowieka, igrając z nim jak kot z myszą! Przynajmniej wtedy to tak wyglądało. Najbardziej obawiałem się, że ich wrzaski mogą sprowadzić resztę stada. Zaczalem też podejrzewać, że mogłyby pokonać uzbrojonego drużynnika. Gdybym nadal przebywał na otwartej przestrzeni, miałyby ułatwione zadanie.

Spróbowałem obmyślić następne posunięcie. Wprawdzie zabrałem ze sobą kuszę, ale jej strzały nie nadawały się do polowania na ptaki. Zresztą nie byłem przekonany, że w tej sytuacji dobrze ją wykorzystam. Jakże więc miałem się uwolnić, skoro wszystko wskazywało, że skrzydlaci napastnicy nie zamierzają odlecieć? Mogą wieść mnie do chwili przybycia posiłków, tak jak robią to psy myśliwskie ze zbyt wielką lub niebezpieczną zdobyczą, której same nie są w stanie pokonać.

Ptaki bezustannie nurkowały w powietrzu i krzyły nad moja kryjówką, aż nagle - tak nieoczekiwanie, że omal nie straciłem równowagi - strzeliły w górę z głośnym skrzykiem. Ich skrzeczenie tak bardzo różniło się od okrzyków bojowych, które wydawały wcześniej, że odniosłem wrażenie, iż same zostały zaatakowane. Nie zobaczyłem jednak niczego, co mogło je przepędzić.

Czekałem dłuższą chwilę, lecz wstretne ptaszyska odleciały w ślad za resztą stada. Mimo to opuszczając kryjówkę nie schowałem miecza, bo to nie ja byłem sprawcą ich ucieczki. Rozejrzałem się wokół i podniosłem głowę.

I wtedy ja ujrzałem.

Na wysokiej skale stała Gathea, służka Madrej Kobiety. Trzymając ręce w gorze, kresliła palcami w powietrzu jakies symbole. Poruszała ustami, ale nie słyszałem, co mówiła.

A za nią...

Krzyknąłem chcąc ją ostrzec i przygotowałem kusze do strzału. Wtem mój palec przywarł do spustu, znieruchomiał, jakbym nagle zamienił się w kamień. Gathea wskazywała na mnie ręką. Z przerażeniem zrozumiałem, że uwieczyla mnie siła, która umiała się posługiwać tą dziewczyna.

Ale muszę ją ostrzec!

Za Gatheą, tuż u jej stóp zobaczyłem głowę wielkiego kota. Zwierzę stało na tylnych łapach a przednimi obejmowało nogi dziewczyny. Zwrociło na mnie żółte ślepią i warknęło, szczerząc kły długie jak biesiadny noż i znacznie od niego groźniejsze.

Gathea popatrzyła w dół na drapieżnika. Zauważyłem poruszenie głowy wielkiego kota. Długa chwila trwała ta wymiana spojrzeń. W końcu zwierzę opuściło się na cztery łapy, obeszło skałę i stanęło pomiędzy nami, nadal mierząc mnie wzrokiem, lecz już z zamkniętą paszczą. Nie wątpię, że służka czarownicy miała nad nim jakąś władzę. Może taka jak nad ptakami, które mnie zaatakowały.

Dostrzegłem jakiś jej nieznaczny ruch i byłem już wolny. Zachowałem jednak dość przytomności umysłu, by opuścić kusze na znak moich dobrych zamiarów. Jednak oszłomiony niezwykłością całego wydarzenia, nie ruszyłem się z miejsca, jakby dziewczyna rzuciła na mnie czar. Trzeba przyznać, że wielki kot był naprawdę piękny: miał bowiem srebrzystobiałą sierść upstrzoną ciemniejszymi cętkami na grzbiecie i na zadzie. Nigdy nie widziałem podobnego do niego zwierzęcia.

-On jest oswojony! - Ten drapieżnik na pewno z nią nie podróżował, pochodził więc z tych stron. Jak go odnalazła i podporządkowała swojej woli w tak krótkim czasie?

-Nie jest oswojony - odparła stanowczo krećca głowa. - Gdyby tak było, poddałby się woli

człowieka, a jego pobratymcy brzydza się tym. Zrozumiał, że nie chce go skrzywdzić i że jest poszukiwaczka. Może dawno temu jego przodkowie znali innych poszukiwaczy i byli z nimi zaprzyjazznieni. W tym kraju jest tak wiele... - Wyciągnęła ręce, jakby chciała przytulić do siebie coś, czego najbardziej pragnęła w życiu. - Jeśli nie weźmiemy tego przemocą, opłaci się to nam po stokroć. Ale... - Teraz jej oczy błysnęły dziko jak oczy wielkiego kota. - ...wydaje się, że ludzie wszędzie, dokadkolwiek pójdą, starają się podporządkować sobie wszystko siłą.

-Czy to ty zrobiłaś coś z ptakami? - zapytałem. Nie chciałem się sprzeczać. Nadal byłem rozgniewany - po pierwsze dlatego, że nie widziała nic złego w podporządkowaniu mnie swojej woli, choć twierdziła, iż nie należy tak postępować ze zwierzętami, po drugie zaś, że powstrzymała atak, którego ja, wojownik, nie umiałem tak łatwo odeprzeć.

-Ja... Nie, nie mogę tego wyjaśnić, Elronie z Domu Garna. Powiedzmy, że ci, którzy żyją w pokoju ze wszystkimi żywymi istotami i nie starają się zrobić z nich swoich sług czy niewolników, mają nad nimi pewną władzę, z której mogą skorzystać w razie potrzeby.

-Przecież tamte ptaki nie są sługami! - odparowałem.

-Nie naszymi. Myślę, że służą starożytnemu złu. Może kiedyś były strażnikami. W dolinie Tugnessa także jest takie stado i Zabina próbuje odkryć, czego strzeże i dokąd odlatują...

Ta wiadomość, która wcześniej uznałbym tylko za czystą fantazję, była dla mnie zaskoczeniem. Czyż można wytresować ptaki tak, żeby służyły jako szpiegowie? Jeśli tak, to komu składały meldunki? Jeśli wystąpię z czymś takim wobec Garna, zobacze tylko jego drwiące spojrzenie.

-Jeżeli twoja Madra Kobieta to odkryje, czy podzieli się z nami ta wiedza?

-Jeśli uzna, że wymaga tego dobro wszystkich, to tak - skinęła głową Gaëtha. - Widzieliśmy, że ptaki obserwują ludzi i odlatują, ale nigdy dotąd nikogo nie zaatakowały. Co zrobisz, by doprowadzić je do wściekłości?

Zirytowało mnie jej założenie, że to ja sprowokowałem ptasi atak.

-Nic. Stałem tutaj i patrzyłem, jak odlatują na zachód. Przez większą część dnia siedzą w lesie i obserwują drwali, a potem odlatują z wrzaskiem.

-Tak samo zachowywały się w dolinie Tugnessa. Być może teraz zechcą doprowadzić do próby sił. Chciałabym, żebyś ostrzegł ludzi ze swojego klanu. Te ptaki mogą napadać na owce, nawet na bydło, i je zabijać. Wydziobać oko człowiekowi to dla nich drobniaczek. Spójrz na siebie. - Wskazała na rozdarty rekaw na ramieniu, którym osłoniłem się przed atakiem.

Zanim zdolałem odpowiedzieć, zeskoczyła lekko ze skały, na której dotąd stała. Wielki kot, który widocznie zdrzemnął się w czasie tej rozmowy, zamrugnął zaspanymi oczami,



przeciagnal sie i podniosl bezszelestnie. Byl naprawde olbrzymi i Gathea polozyla mu reke na karku, gdzie geste futro tworzylo prawie kreze.

-Sama tak tutaj chodzisz? Tu moga grozic znacznie wieksze niebezpieczenstwa niz tamte ptaszyska. - Wypowiadajac te slowa zdalem sobie sprawe, iz nie zabrzmialy tak stanowczo, jak chcialem, i ze sluzka Madrej Kobiety moze zareagowac na moje ostrzezenie takim samym szyderstwem jak Garn na opowiesc o szpiegujacych czarnych ptakach.

-Szukam tego, czego potrzebujemy - odpowiedziala wymijajaco. - Zabina posluzyla sie jasnowidzeniem, ale tutaj sa zaslony, wiec nie mozna zbyt czesto z niego korzystac. Mozna niechcacy obudzic to, co powinno nadal spac. Pod wieloma wzgledami ten kraj to jedna wielka pulapka. Wprawdzie nie mielismy wyboru, lecz odtad powinnismy stapac tak ostrocznie jak miedzy dwiema wrogimi nam armiami.

Jej slowa wywarly na mnie wielkie wzrazenie. Nie pamietalismy, dlaczego przeszlimy przez Brame - zapewne musial gnac nas strach przed jakas katastrofa, ktorej nie uniknelibysmy w naszej ojczyznie. Mimo wszelkich zapewnien Mieczowych Braci, przyjalem za pewnik, ze moga sie tu kryc pulapki, ktorych nawet ci wysmienici zwiadowcy i wojownicy nie zdolali odnalezc.

Ale przybylismy tutaj i nie mozemy juz zawrocic. Musimy wiec stawic czolo wszystkiemu, co sie wydarzy, w razie potrzeby - nawet z bronia w reku. Nie pozostaje nam nic innego, jak dac wiare takim wiadomosciom, jakie przekazala mi przed chwila sluzka Madrej Kobiety.

Gathea ruszyla w dalsza droge, a poniewaz byl to zarazem szlak wartownikow, pospieszylem za nia. Wielki kot kroczył pierwszy, co jakis czas przystajac i obwachujac skaly.

-Czy w waszej dolinie jest jakies miejsce Dawnego Ludu?

Dziewczyna szla wyprostowana przede mna, patrzac prosto przed siebie. Od czasu do czasu zatrzymywala sie i spogladala w prawo rozdymajac nozdrza, jakby umiala jak jej towarzysz najpierw zweszyc to, czego szukala.

-To nie jest zadna nasza dolina - odparla ostro. Jej slowa me poskromily mojej ciekawosci ani me ostudzily pragnienia dowiedzenia sie czegos wiecej. - Nie nalezemy do klanu pana Tugnessa. Do zadnego innego tez nie - ciagnela marszczac brwi. - Poszlysmy z jego ludzmi, poniewaz bylismy im potrzebne. A czy tam zostaniemy - wzruszyla ramionami - to sie okaze.

Nieoczekiwanie ruszyla biegiem, omijajac zwaly skal. Pomknela przez otwarta przestrzen z szybkościa szarych jeleni, ktore uciekly z naszej doliny. Przed nia sadzil wielkimi susami srebrzysty kot, z latwoscia przeskakujac przeszkody, ktore dziewczyna musiala okrazac. Pobieglem za nia, gdyz musialem sie dowiedziec, co ja tak zainteresowalo. Zostalem jednak daleko w tyle, w dodatku rynsztunek przeszkadzal mi w biegu.

Niebawem zrozumiałem, że służka Madrej Kobiety zmierzała do malej, ukrytej kotliny, w której znajdowała się Świątynia Księżyca. Przypomniawszy sobie rozkazy Garna, przyspieszyłem biegu. Zabronił komukolwiek tam wchodzić i nie wolno nam było badać tego, co pozostawili nasi poprzednicy. Nie mogłem się jednak ludzić, że zatrzymam Gathee.

Biegnąc wołałem na nią, ale odniosłem tylko wrażenie, że krzyczy do głuchych, gdyż żadne nie odwróciło głowy ani nie zwolniło biegu. Kiedy dotarłem na skraj kotliny, dziewczyna już stała między dwoma drzewami, które rosły przed brukowanym placem. Przyciskając mocno ręce do piersi, nie odrywała od niego wzroku, jakby widziała tam jakieś cudowne zjawisko. Za nią przycupnął wielki kot i szeroko rozwartymi oczami też obserwował Świątynię Księżyca.

Gathee zrobiła krok do przodu.

-Nie! - krzyknąłem, gotując się skoczyć w dół, by powstrzymać ją przed wejściem na bruk.

Nagle uderzyłem o coś niewidzialnego, wypuściłem z ręki kuszę i upadłem na plecy machając nogami jak przewrócony na grzbiet żuk. Pozbierałem się szybko, uklakłem i wyciągnąłem rękę przed siebie. Równie dobrze mogłbym walić pięścią w mur z takich samych kamieni, jakie leżały dookoła. Była tam jakaś zaporą, której nie mogłem ani zobaczyć, ani przebyć. Wstając obmacałem ją palcami. To coś przepuściło Gathee, lecz mnie zatrzymało.

Spojrzałem w dół. Stała na skraju placu. Po prawej miała kolumnę z ciemnym dyskiem, po lewej zaś z niebieskim kregiem. Wpatrywała się w przestrzeń przed sobą i poruszała bezgłośnie wargami.

Powoli osunęła się na kolana, wyciągając przed siebie ręce i chyląc głowę, jakby składała hołd jakiemuś wielkiemu panu. Różowe płatki dryfowały w powietrzu; kilka osiadło jej na włosach.

Prawa dłoń delikatnie zgarnęła z bruku garść płatków. Znowu podniosła głowę i zobaczyłem jej twarz. Oczy miała zamknięte. Miałem wrażenie, że czegoś nasłuchuje, stara się zapamiętać ważną wiadomość, która musiała dalej przekazać.

Znowu jakos się nachyliła, ale tym razem tylko przytuliła do piersi zebrane płatki. Kiedy wstała odwracając się, jakby wykonała zleczone jej zadanie, niewidzialna zaporą, o którą oparłem ręce, zniknęła.

Pchnąłem mocniej oczekując oporu, lecz moje ręce napotkały tylko powietrze. Nie zeskoczyłem jednak do kotliny. Czulem, że taki czyn byłby czymś więcej niż nieuprzejmością, wręcz zniewagą. Potrząsnąłem głową, chcąc przegnać te fantastyczne myśli. Coś mi jednak mówiło, że to bynajmniej nie fantazja, ale prawda. Nie odważyłem się wtargnąć do Świątyni Księżyca, chociaż nic mi tam nie groziło, ponieważ zdałem sobie sprawę, że ktoś taki jak ja nie powinien tego robić. Zdeptałbym bowiem coś tak pięknego,

co przekraczało moje wyobrazenie.

Poczekalem, az Gathea znow do mnie dolaczy. Dopiero gdy znalazla sie w pewnej odleglosci ode mnie, zrozumialem, ze kieruje sie na poludnie. Najwyrazniej nie miala zamiaru isc dalej ze mna. Wielki kot towarzyszył jej przez jakis czas, ja zas stalem patrzac za nia i nie wiedzac, co powinienem zrobic czy powiedziec.

Pozniej srebrzyste cialo przecielo powietrze pelnym wdzieku lukiem; drapieznik opuscil sluzke czarownicy, kierujac sie na poludniowy zachod w poszukiwaniu wlasnej drogi skrajem doliny Tugnessa. Gathea zas oddalala sie szybko i ani sie nie obejrzala, ani ze mna nie pozegnala.

Gdy w koncu zrozumialem, ze wraca do swojej pani, znow podjalem patrolowanie szczytow. Co mialem zameldowac Garnowi? Nigdy dotychczas nie ukrywalem przed wodzem mojego klanu nic z tego, co zobaczylem. Ale tym razem zdawalem sobie sprawe, ze nie tylko ja stalem sie swiadkiem czegos, co nie powinno mnie obchodzic. Garn takze nie mial prawa w to sie wtracac. Przyszlo mi na mysl, ze moglby kazac zniszczyc Swiatynie Ksiezyca. Dobrze go znalem. Gardzil nieznanym, ktorego nie mogl podporzadkowac sobie sila, i gdyby dowiedzial sie, iz Gathea najwidoczniej odkryla tu jakas moc, wpadlby w gniew.

Co do czarnych ptakow... Tak, powiem mu o nich. Przeciez Gathea mnie przestrzegla, ze moga sie zwrocic przeciw nam i naszym trzodom. Ostrzezeni, uzbroimy sie przeciw temu niebezpieczenstwu. Wracajac do doliny starannie ukladalem w mysli sprawozdanie dla Garna. Jednoczesnie dreczyla mnie ciekawosc, czemu sluzka Madrej Kobiety zlozyla hold w Swiatyni Ksiezyca i co jeszcze znalazlbym w tej krainie - dobrego i zlego - gdybym mogl bez przeszkod wyprawic sie na wedrowke.

## Rozdzial IV

Chociaz jako pierwszy doswiadczyłem wrogosci czarnych ptakow, nie byłem ostatni. W miare jak coraz dalej zaglebialismy sie w las, scinajac największe drzewa na budowe dworu, w ktorym nasz maly klan moglby znalezc schronienie przynajmniej przez kilka miesiecy, ptaki zlatywaly sie coraz gromadniej wokol poreby. Pozniej dzieci pasace nasza nieliczna trzode podniosly alarm broniac kijami szesciu nowo narodzonych jagniat, od ktorych tak wiele mialo zalezec w przyszosci, przed smiercionosnymi dziobami. W koncu Garn musial oderwac kilku mezczyzn od wspolnej pracy, zeby strzegli inwentarza. Lecz agresywne ptaszyska niezwykle zrecznie unikaly strzal naszych najlepszych lucznikow. Skutkiem tego wszystkiego byl niepokoj i zle nastroje. Garn otwarcie okazywal zlosc: ataki ptakow najpierw uznal za nic nie znaczący przypadek, a tymczasem staly sie prawdziwym zagrozeniem.

Dopiero po wycieciu największych drzew odkrylismy przyczyne tych zdumiewajacych atakow. Kiedy ktoregos dnia obrosniety masa pnaczy lesny olbrzym runal na ziemie

przygniatając gąszcz krzewów, przekonaliśmy się, że Świątynia Księżyca nie była jedyną pozostałością Dawnego Ludu w naszej dolinie.

Zobaczyliśmy bowiem kamienne kolumny, które chyba miały moc powstrzymywania roślinnych intruzów. Było ich siedem, niemal równie wysokich jak Garn, a ustawiono je tak blisko siebie, że z trudem można by wsunąć między nie rękę.

Kolumny te nie były szare jak okoliczne skały, lecz matowo żółte, dziwnie nieprzyjemne dla oka, i choć od wielu lat wystawione na niepogody, miały gładką powierzchnię. Wydawało się, iż uformowano je z jakiegoś wstępnego młota, który zamarł i zestalił się podczas ostrej zimy. Z jednej strony, w połowie wysokości wylobiono spory prostokąt, a w nim wyryto jeden symbol, na każdej kolumnie inny.

Kiedy ścięte drzewo odsłoniło dziwne słupy, w gromadzie czarnych ptaków się zakotłowało. Z wrzaskiem wirowały tuż nad drwałami i wyglądało to tak groźnie, że Garn kazał im się wycofać, pozostawiając na ziemi ściętego z takim móżdżkiem lesnego olbrzyma.

Na szczęście - tak wtedy myśleliśmy - ptaki tak zachowywały się tylko przez krótki czas. Później odleciały na zachód i już nie wróciły. Po trzech dniach Garn rozkazał przywieźć ścięte drzewo. Nie musiał nikogo ostrzegać przed zbliżaniem się do niesamowitych kolumn, nie zrobiliśmy też żadnego drzewa rosnącego w ich pobliżu. Już wtedy wszyscy obawialiśmy się takich śladów Dawnego Ludu.

Zakończyliśmy ciężkie i pracochłonne zaorywanie łak i zasialiśmy pola troskliwie przechowywanym ziarnem. Mimo to nikt nie zaznał spokoju, dopóki nie pojawiły się kielki dowodzące, że przywiezione ziarno przyjęło się w obcej ziemi. Jeśli nie przytrafi się jakas dobrze znana rolnikom klęska, w tym roku zbierzemy plony, choć nie będą one wielkie.

Część kobiet pod przewodnictwem Fastafsy, starej niani pani Leny, która teraz prowadziła dom Garnowi, zajęła się poszukiwaniem jadalnych roślin. Znalazły dojrzewające jagody i nadające się na przyprawę zioła. Wprawdzie na niebie świeciły obce gwiazdy, ale pod wieloma względami ta kraina przypominała naszą dawną ojczyznę.

Podciągnęliśmy pod dach dwór; jego ściany nie wzniesiliśmy z kamienia, lecz z ociosanych bali. To nasze pierwsze schronienie było długim budynkiem, podzielonym na izby, w których miały zamieszkać pojedyncze rodziny; duża centralna sala przeznaczona na wspólne posiłki, zarówno przy wysokim jak i przy niskim stole. Z obu stron budynku znajdowały się przepastne kominki - trzeci z boku wielkiej sali - na rozkaz Stiga przemyślnie zbudowane ze specjalnie dobranych kamieni, wydobytych z dna rzeki, gdzie wygładziła je woda. Kiedy ukończyliśmy dach z dranic mocno przywiązanych do trzech długich, środkowych belek, a podparty od wewnątrz mocnymi słupami, urządziliśmy małą uroczystość. Wybraliśmy najmłodszego syna Stiga, by wspinał się na szczyt dachu i przymocował tam pięć przygotowanych przez kobiety szczęśliwych ziół.

Natomiast dla naszej nielicznej trzody i malego stada bydła zbudowaliśmy zagrody. Nie wiedzieliśmy jeszcze, jak surowe bywają w tym kraju zimy. Ci z nas, którzy umieli polować, wyruszali codziennie na łowy, żeby uzupełnić zapasy mięsa, które wędziliśmy nad ogniem. Rzeka była bogata w ryby i napełniliśmy nimi kilka beczek.

W tych pracowitych dniach nie widywaliśmy nikogo poza członkami naszego klanu. Ja sam z jakąś nadzieją oczekiwałem powrotu Mieczowych Braci. Ale żaden nie przybył i nikt z ludzi Tugnessa nie przywedrował z sąsiedniej doliny, żeby zobaczyć, jak nam się wiedzie. Za każdym razem, gdy patrolowałem okoliczne szczyty - gdyż Garn nadal tego wymagał - zatrzymywałem się przy Świątyni Ksieżyca, żeby poszukać śladów Gathej.

Już dawno przekwitły różowe kwiaty na okalających plac drzewach, które okryły się osobliwymi liśćmi. Były ciemne i bardzo polyskliwe, o delikatnych żyłkach, które lśniły w słońcu takim samym błękitem, jak symbole wykute przez starożytnych budowniczych.

Dwukrotnie zastałem tam Lynne, wpatrzona w świątynię, jakby czegoś tam szukała, i za każdym razem wydawała się zaskoczona moim przybyciem. Kiedy spotkałem ją tam po raz pierwszy, poprosiła mnie, żebym nikomu nie mówił, iż odwiedziła to miejsce. Zdawałem sobie sprawę, że postępuje niewłaściwie, ale posłuchałem jej prośby, wcale nie dlatego, iżbym uważał ją za panią mojego serca; na to byliśmy ze sobą zbyt blisko spokrewnieni, zresztą przez całe życie traktowałem ją jak siostrę.

Te jej potajemne wizyty bardzo mnie martwiły, nie należała bowiem do ludzi, którzy szukają przygod. Była niesmiała, bojaźliwa panna, która znajdowała zadowolenie w kobiecych pracach na zamku. Umiała szyc, warzyć piwo, piec i kierować domem niemal równie dobrze jak sama Fastafsa. Ojciec zareczył ją z drugim synem pana Farkona. Była to doskonała partia i ten związek mogłby zapewnić Garnowi i całemu naszemu klanowi silne poparcie, mimo że jeszcze nie wyznaczono daty dla Plomienia i Czary. Szlachta nie zawierała małżeństw z miłości, lecz dla dobra swego Domu i bogactwo grało w tym nieposlednią rolę.

Rolnicy mieli w tym względzie więcej swobody, choć i wśród nich młodzi ludzie cierpieli, gdy ten lub ów ojciec aranżował małżeństwo, które miało przynieść li tylko korzyści obu rodzinom. Chyba że dwa razy spotkałem Lynne na wiejskich zaślubinach, gdy uważnie przyglądała się uśmiechniętej twarzy narzeczonej. Czy kiedykolwiek pomyślała o długiej podróży brzegiem morza, która odbędzie, w stosownym czasie? Czy przyszło jej do głowy, że później może już nigdy nie zobaczyć doliny, którą rzucił jej ojciec?

Nigdy nie rozmawialiśmy o takich sprawach, gdyż obyczaj tego zabraniał, ale nie wątpię, że słodka twarzyczka Lynne, jej spokojny charakter i zdobyte umiejętności zapewniają jej uprzywilejowaną pozycję w każdym zamku. Widziałem też syna pana Farkona - wysokiego, dość przystojnego młodzieńca cieszącego się zarówno łaskami ojca jak i przyjaznią brata, co przecież zdarza się nader rzadko - byłem więc przekonany, iż w ostatecznym rozrachunku dopisze jej szczęście.

Nie powiedziała mi, choć ja o to zapytałem, dlaczego wbrew zasadom dobrego wychowania wymykała się do Świątyni Księżyca. Odparła tylko, że musiała to zrobić. Potem zmieszła się i była bliska łez, toteż nie wypytywałem dalej. Przestrzegłem ją tylko przed niebezpieczeństwami, na jakie się naraza, i próbowałem wymoczyć przyrzeczenie, że więcej już tu nie przyjdzie.

I tak przysięgała na wszystkie świętości, że mnie posłucha, aż jej uwierzyłem. Mimo to znalazłem ją skuloną na skraju brukowanego placu, niby przed drzwiami komnaty, do której bardzo chciała, ale nie miała odwagi wejść. Za drugim razem oświadczyłem, że już nie wierzę jej obietnicom i że porozmawiam z Fastafsa, która odtąd będzie jej pilnować i nie pozwoli wymykać się z doliny. Lynne rozplakała się żalosnie, jakby utraciła bezcenny skarb. Podporządkowała się, ale z taką ponurą miną, że poczułem się jak kat znecający się nad dobrą duszą, chociaż wszystko robiłem dla jej dobra.

Wkrótce po tym, jak zbudowaliśmy dwór, nadeszła jesień. Krewni Garna i wiesniacy pracowali razem, pospiesznie zbierając plony. Nasze ziarno dobrze się spisało w tej dziewiczej ziemi. Stig powtarzał w kółko, że zbiory są większe niż się spodziewał. Układał już nawet plany wzięcia pod uprawę nowych pól na wiosnę.

Mniej więcej w tym samym czasie, podczas polowania w najdalej położonej na zachód części doliny, Hewlin natrafił na trzeci ślad świadczący, że kiedyś ta ziemia miała innych panów. Szedł brzegiem strumienia płynącego stromym wąwozem ku naszej rzece i odkrył dolinę większą od tej, w której się osiedliliśmy. Znalazł w niej stare drzewa obciążone owocami, których nie zdążyły jeszcze zjeść ptaki ani tutejsze dziki. Widac było wyraźnie, że jest to sztuczny sad, gdyż drzewa rosły rzędami; tu i owdzie ziała wyrwa po uschniętym drzewie, a w niej stoczony przez robaki pien. Udalismy się tam cała gromada na owocobranie: Fastafs i jej kobiety, Everad i ja oraz trzech druhymników. Lynne nie przyłączyła się do nas, mówiąc, że nie czuje się dobrze. Fastafs pozostawiła ją leżącą w łozu w jednej z komnat zamieszkiwanych przez krewnych Garna.

Szlismy cały dzień, bo wędrowka wzdłuż wartkiego potoku w ponurej i głębokiej skalnej szczelinie nie była łatwa. Przypuszczałem, że wiosną, kiedy poziom wody się podniesie, ta droga zostanie zamknięta - świadczyły o tym pozostałe wysoko na skalach ślady wezbranych wód.

Po dotarciu na miejsce, zabralismy się razno do pracy. Zbrojni czuwali na naszym bezpieczeństwie, a reszta napelniała i opróżniała koszyki. Ja i Everad pobieżnie zbadaliśmy dolinę. Wydała się nam bardzo obiecująca; jeżeli Garn zechce rozszerzyć w tę stronę naszą posiadłość, zyskamy dobre pastwiska i powiększymy zasięg pól.

Poza starożytnym sadem nie natrafiliśmy na żadne ślady Dawnego Ludu. Dodalo nam to otuchy. Nie zobaczyliśmy też złowroźnych ptaków. Rankiem trzeciego dnia wstaliśmy wczesnie, szykując się do powrotu. Każde z nas dzwigało pełny kosz z pokrywą, tylko obaj druhymnicy mieli wolne ręce. Wszystkich dreczył niepokój, jak gdybysmy przebywali na

skraju nieprzyjacielskiej ziemi. Zastanawiałem się, dlaczego tak się działo. Poza czarnymi ptakami - a te już dawno odleciały - nie natrafiliśmy w tym kraju na nic, co mogłoby nam zagrażać. A mimo to zachowywaliśmy się tak, jakby w każdej chwili groził nam nieoczekiwany atak. Po powrocie okazało się, że zło, któregośmy się tak podświadomie obawiali, w końcu zebrало wszystkie siły i zadało nam drużogocacy cios. Na spotkanie wyjechał nam Hewlin w pełnym rynsztunku bojowym. Na jego widok mężczyźni zbliżyli się do siebie, kobiety zaś zbily się w gromadkę za nami. Wszyscy zamilkli, choć jeszcze przed chwilą śmialiśmy się i śpiewali.

Dowódca drużyny Garna schylił wodze i po kolei zmierzył każdego ostrym spojrzeniem, jakby kogoś szukał.

-Czy panią Lynne była z wami? - Zatrzymał się przed Everadem.

-Nie, nie poszła z nami! Była chora, tak powiedziała... Fastafso! - Everad zwrócił głowę ku starej niani, która teraz przepchnęła się do przodu. Oczy miała szeroko otwarte, a jej zwykle rumiana twarz pobielała jak płótno.

-Panią... Co powiedziała? - Wyminęła Everada i przemówiła gorąco do Hewlina: - Została w zamku. Przed odejściem dałam jej napój nasenny. Trudno było przy niej siedzieć i jej doglądać. Co z nią zrobiliście?!

-Lynne zniknęła. Oświadczyła służebnej, że czuje się lepiej i że obie was dogonia. Poprosiła ją, żeby przyniosła sakwę z żywnością. Kiedy dziewczyna wróciła do komnaty, naszej panią już tam nie było.

Poczułem się nieswojo. Wiedziałem, dokąd mogła pójść Lynne. Ale najbardziej niepokojący był fakt, że jeśli zniknęła tuż po naszym odejściu, to nie było jej już czwarta doba! To mnie wstrząsnęło. Obowiązek wymagał, bym natychmiast wyznał wszystko i poniósł konsekwencje.

Stojąc przed Garnem zdawałem sobie sprawę, że jest panem mojego życia i śmierci - ale to było nic w porównaniu z myślą, że Lynne mogła być narazona na napast podobnego drapieżnika, jakiego Gathea wybrała sobie na towarzysza. Opowiedziałem więc o potajemnych wizytach Lynne w Świątyni Księżyca.

Garn nosił naszywane żelaznymi łuskami rękawice. Teraz zadał mi pięścią tak mocne uderzenie, przed którym się nie uchyliłem, że runąłem jak długi, czując w ustach słony smak krwi. Wtedy sięgnął po miecz i wyciągnął go do połowy z pochwy. Leżałem na ziemi, nawet nie próbując się bronić. Miał prawo poderżnąć mi gardło, jeśli uznał, że na to zasłużyłem. Sprzeniewierzyłem się bowiem przysiędze i zerwałem tym samym więzy pokrewieństwa. Wszyscy, którzy nas milcząco otaczali, dobrze o tym wiedzieli. Obowiązek nakazuje być posłusznym swemu panu i to stanowi nasze najwyższe prawo. Ktoś, kto temu uchybi, zgodnie z odwiecznym obyczajem zostaje wygnany z klanu, staje się banita.

Garn wsunął miecz na miejsce i odwrócił się do mnie plecami, jakbym nie wart był śmierci. Krzyżąc wydawał rozkazy swoim domownikom. Pozostawiono mnie samemu sobie, jakbym przestał dla wszystkich istnieć. I tak właśnie było.

Podniłem się z trudem. Kreciło mi się w głowie, lecz znacznie bolesniejsze od najsilniejszego ciosu, jaki Garn mógłby mi zadać, było poczucie winy. Zdradziłem mojego suzerena. Nie mogłem tutaj pozostać. Wszyscy będą mnie traktować jak powietrze.

Patrzyłem, jak pili się po zboczu ku Świątyni Księżyca. W jakiś sposób wiedziałem, iż nie znajda tam Lynne. Mimo że złamałem przysięgę wasala i stałem się banita, coś jeszcze mogłem zrobić.

Nic nie przywróci mi zaufania Garna ani pozostałych członków klanu. Zylem, choć wolałbym, żeby mój pan wybrał łatwiejszą zemstę i mnie zabił, a z jego twarzy wyczytałem, że właśnie taki miał zamiar. Nie, tego, co się stało, nie zdolam już cofnąć, ale mogłem w pewien sposób pomóc Lynne.

Opisując Garnowi sekretne odwiedziny mojej kuzynki w Świątyni Księżyca, nie wspominałem o Gathej, tak byłem zdruzgotany własną bezmyślnością. Gdybym teraz poszedł do Madrej Kobiety i do jej służki, miałbym nikłą szansę odnalezienia śladów Lynne. Nie wątpię, że wiedziały one o starożytniej świątyni więcej niż ktokolwiek z nas.

Byłem bezimiennym wygnancem. Nie miałem prawa do niczego, nawet do miecza, który nosiłem u pasa. Garn mi go nie odebrał, więc go zatrzymam. Może nawet mi posłuży. Nie myślałem o odkupieniu mojej winy, ale o odszukaniu zaginionej.

Odwrociłem się plecami do zabudowań i poszedłem w stronę morza. Zamierzałem dostać się do doliny Tugnessa i porozmawiać z Madra Kobieta. Pozostawiłem helm z herbem klanu tam, gdzie upadł, a razem z nim moja kusza. Z obnażoną głową i pustymi rękami, slaniając się na nogach, czasem widząc wszystko podwójnie, powlokłem się w dół rzeki.

Noc spędziłem nad morzem. Podpełzłem do jednego z licznych słonych bajorek i umyłem twarz w piekacej wodzie. Jedno oko całkiem mi zapuchło i bardzo bolała mnie głowa. Kolatała się we mnie tylko jedna myśl: muszę odnaleźć Madra Kobieta albo Gathee, ponieważ obie znają Świątynię Księżyca i wiedza, jaka moc w niej się kryje.

Kiedy Garn nie zastanie tam swojej córki, wyśle za mną posąg. Nie wiedziałem, skąd i dlaczego, ale byłem pewny, że nie znajdzie jej śladów. Mój dawny pan na pewno zapalał chęć zemsty i każdy członek klanu, który mnie zabije, zyska jego łaski. Jeżeli chce pozostać przy życiu dostatecznie długo, by pomóc Lynne, muszę uważać. Ale tak huczało mi w głowie, że co kilka kroków padałem na piasek albo pełzłem w kolko, póki chłodne fale nie przywróciły mi przytomności.

Resztkami sił wlokłem się tak przez cały dzień i całą noc. Czasami wydawało mi się, że słyszę za sobą jakieś krzyki. Raz odwróciłem się, czekając, aż uniesiony miecz zada mi



smiertelny cios, lecz to tylko morskie ptaki nawolywały się w gorze.

W jakiś sposób udało mi się dotrzeć do zatoki, gdzie wozy Tugnessa skreśliły w głąb lądu. Oparty o skałę spróbowałem zebrać myśli. Jeżeli pójdę nie kryjąc się, narazę się na śmierć. Jakkolwiek Tugness nie był przyjacielem Garna - a może właśnie dlatego, że nim nie był - z prawdziwą przyjemnością wydał mi tym, którzy mnie ścigali. Trafiliby mu się nie lada gratka - opowieść o bliskim krewnym pana Garna, który go zdradził.

Dlatego muszę jakos wykorzystać swoje umiejętności, wymknąć się ludziom Tugnessa i po kryjomu odszukać Madra Kobietę. Zresztą nie mogłem mieć pewności, czy czarownica w ogóle zechce mi pomóc, choć jej siostry niby nie zwracały uwagi ani na pochodzenie, ani na obyczaje klanów. Liczyłem więc, że jako uzdrowicielka zlituje się nademną i wskaże mi, gdzie się znajduje zaginiona córka Garna.

Nie pamiętam, jak dotarłem do doliny Tugnessa. Musiał kierować mną jakiś instynkt silniejszy od świadomości. Widziałem pola, stojący w oddali dwór zbudowany z drewnianych bali, a raczej trzy takie budynki, chyba że oczy znów mnie myliły. Myślałem, że przez większą część tego dnia leżałem nieprzytomny w jakimś zagłębieniu terenu. Pamiętam niejasno, że czarny ptak usiadł obok mnie i bolesnie dziobnął w twarz. Ale równie dobrze mogło to być tylko sen. Ocknałem się w nocy. Palilo mnie pragnienie, a skóra miałam aż bolesnie rozpalona.

Trzymałem się tuż przy skalnej ścianie, jeszcze bardziej stromej niż w dolinie Gama. Myślałem tylko o jednym: że gdzieś tutaj Gathea wspinała się na szczyt klifu i dlatego może i ja wymknę się wartownikom patrolującym granicę posiadłości Tugnessa, a potem znajdzie drogę do siedziby Madrej Kobiety. Podczas podróży trzymała się z dala od ludzi Tugnessa, na pewno więc nie przyłączyła się do jego domowników.

Padłem i podnosiłem się więcej razy niż mogłbym zliczyć, aż w końcu gorączka mnie zmogła. Zrobiłem ostatni krok, potknąłem się i upadłem na ziemię. Zapadłem się w mrok, który nie był snem, lecz czymś głębszym i trudniejszym do zniesienia dla ciała i umysłu.

I stało się tak, że odnalazły mnie te, których szukałem. Powoli, z przerwami, wracała mi świadomość. Zdawałoby się, że nie chciałem odzyskać przytomności. Nademną był niski dach z darnic przeplecionych i powiązanych suchymi pedami winorosli; całość wyglądała jak rżysko pozostałe po skoszeniu zboża. Zwisały z niego peki schnących lodyg, liści, galezi i kwiatów. Wszystko robiło wrażenie ogrodu odwróconego do góry nogami.

Nadal dokuczał mi tępy ból głowy, lecz już nie trawiła mnie gorączka. Ale kiedy spróbowałem podnieść rękę, mięśnie posłuchały mnie powoli i poczułem taką słabość, że się przestraszyłem. Później spróbowałem odwrócić głowę. Ból nasilił się i zaczął pulsować, ale teraz mogłem widzieć otoczenie, choć tylko jednym zdrowym okiem. Leżałem na posłaniu pod ścianą chaty, której było daleko do solidnego dworu Garna. Zobaczyłem jedynie parę żydli i palenisko ze zlepionych glina kamieni, na którym tlił się niewielki ogień.

Kamienie posłużyły też za podstawy do desek, zastawionych zawiniatkami, glinianymi garnuszkami, dzbankami i drewnianymi skrzynkami.

Powietrze przesycone było mnóstwem zapachów, aromatycznych i przyjemnych, dziwnych i wstretnych. Nad ogniem stał trojnogi metalowy garnek, w którym coś bulgotało, wydzielając won, od której zółdek rozboleł mnie tak mocno jak głowa.

Katem oka zauważyłem jakiś ruch. Kiedy zdołałem jeszcze trochę odwrócić głowę, zobaczyłem w półmroku - gdyż światło wpadało do wnętrza tylko przez dwa bardzo wąskie okna i otwarte drzwi - Madra Kobietę. Podeszła do mnie i dotknęła mojego czoła. Musiałem zapewne drgnąć, gdy znowu przeszył mnie ból.

-Goraczka opadła - mówiła cicho, lecz niemal równie szorstko jak Garn, gdy miotł nim gniew. - To dobrze. A teraz... - Podeszła do ogniska, nabrała warzachwia ciemnego płynu z garnka i wlała go do niekształtnego glinianego kubka, dodając trochę wody z wiadra oraz ze dwie lub trzy szczypty suszonych ziół.

Jakkolwiek podczas podróży ubierała się obyczajnie jak inne kobiety, teraz zastąpiła spodnicę czymś w rodzaju chalu, który sięgał jej tylko do kolan. Pod nim nosiła obcisłe spodnie, a na nogach miała myśliwskie cizmy takie same jak moje.

Wrocila do posłania, objęła mnie ramieniem i bez trudu uniosła. Moim zdaniem nie zdołałaby tego zrobić żadna inna kobieta. Następnie przyłożyła mi dymiaczy kubek do spieczonych i obolałych warg.

-Pij! - rozkazała i posłuchałem jej, tak jak dziecko słucha matki.

Napój był gorący i gorzki, ale przełknąłem go bez protestu i grymasów. Byłem pewny, że podała mi leczniczy napar. Kiedy wysaczyłem zawartość kubka i Madra Kobieta chciała wstać, schwyciłem ją za rękaw i przytrzymałem. I wtedy powiedziałem jej całą prawdę, wiedząc, iż muszę to uczynić teraz, gdy mam jasny umysł, bo przemilczając postąpiłbym jeszcze gorzej niż w stosunku do Garna.

-Jestem banita. - Zaskoczyło mnie brzmienie mojego głosu. Bez najmniejszego trudu ułożyłem sobie zdanie w myśli, a teraz każde słowo musiałem wprost z siebie wykrztuszać.

Czarownica znowu położyła mnie na posłaniu, a później rozwarła moje palce zacisnięte na jej rękawie.

-Jestes teraz chory - odparła, jakby to przekreślało najcięższą nawet winę. - Odpocznij...

A kiedy uparcie próbowałem jej wszystko wyjaśnić, przycisnęła mi palce do spuchniętych, zniekształconych ust tak silnie, że aż drgnąłem z bólu. Potem wstała i nie zwracając już na mnie uwagi zaczęła się krzątać po chacie. Policzyła zawiniatki i skrzyneczki ustawione na zaimprovizowanych polkach, od czasu do czasu ktoś wyjmując, to stawiając w innym

miejscu, jakby wszystkie musiały być zgrupowane według pewnego klucza.

Możliwe, że to jej napar spowodował ogarniająca mnie senność, gdyż oczy same mi się zamykały. I znowu zapadłem się w otchlan, na szczęście wolna od snów.

Gdy zaś się obudziłem, to Gathea stała przy ognisku. Trojnogi garnek nadal tam kipiał i dziewczyna mieszała w nim łyżką o długim trzonku, trzymając się z dala od niego. I dobrze, gdyż co jakiś czas jego zawartość pryskała na wszystkie strony, sycząc w ogniu, który rozjarzał się w odpowiedzi. Musiałem nieswiadomie wydać jakiś dźwięk albo też Madra Kobieta poleciła swojej uczennicy mnie doglądać, bo ledwie otworzyłem oczy, a Gathea już na mnie spojrzała. Potem wyjęła łyżkę z garnka, odłożyła ją na polkę i podeszła do mnie z kubkiem.

Nie życząc sobie jej pomocy, sam uniosłem się na łokciu. Podawała mi czystą wodę. Wypiłem do dna i opadłem na posłanie. Nigdy nic mi tak nie smakowało, jak ów chłodny, życiodajny płyn. Zaspokoiwszy pragnienie zmusiłem się do wyjaśnienia dziewczynie tego, czego jej pani zdawała się nie rozumieć.

-Wygnali mnie... - Zadarłem owiniętą bandażem głowę i patrzyłem jej prosto w oczy. Tak, okryłem się hanbą. Ale wiedziałem, iż tylko ode mnie zależy, ja będę nieść to brzemie, dobrze czy źle. - Pan Tugness wiele zyska, odsyłając mnie do Garna. Może będzie miał za złe twojej Matce Kobięcie, jeśli ona mu nie wyjawia, że tu jestem.

Gathea przerwała mi, marszcząc brwi.

-Zabina nie jest krewną pana Tugnessa. Nie obchodzi ją, czy on coś robi, czy nie robi. Jesteś ranny, potrzebujesz pomocy, a to należy do jej rzemiosła i nikt nie ma prawa jej tego zabraniać!

Gathea też nic nie rozumiała. Członkowie naszych klanów uważają banitów za wykletych i ci, którzy udziela im schronienia, sami mogą popaść w tarapaty. Już nigdy żaden mężczyzna ani żadna kobieta nie odezwie się do mnie uprzejmie. Byłem żywym trupem, a ktoż pragnąłby towarzystwa bezimiennego wygnanca?

-To z powodu pani Lynne... - Dopiero teraz przypomniałem sobie, po co tu przybyłem. Przecież wcale nie zamierzałem prosić o pomoc dla siebie! - Chodziła do Świątyni Księżyca. Kilkakrotnie ja tam spotkałem, ale nie powiedziałem panu Garnowi. Teraz ona zniknęła, może zwabiły ją jakieś tutejsze złe moce...

-Wiemy o tym - przytaknęła Gathea.

-Wiecie? - Spróbowałem usiąść i jakos mi się to udało, mimo że głowa tak mi ciążyła, jakbym nosił podwójny żelazny hełm. - Widziałas ją? - Pomyslałem, że może Lynne spotkała Gatheę i może nawet u niej się schroniła. Tylko po co miałaby to robić?

-Mowiles o tym w goraczce. - Tymi slowami odebrala mi nadzieje. - Poza tym pan Garn przybyl tu szukajac jej, a pozniej pojechal na zachod, poniewaz tutaj nikt nic o niej nie wiedzial.

-Na zachod... - powtorzylem. W nieznane, na tereny, ktorych nawet Mieczowi Bracia woleli unikac. - Co moglo skierowac tam lynne?

-Mogla zostac wezwana - odparla Gathea, jakby wyczytala te mysl w moim umysle. - Poszla do swiatyni w noc pelni ksiezycy i nie miala tarczy ochronnej...

-Wezwana... Przez kogo i dikad? - zapytalem.

-Moze nie masz prawa o tym wiedziec. Zabina o tym zadecyduje. A teraz... - Gathea przyniosla mi pajde swiezo upieczonego chleba oraz miske z rozgotowanymi owocami i dokonczyla: - ...a teraz jedz i wracaj do sil. Moze jest jakas droga dla ciebie i dla innych.

Pozostawwszy posilek w moich trzesacych sie rekach wyszla z chaty. Tylko sobie moglem zadawac pytania, na ktore nie znalazem odpowiedzi.

## Rozdzial V

Walczyłem z własną słabością, starając się odzyskać dość sił, żeby opuścić to miejsce. Wiedziałem bowiem, że bez względu na to, czy Zabina była Madra Kobieta, czy też nie, szukała nieszczęścia dając mi schronienie. Pan Tugness nie należał do ludzi, którzy kierują się obyczajem, jeżeli inne postępowanie może im przynieść jakies korzyści. Wprawdzie znałem go tylko ze słyszenia, ale w każdej plotce zawsze jest ziarno prawdy. Przy każdym ruchu nadal dreczył mnie tępy ból głowy, lecz mogłem już patrzeć na drugie, dotychczas całkowicie zapuchnięte oko. Mimo silnych, napływających falami zawrotów głowy, zdołałem włożyć spodnie, wsunąć stopy w myśliwskie cizmy i włożyć ręce w rekawy lnianej koszuli, która wyprano i starannie złożono wraz z resztą mojego ubrania, kiedy wróciła Madra Kobieta.

Zabina natychmiast przeszła przez małą izbę i stanęła przede mną marszcząc brwi.

-Co chcesz zrobić? - spytała.

Wciągałem własnie koszule przez głowę, sztywniejac cały w oczekiwaniu na ból, który przeszył mnie nawet przy tak lekkim dotknięciu. Nie mogłem się jej uklonić, powiedziałem więc tylko dwornie:

-Pani, chciałbym jak najszybciej opuścić twój dom. Jestem banita... - I znowu nagłym gestem nakazała mi milczenie, po czym zapytała:

-Czy wiesz, co jest powodem wrogości między Tugnessem i Garnem?

-To nie wrogosc miedzy nimi, ale dawna wasn pomiedzy ich klanami - odparlem z zaskoczeniem.

-Ach, tak. Rzeczywiscie dawna. Dlaczego glupi ludzie czepiaja sie takich spraw? - zapytala ze zniecierpliwieniem. Machnela znow gwaltownie reka, jakby zmiatajac owa glupote. - Zaczelo sie to na dlugo przed urodzeniem Garnowego ojca, to znaczy malzenstwo z porwana dziewczyna.

Siedzialem jak skamienialy. Szumialo mi wprawdzie w glowie, ale nie bylem az tak oglupialy, by nie odgadnac, co miala na mysli.

Az do tej chwili nie przyszlo mi do glowy, ze znikniecie Lynne moglo byc po prostu dzielem czlowieka. Latwiej mi bylo zaakceptowac fakt, ze moja kuzynke porwali nasi dawni wrogowie, niz ze pojmany ja sily wyzwolone w zapomnianej swiatyni. Lecz jesli tak sie rzeczy mialy, moja wina byla znacznie wieksza! Przeciez Thorg musial od dawna nas szpiegowac, obserwowac Lynne, czekac na dogodna okazje. Tymczasem ja, ktorego wyslano na patrolowanie szczytow, nawet nie podejrzewalem, ze ktos nas sledzi. Bylem glupcem zbyt zafascynowanym obcoscia tej krainy, zeby myslec o niegdysiejszych, zda sie przebrzmialych sprawach.

Mysl, ktora mi podsunela Madra Kobieta, zawladnela mna bez reszty. Dodala mi nawet sil i wstalem z poslania. Moze nie zdolalbym wygrac bitwy z nieznanym, ale na pewno pokonam Thorga. Dajcie mi tylko miecz do reki!

Mowilem teraz wladczyni tonem, choc jeszcze przed chwila nie potrafilbym sie odezwac w ten sposob:

-Twoja sluzka mowila o mocy Swiatyni Ksiezyca. Ty zas kierujesz moja uwage na Thorga i dawne spory. Co jest prawda?

Zabina spochmurniala i zagryzla wargi, wyraznie powstrzymujac slowa cisnace sie na usta.

-W ostatnich dniach Thorg wielokrotnie zgloszal sie na ochotnika na polowanie - powiedziala po namysle. - Przechodzil tedy w drodze na plaskowyz, ale wydaje mi sie, ze niekiedy go zawodzi jego lowieckie umiejetnosci, bo najczesciej wracal z pustymi rekami. Nie jest tez zareczony z zadna panna, poniewaz nikt nie chcial przyjac propozycji przedstawionej przez jego ojca. Musialam go przestrzec, gdy spostrzeglam, iz zbyt czesto przyglada sie Gathej. Pozada teraz jakiejkolwiek kobiety. To klotliwy rod i niewiele dobrego mozna o nim powiedziec od trzech pokolen, albo i wiecej. Poza tym byl tez Kampuhr...

-Kampuhr? - powtorzylem. Moglem zaakceptowac wszystko, co powiedziala, z wyjatkiem tej ostatniej aluzji, ktorej nie zrozumialem.

-To nie ma znaczenia procz tego, ze dotyczy ich przeszlosci. - Wzruszyla ramionami. -

Wystarczyło jednak, żeby ludzie zaczęli się zastanawiać, jakie naprawdę stanowisko zajmował pan Tugness w pewnej sprawie, która była ważna w swoim czasie. Ale to już tylko przeszłość!

Wbiła wzrok w moje oczy, jakby chciała, bym zapomniał o tym, co powiedziała, jakby żalowała słów, które jej się wymknęły. Czy rzeczywiście? Byłem przekonany, że Zabina nie popełniała takich błędów i że całkowicie świadomie wymówiła to imię. Nie rozumiałem tylko - dlaczego.

-A Thorg? - spytałem. Zdecydowałem przyjąć jej warunki i zmieniłem temat. W owej chwili znacznie ważniejsza dla mnie była teraźniejszość aniżeli wspomnienia z odległej przeszłości.  
- Czy jest teraz we dworze?

Pokreciła przecząco głową.

-Wyszedł wczoraj o wschodzie słońca i dotąd nie wrócił. Przedtem też go nie było przez całą dobę.

Mógłby więc zrobić to, co sugerowała Madra Kobieta. Albo spotkać się z Lynne i w jakiś sposób pozyskać jej względy, albo, znając już jej przyzwyczajenia, porwać ją i zawieźć do jakiejś kryjówki, których nie brakowało w tej nieznannej krainie. Tak, znacznie łatwiej uwierzyłem w zbrodnię Thorga niż w to, że nieznanne moce uniosły gdzieś córkę Garna.

Wprawdzie niewiele wiedziałem o Thorgu i widziałem go tylko kilkakrotnie podczas podróży na północ, był jednak człowiekiem i nie wątpiłem, że zdolam go pokonać.

To, co zrobił, było niegdyś powszechnie przyjętym obyczajem wśród naszego ludu i dało początek wielu wasniom rodowym. Tak wielu, iż na długo przed moim urodzeniem zawarto uroczystą umowę, że szlachetnie urodzeni młodzieńcy i dziewczęta będą wcześniej zaręczani. I każdy, kto próbowałby zerwać taki związek, stawałby się banita.

Czy Thorgowi się zdawało, że skoro przybyliśmy do nowej ojczyzny i w okolicy było niewiele panien - a syn pana Farkona przebywał jeszcze w dolinie swego ojca - będzie mógł bezkarnie porwać Lynne? To, co o nim wiedziałem, wskazywało, iż był do tego zdolny. Poza tym upłynęłyby wiele dni, zanim ludzie pana Farkona przybyliby z pomocą, a Garn miał tylko garstkę drużynników, z których żaden nie znalazł położonych na zachodzie terenów. Pan Tugness mógłby się do niego przyłączyć dla zachowania pozorów i podstępnie opóźnić posąg, żeby jego syn zdążył osiągnąć swój cel. Wystarczyłoby bowiem, by Thorg tylko raz wszedł do loża Lynne a stałaby się ona jego żoną (mimo że jej krewni wciąż uważaliby dziewczynę za należącą do rodziny pana Farkona). Mógłby wtedy zmusić klan do zapłacenia posagu w każdej wysokości.

Oczami wyobraźni zobaczyłem dwa klany, może nawet trzy, toczące krwawy bój. Wylacznie z mojej winy. Gdybym bowiem uniemożliwił Lynne odwiedzanie starożytnej świątyni i sam nie nałożył sobie opaski na oczy, kiedy wrog szpiegował nas z ukrycia,

wtedy nigdy by do tego nie doszło. Garn słusznie mnie ukarał.

Mogłem teraz zrobić tylko jedno: odnaleźć Thorga, który jeszcze nie wiedział, że stałem się banita. Jeśli więc wyzwe go na pojedynek, stanie do walki. Moge... musze... go zabić, zmyć krew z niewagi wyrządzona naszemu Domowi, nie, Domowi Garna.

-Czy pan Tugness o tym wiedział? - Wsunąłem koszulę w spodnie i sięgnąłem po gruby, pikowany kaftan, który chronił moje ramiona od kolczugi.

-Jestes banita. - Madra Kobieta wzruszyła ramionami.

-Thorg o tym nie wie - odparłem, zmuszając się do przyjęcia hanby, która na mnie spadła.  
- Jeżeli dotrę do niego, zanim się dowie...

Zabina uśmiechnęła się, ale w jej uśmiechu nie było nic miłego. Wiele jej zawdzięczałem - opatrzyła mi rany, może przywróciła mi zdrowie, choć nadal byłem słaby. Zdawałem sobie wszakże sprawę, iż nie zrobiła tego z sympatii dla mnie, tylko należało to po prostu do jej rzemiosła. Wszyscy wiedzieli, że wiazała ją przysięga. Im szybciej więc opuści jej dom, tym lepiej.

-Trzeba ci zmienić opatrunek na głowie... - Podeszła do polek z lekami. Stąd wzięła dzbanuszek z balsamem, stamtąd zaś pudrko z proszkiem. Postawiła je na najszerzej polce i jąla mieszać proszek z dużą ilością balsamu. Później rozsmarowała uzyskana w ten sposób pastę na wąskim pasku materiału.

-Los ci sprzyjał - oświadczyła idąc ku mnie z bandażem, od którego bił świeży zapach ziół.  
- Masz pękniętą czaszkę. Garn rzeczywiście ma ciężką rękę. Ale twój mózg nie jest uszkodzony, inaczej byś tu nie siedział.

-Garn wcale nie uderzył mnie tak mocno, to od upadku. Zadał mi cios tutaj - powiedziałem dotykając ostrożnie spuchniętego podbródka. Zyskałem na tym tylko tyle, że Garn nie zabrał mi miecza, do czego miał pełne prawo. Może w gniewie zapomniał o tym ostatnim upokorzeniu, które mi się należało?

Madra Kobieta odwijając stary bandaż i nałożyła nowy wokół mojej obolałej głowy. Potem ujęła mnie mocno pod brodę i przez chwilę przyglądała mi się badawczo.

-Czy widzisz podwojnie? - zapytała.

-Teraz nie.

-To dobrze. Ale ostrzegam cię - jeśli wyruszysz w góry, zanim odzyskasz siły, niczego nie dokonasz i czeka cię pewna śmierć.

-Pani, znalazłem się tutaj właśnie dlatego, że niczego nie dokonałem. Jeżeli pójdę śladem

Thorga, może zwrócić panu Garnowi choć część tego, co utracił przez moje szalenstwo.

-Szalenstwo! - wykrzyknęła niecierpliwie. - A więc nieś to swoje brzemię niezasłużonej winy. Każdy człowiek idzie drogą, która jest mu przeznaczona i droga ta ma wiele zakrętów. Wydaje mu się, że kieruje swoim życiem, i nie wie, iż pewne nici zostały już ciasno splecione, zanim jeszcze zasiadł do krosien.

Wstałem z posłania.

-Pani, stokrotne dzięki za to, co dla mnie zrobiłaś. Masz teraz u mnie dług wdzięczności - jeżeli wolno tak mówić banicie. Lecz inny, dawniejszy dług ma u mnie pan Garn. I mimo że już nie należę do jego Domu, mogę coś zrobić w jego sprawie.

-Idź zatem swoją drogą. Radzę ci jednak uważać. Wiem, że i tak zrobisz, co uznasz za słuszną. - Odwróciła się do mnie plecami, gdy sięgnąłem po kolczugę.

Nalozylem ja z wielkim trudem. Przysiągłem sobie w duchu, że nie poproszę Zabiny o pomoc, a zresztą wydało mi się, iż już ze mną na swój sposób skończyła, tak jak wcześniej zrobił to Garn. Tymczasem Czarownica wzięła z najniższej polki miskę - nie z drewna czy z gliny - ale z lśniącego srebra. Trzymała ją oburącz i wpatrywała się w nią dłuższą chwilę. Wtedy spojrzała na mnie. Odniosłem wrażenie, że przez moment zastanawiała się nad jakąś ważną decyzją. Bez słowa odstawiała miskę na miejsce.

Następnie podniosła podróżną sakwę, włożyła do niej resztę balsamu, którym smarowała bandaż, oraz kilka małych pudełek. Ja tymczasem zapiałem pas i poluzowałem miecz w pochwie, tak bym mógł łatwo go wyjąć.

Do sakwy trafiły też podróżne suchary i skorzane zawiniatko z suszonymi owocami. Zabina nie dała mi jednak na drogę żadnego suszonego mięsa. Przypomniałem sobie, że uzdrowicielki go nie jadają. Na koncu wzięła do ręki manierkę, tę samą, którą miałem ze sobą na ostatniej wyprawie.

-Napelnij ją w źródle. To dobra woda, pobłogosławiona przez księcia - powiedziała kładąc sakwę i manierkę na macie obok mnie. Poczulem się dziwnie samotny, jakby i tu działała klątwa, którą rzucił na mnie Gara. Bo chociaż Zabina okazywała mi troskę, czulem, że chcę, bym jak najprędzej stąd odszedł. Nie mogłem mieć jej tego za złe.

Stałem, zwalczając słabość, która starała się znów powalić mnie na posłanie. Nie mogłem odejść tak bez słowa. Chciałem, by Madra Kobieta uznała mój dług wdzięczności. Wyjąłem więc miecz z pochwy i trzymając go za ostrze, wyciągnąłem rekojescia ku Zabinie. Oczekiwałem, że odrzuci to, co mogłem jej ofiarować. Byłem przecież żywym trupem i nawet nie miałem prawa rozmawiać z kimś takim jak ona.

Popatrzyła na miecz, po czym zmierzyła mnie przenikliwym spojrzeniem, ale, tak jak się spodziewałem, nie dotknęła rekojesci. Z bólem w sercu przyjąłem jej odmowę.



-My nie mamy do czynienia ani ze stala, ani z mieczem - odrzekla. - Nie odbieram tez holdow. Ale... Tak, przyjmuje to, co sie kryje za twoja propozycja, Elronie. Moze nadejdzie taki dzien, kiedy skorzystam z twoich uslug.

Schowalem znow miecz. Na ramionach poczulem gniotacy ciezar hanby. Ale po chwili uczucie to zniknelo i wyprostowalem sie, przeganiajac przykre mysli. Ta Madra Kobieta nie byla ani wielmoza, ani wodzem klanu, jednak mowila to, co myslala, i przynajmniej ona nie traktowala mnie jak zywego trupa. Podnioslem sakwe ze slowami podziekowania, lecz w duszy dziekowalem jej znacznie gorecej za to, co wlasnie zrobila.

-Sa tam lekarstwa na rany - powiedziala. - Ich przeznaczenie jest opisane na pokrywkach. Uzywaj balsamu i bandazuj glowe, dopoki nie przestanie cie bolec. I idz z moim blogoslawienstwem... - Nakreslila w powietrzu znak nie bedacy symbolem Odwiecznego Plomienia, ktorego strzegli Bardowie. Zapewne musial miec wielka moc, wiec ponownie schylilem glowe w podziece.

Chcialem jeszcze porozmawiac z Gathea i podziekowac za opieke. Ale nie bylo jej w izbie, a poniewaz Zabina wlasnie mnie odprawila, nie moglem dluziej tam pozostawac.

Wychodzac z chaty Madrej Kobiety spojrzalem na niebo: sadzac po sloncu, minelo juz poludnie. Na wschodzie zobaczylem pola uprawne i drewniany dwor Tugnessa. Dom czarownicy stal wysoko na zboczu i przyszlo mi do glowy, ze niewiele wyzej znajduje sie Swiatynia Ksiezyca, ktora lynne tak nierozwaznie odwiedzala.

Uznalem, ze to bedzie najlepsze miejsce do rozpoczecia poszukiwan. Ludzie Garna na pewno przeczesali okoliczne gory. Czy doszli do tego samego wniosku co Madra Kobieta - ze to nie zadna nadprzyrodzona moc ani nikt z dawnych mieszkancow tej krainy nie porwal mojej kuzynki, tylko uwiezil ja nasz dawny wrog?

Jesli mam slusznosc, to wszedzie w poblizu powinni sie kryc wartownicy, gotowi natychmiast przeszyc strzalami kazdego, kto probowalby opuscic te doline. Z jakaz przyjemnoscia zapolowaliby na mnie!

Napelnilem manierke woda ze zrodelka, ktore niewielkimi kaskadami splywalo ze skal, rozlewajac sie w potok w poblizu chaty czarownicy. Pozniej ruszylem wzdluz zbocza. Byla tam ledwie widoczna sciezka - moze wydeptala ja Gathea? Swiatynia Ksiezyca miala dla niej wielkie znaczenie i musiala ja czesto odwiedzac. Obejrzałem sie za siebie.

Na zachodzie paslo sie stado owiec i wiesniacy pracowali w polu. Nie zobaczylem zadnego jezdzca. Wydawalo sie, iz w dolinie panuje spokoj. Czy to oznacza, ze pan Tugness rzeczywiscie nie wie, co zrobil jego syn? A moze ten spokoj jest pozorny i ma wprowadzic w blad ewentualnych zwiadowcow? Nie umialem odpowiedziec na te pytania, gdyz w istocie nie znalem sasiada Garna. W kazdym razie nalezalo zachowac ostroznosc, bo gdyby mnie zauwazono, bylby zgubiony.

A może trzeba poczekać na zapadnięcie zmroku, który osłoni mnie przed mieszkańcami doliny? Z drugiej jednak strony potrzebowałem światła, by odnaleźć ślady Thorga.

Nie wątpię już, że Lynne zniknęła za sprawą dawnych wrogów pana Garna, ponieważ wydawało się to bardziej logiczne.

Ruszyłem więc ścieżką w górę, do starożytnej świątyni. Czy Lynne zainteresowała się nią tylko dlatego, że było to takie dziwne miejsce? Albo może spotykała się tam potajemnie z Thorgiem?

To przypuszczenie zmieniło moją opinię o córce Garna, jaką sobie o niej wyrobiłem. Potulna, łagodna, całkowicie pochłonięta sprawami gospodarstwa domowego, bezbarwna, niesmiała dziewczyna, posłuszna obyczajom naszego ludu. Czy rzeczywiście taka była? A może te wszystkie cnoty były tylko płaszczem, który chętnie zrzuciła, gdy odkryła nową wolność w Krainie Dolin? Spoglądając wstecz przekonałem się, że tak naprawdę niewiele o niej wiedziałem. Znalismy się od dziecka, lecz później, zgodnie z panującym obyczajem, prowadziła zupełnie inny tryb życia niż ja. To, co sobie teraz przypomniałem, czyniło z niej nieciekawą, obcą dziewczynę.

Co znaczył dla Lynne fakt, że nie pytając jej o zdanie, zareczono ją z nieznanym mężczyzną? Tak nakazywał zwyczaj, ale aż do dzisiejszego dnia nie myślałem o tym wiele. Przecież mogła się obawiać tej decyzji ojca. Czy powziela niechęć do narzeczonego, a Thorg to wykorzystał, by skłonić ją do złamania praw naszego ludu? Lynne ożyła w moich myślach, już jako czująca i wrażliwa dziewczyna.

Po bardzo powolnej wspinaczce dotarłem wreszcie na krawędź płaskowyżu. Po drodze badałem otoczenie w poszukiwaniu jakichkolwiek świeżych śladów i słabosc zmusiła mnie do kilkakrotnego zatrzymania się.

Natrafiłem jedynie na trop głęboko odcisnięty w wypelnionych ziemią zagłębieniach terenu. Mogły go pozostawić łapy wielkiego kota, który towarzyszył Gathej. Przeslizgiwałem się od jednej osłony do drugiej, nasłuchiwałem podczas częstych chwil odpoczynku, ale słyszałem tylko ptasi śpiew. Jeżeli ktoś się tu czaił, niczym nie zdradził swojej obecności.

Bez większego trudu zbliżyłem się do Świątyni Księżyca. Leżało tu sporo dużych, kamiennych bloków, za którymi mogłem się ukryć. Może umieszczono je tam celowo? Były to zwykle, nie ociosane glazy.

Wyzierając zza ostatniego już glazu wyraźnie widziałem otaczające świątynię drzewa, teraz tak gęsto pokryte liśćmi, że niemal zasłaniały zarówno kolumny jak i brukowaną przestrzeń. Na jednym z najbliższych drzew ktoś połamał gałęzie, jakby chciał się tamtędy przecisnąć. Ale odłamał i odrzucił na bok tylko kilka: może zrezygnował ze swych zamiarów i nie wszedł do świątyni.

Długie chwile czekałem nasłuchując; podniosłem nawet głowę, żeby wciągnąć w nozdrza

wiatr wiejący od strony posiadłości pana Garna. Nic jednak nie wyczułem. Jeśli i ktoś się tam czaił, to skrył się bardzo dobrze.

Nagle cały stezałem, gdyż pomiędzy drzewem, które utraciło dolne gałęzie, a jego nietkniętym towarzyszem dostrzegłem jakiś ruch. Na otwartą przestrzeń wybiegł wielki kot. Powiodł dokola wzrokiem, po czym spojrzał w moją stronę. Może mnie zobaczył, a może zwestrzył, byłem jednak pewny, że wiedział, gdzie jestem.

Obecność wielkiego zwierza świadczyła, że w pobliżu nie było wystawionego przez Garna wartownika. Ten drapieznik nie zachowywałby się tak swobodnie, gdyby miał do czynienia z więcej niż jednym człowiekiem. Wstałem więc i opuściłem swoją kryjówkę za głazem. Jeżeli wielki kot był tutaj, to może też się pojawi Gathea. A jeśli kot jest tu sam, czy pozwoli mi się zbliżyć i poszukać śladów Thorna i Lynne?

Okazało się, że moje pierwsze przypuszczenie było słuszne. Służka Zabiny wyslizgnęła się z zielonego cienia równie cicho i zrecznie, jak jej dziki towarzysz. Tak jak ostatnim razem miała na sobie skorzane spodnie i ciepły podróżny kaftan. Widocznie znow owinęła włosy wokół głowy, gdyż naciągnęła na nią obcisłą czapkę tej samej szarobrazowej barwy co reszta stroju. Stała na otwartej przestrzeni i patrzyła na mnie. Nie wydawała się zaskoczona moim widokiem, wręcz przeciwnie, odniosłem wrażenie, że czekała na moje przybycie, niecierpliwie się, iż trwało to tak długo.

Też miała ze sobą wyladowaną sakwę, jeszcze większą od mojej, oraz manierkę. U pasa zwisał jej niewielki noż. Takiego noża można było użyć przy jedzeniu albo zakładaniu obozu.

Przyglądała mi się bez słowa, gdy ku niej szedłem, jakby żadne powitanie nie było nam potrzebne. Wielki kot tylko zmarszczył ostrzegawczo górną wargę.

-Więc przybyłeś.

Nieco mnie to zaskoczyło. Czyżby myślała, że się wycofam? Może w oczach moich krewnych już na zawsze straciłem swój honor, ale chcąc zachować wiarę w siebie mogłem zrobić tylko jedno: wyruszyć na poszukiwania Lynne.

-Jeśli jest jakiś trop, powinien zacząć się tutaj - odparłem lakonicznie. - To właśnie tu ja znalazłem i tu musiał ją spotkać. Albo gdzieś w pobliżu. Nie mogli inaczej...

-Jaki on, jacy oni? - przerwała mi. Na jej twarzy odmalowało się zdziwienie.

-Thorg - wyjaśniłem niecierpliwie. - Zamierzał prowadzić niebezpieczną grę, zdobyć zone i okryć hanbą dom wroga.

-A co Thorg ma z tym wspólnego? - Nie odwracając się, ruchem głowy wskazała na ukrytą wśród drzew świątynię.

-Musiał spotykać się tutaj z Lynne, nakłonić ją do szalenczego postępu albo ją porwać. Tak łatwo można było ją przestraszyć. - Nie miałem takiej pewności, zwyłem jednak nadzieję, że się nie mylę i że moja kuzynka została porwana.

Gathea zrobiła krok do przodu. Przyglądała mi się badawczo, zdając się czytać w moich myślach. Kilka godzin temu Madra Kobieta zachowywała się tak samo.

-Dlaczego sądzisz, że to sprawka Thorga? - spytała.

-Twoja pani tak powiedziała.

-Naprawdę? Jesteś tego pewny? - odparowała tak szybko i ostro, że od razu przypomniałem sobie rozmowę z Zabina. Czy rzeczywiście oskarżyła Thorga? Przebiegłem myślami zapamiętane słowa. Ależ ona nic takiego nie mówiła! Zadała tylko jedno lub dwa pytania i wspomniała o przeszłości rodu Tugnessa, a reszta to były tylko moje przypuszczenia.

Gathea musiała to wszystko wyczytać z mojej twarzy równie szybko, jak do tego doszedłem. Skinęła głową.

-Zabina tego nie powiedziała - oświadczyła. - To ty włożyłeś swoje słowa w jej usta.

-Ale pozwoliła mi tak myśleć!

-Nie odpowiada za myśli kogoś, kto na gwałt szuka wroga!

-Ja go nie szukałem, dopóki ona sama o nim nie wspomniała! Kiedy stwierdziłem, że pojde jego śladem, nie odwiodła mnie od tego.

-A dlaczego miałyby to zrobić? Co ją obchodzi, że pokłocisz się z kims takim jak ty? Jeżeli wynikną jakieś kłopoty, ich źródłem będzie twój błąd w rozumowaniu. Nie dotkna one tych, którzy nigdy nie mieli z tobą nic wspólnego...

Rosło we mnie przekonanie, że te dwie kobiety igrają ze mną jak kot z myszą. Wprawdzie dobrze mnie pielegnowały, lecz nie kierowały się sympatią czy zainteresowaniem, spełniały tylko swój obowiązek. Podleczywszy, nie chciały mieć ze mną nic wspólnego. Zabina z wielką przebiegłością wysłała mnie na drogę wiodącą donikąd, a ta dziewczyna była wrogo do mnie nastawiona. Czemu jednak tak szybko zaprzeczyła sugestiom swojej pani? Przecież mogła podstępnie zwabić mnie na zachodnie pustkowia, gdzie łatwo bym się zgubił.

-Gdzie jest panienka Lynne? - zapytałem. Uznałem, iż nie mam czasu na rozmyślanie o tym, co może być, a co nie. Mogłem zrobić tylko jedno - odkupić swoją winę. Wydałem przecież moją kuzynkę na łup porywacza i nieważne, czy był to mężczyzna z naszego ludu, czy jakaś przerażająca moc, pozostałość minionej epoki.

-Nie wiem - odparła.

Uwierzyłem jej. Ale... Mogła nie wiedzieć, gdzie przebywa teraz Lynne, ale byłem przekonany, iż miała pewne pojęcie, co się z nią stało.

W owej chwili miałem na tak szalony gniew, że gotów byłem siłą i przemocą wydrzeć jej te tajemnice. Lecz wielki kot warknął szczerząc kły, pozostałem więc w miejscu.

-Została wezwana - powiedziała powoli Gathea. - Obserwowałam ją i wiem, że wcale nie przychodziła tu z ciekawości, jak sądziłeś. Nie, obudziły się w niej kobiece instynkty. Ona była... jest... w wieku, kiedy Wielka Pani każe kobietom dojrzewać. Nawet taka niewiasta jak twoja kuzynka, która przez całe życie przestrzegła ustanowionych przez mężczyzn praw i obyczajów, odpowie na kobiece magię, jeżeli będzie ona dostatecznie mocna. Dlatego przyciągnęło ją to miejsce, tutaj dotknięcie księżycą zachowało swoją siłę. Ponieważ jednak nie miała takich zabezpieczeń jak my, nie mogła się przed nim bronić.

-Nie wiem, o czym mówisz. Lynne przyszła do Świątyni Księżyca. I co się potem z nią stało? Nie rozwiała się w powietrzu ani nie zapadła pod ziemię. Mogł ją porwać tylko człowiek. Thorg.

Ku mojemu zaskoczeniu Gathea wybuchnęła śmiechem.

-Zatrzasnij drzwi swego umysłu i zarygluj je, tak jak ty i tobie podobni zawsze robiliście. Lynne zniknęła, ty zaś chciałbyś ją odnaleźć. Niech tak będzie, jeśli starczy ci odwagi. Ten kraj kryje w sobie wiele tajemnic. Szukaj ich i może trafisz na właściwy trop. A może nie? W każdym razie możesz spróbować.

Poprawiła zsuwający się pasek przewieszony przez ramię sakwy, odwróciła się i skierowała na zachód tak pewnie, jakby wiedziała, co tam znajdzie. Wielki kot kroczył obok niej.

## Rozdział VI

Patrzyłem, jak się oddalała. Nie ludziłem się, że wyciągnę z niej coś więcej ponad to, co już mi powiedziała. Była przekonana, iż to nie Thorg porwał Lynne i prawie jej uwierzyłem. Zawróciłem do świątyni. Dotarłem jednak tylko do wyrwy między drzewami, które ją otaczały, kiedy zrozumiałem, że nie zdolam wejść do środka. Znowu wyrosł przede mną niewidzialny mur. Stało się to tak szybko i z taką siłą, że cały zadrzałem. To miejsce znowu wzniosło przeciw mnie zapory, których nie mogłem przebyć. Próbowałem je pokonać, przelamać, napierając z całej siły, wszystko daremnie.

Chociaż otrzymałem staranne wykształcenie, nie nauczono mnie niczego, co pomogłoby mi wyjaśnić to zjawisko. Nasze klany przysięgały na Odwieczny i Jedyny Plomien, któremu składały hołd podczas dorocznego święta. Nasi Bardowie spisywali historie w swych kronikach i śpiewali o bohaterach, którzy zwyciężyli lub ponieśli klęskę. Nigdy jednak nie

slyszalem, by ktokolwiek spotkal sie z niewidzialna sila, ktorej nie pokonaliby nawet jezdzy z calego klanu.

W owej chwili nie czulem leku, ale gniew - gniewaly mnie braki w wyksztalceniu, moja ignorancja, a takze Zabina i jej sluzka. Bylem bowiem gleboko przekonany, ze wiedzialy znacznie wiecej, niz powiedzialy. Chyba, ze ich slowa mialy wprowadzic mnie w blad...

A wiec nie moge podejsc dostatecznie blisko, zeby sie przyrzec pustej swiatyni? To nic. lynne tam nie ma. Nie wrocila do posiadlosci Garna, ale gdzie musi byc. Odwrocilem sie i spojrzalem tam, gdzie skierowala sie Gathea i jej towarzysz. Mozliwe, ze moja kuzynka zawarla sojusz z ta bezczelna dziewczyna, choc nie wiedzialem po co. Przypomnialem sobie tylko wypchana sakwe Gathej. Pomyslalem, ze moze niesie jedzenie dla kogos, kto sie ukrywa. Nie rozumialem, po co moja kuzynka mialaby to robic, ale jesli ja na przyklad olsnily nauki Zabiny?

Madre Kobiety, czarownice... Poszukalem w pamieci wszystkiego, co o nich wiedzialem. Byly lekarkami i wedlug niektorych poglosek umialy sie poslugiwac pewnymi mocami. Zobowiazane byly uzywac ich tylko dla dobra ludzi i zwierzat, dlatego nie osmielano sie wystepowac przeciw nim i pozostawiano im calkowita swobode. Kazda wybierala sobie nastepczynie, ktora wychowywala i ksztalcila. Kiedy taka dziewczyna zostala wybrana, zrywala wszelkie wiezi ze swoim klanem i rodzina, bez wzgledu na to, jakie przedtem nosila nazwisko i z jakiego Domu pochodzila. Lecz nigdy nie slyszalem, zeby jakas czarownica wziala dwie uczennice. Czego Zabina mogla chciec od lynne, skoro juz miala Gathee? Poza tym wybieraly na pomocnice male dzieci, a nie dorosle panny.

Jedno bylo pewne: Gathea wie wiecej, niz mi powiedziala, jesli wiec mam odnalezc corke Garna, to tylko przy jej pomocy. Ruszylem wiec wypatrujac wielkiego kota, przyszlo mi bowiem na mysl, ze mogla mu kazac isc za soba, zebym nie odkryl jej sekretow.

Nie pozostawila zadnych widocznych sladow. Ale od czasu do czasu znajdowalem swiezy odcisk kociej lapy, zupełnie jakby sluzka Zabiny chciala mnie zachecic do dalszej wedrowki. Slad nie biegł wzdłuż krawędzi klifu, lecz nagle skrecił w wąską rozpadlinę, która tworzyła ukryta wśród skał drogę. Później dotarłem do znaku pozostawionego tak ostentacyjnie, że zacząłem się zastanawiać, czy dobrze zrobiłem idąc za Gathea. Zdjąłem bowiem z kolczastej gałązki niewielkiego krzewu strzep welonu. Był podobny do tego, którym lynne często zasłaniała twarz przed słońcem.

Najpierw odciski lapy, a potem to! Musza uważać mnie za skończonego durnia! Tylko fakt, że nie znalazłem innego tropu i przekonanie, iż Madra Kobieta i jej sluzka nie mogły sprzymierzyć się z synem Tugnessa, zatrzymały mnie na szlaku.

Dokonałem też innego odkrycia: w tej wąskiej rozpadlinie wykuto stopnie! Choc stare, zniszczone i bardzo wąskie, były zbyt regularne jak na dzieło natury.

W niektórych miejscach przykryła je warstwa ziemi i właśnie tam zobaczyłem najpierw ślady podroźnych butów, a potem nakładające się na nie odciski kocich łap. Nic więc dziwnego, że Gathea zniknęła mi z oczu: zeszła ta droga w dół.

Musiała jednak iść bardzo szybko, gdyż nie ujrzałem jej w oddali. Przyspieszyłem kroku, nabierając pewności, że jeśli tylko ją dogonię, dowiem się dostatecznie dużo, żeby odnaleźć Lynne.

Te niekształtne schody nie ciągnęły się bez końca, ale kończyły wąską drogą. Po obu stronach ostatniego stopnia wryto głęboko w skalnych ścianach dwa symbole. Jeden przedstawiał parę sterczących do góry rogów, drugi zaś fantastycznie skrecone linie, które mogły być napisanym runami słowem albo znakiem w dawno zapomnianym języku.

Przypadkiem musnąłem je palcami. Mój okrzyk odbił się echem wśród skał. Cofnąłem się gwałtownie. Tajemnicze symbole były gorące niczym rozżarzone węgle! Ten ból był tak ostry, że przyjrzałem się czubkom palców oczekując babli. Odtąd starałem się nie zbliżyć do nagich, szarych skał, które wyglądały tak niewinnie.

Dopiero teraz zobaczyłem Gathee. Zeszła daleko, mimo że droga pogrążona była w mroku; jej ściany stały się pochyle, niekiedy nawet się stykały góra, po czym znowu cofały, wpuszczając nieco światła.

-Gatheo! - zawolałem, przypuszczałem jednak, że na nic się to nie zda. I rzeczywiście, służka Zabiny ani nie spojrzała przez ramię, ani nie zwolniła kroku. Idący za nią kot również nie zwrócił na mnie uwagi. Pozostało mi więc tylko iść za nimi. Piekący ból w ręce słabł i jednocześnie rosła we mnie determinacja: Gathea musi mi wreszcie dać jasną odpowiedź.

Długo tak wędrowaliśmy, a jednak dziewczyna nie zwolniła kroku. Nie zdołałem też jej dogonić, mimo że szedłem najszybciej, jak mogłem. Dziwiło mnie to, zarazem podsycając mój gniew. Zawsze dzieliła nas duża odległość, jakkolwiek Gathea bynajmniej nie biegła, podczas gdy ja prawie klusowałem.

W oddali zrobiło się jasniej. Może zbliżamy się do końca ukrytej w skałach drogi? Czy zaprowadzi nas ona na skraj posiadłości Tugnessa, czy do doliny dawnego klanu? W obu wypadkach to dodatkowy kłopot. Będzie musiał obserwować uczennice Madrej Kobiety i jednocześnie wypatrywać szukających Lynne ludzi Garna.

Gathee i jej kot zniknęli w odcinającym się na tle mroku otworze. Zacząłem biec, żeby nie stracić ich z oczu, kiedy wyjdą na otwartą przestrzeń. Kilka chwil później moje obawy się sprawdziły.

Ta naga, skalista ziemia najeżona kamiennymi zadziórkami na pewno nie była częścią doliny Garna: trzy kregi z coraz to niższych głazów, jeden w drugim. Wysokie monolity nie zostały ociosane ani pokryte płaskorzeźbami jak kolumny w Świątyni Księżyca, niemniej jednak ustawiły je tu istoty rozumne. Na pewno nie miały służyć jako miejsce obronne, gdyż

człowiek mogłoby swobodnie przejść między kamiennymi blokami.

Rzuciłem się do przodu. W tej chwili smignęło szaro-białe ciało, przewracając mnie z impetem. Wielki kot przygniotł mnie do ziemi swoim ciężarem i oparł mi łapy na piersi, a jego groźne kły znalazły się o włos od mojego gardła. Usiłowałem sięgnąć po miecz lub choćby tylko po noż, lecz nadaremnie. Jednak... drapieżnik mnie tylko unieruchomił i nie zrobił nic złego.

Nagle zabrzmiał jakiś dźwięk, czy wezwanie może jakieś słowo, którego wszakże nie rozumiałem. Kot zmarszczył pysk w bezgłosnym warknięciu, zdjął ze mnie łapy i skulił się obok, jakby w razie potrzeby znowu zamierzał mnie zaatakować.

Mogłem teraz sięgnąć po miecz i wciąż leżąc już wyciągałem go z pochwy, kiedy Gathea wyszła spoza skalnego załomu, za którym przed chwilą skrywał się przede mną jej towarzysz. Jej spojrzenie było pełne pogardy.

-Czy jestem Thorgiem, wojowniku, że na mnie polujesz? - zapytała szyderczo. - Sądziś, że ukrywam twoją panienkę Lynne i ściagam na nią hanbę?

-Tak - odpowiedziałem stanowczo, a potem dodałem: - Może nie ściągasz na nią hanby, lecz masz swoje powody, by ukrywać dziewczynę.

Musiła się czuć niezwykle bezpieczna w obecności swojego porosniętego sierścią wasala, ponieważ wybuchnęła śmiechem. I gdy tak stała, opierając ręce na biodrze i obserwując mnie, stłumiłem w sobie gniew. Nabrałem pewności siebie. Wiedziałem już, co muszę zrobić.

-Odłóż miecz! - rozkazała. W kącikach jej szerokich ust o wąskich wargach igrał szyderczy uśmiešek. - I ciesz się, że cię powstrzymano przed wtargnięciem tam! - Ruchem głowy wskazała na kamienne kregi.

-A co mogło mi tam się stać? - zapytałem niepewnie, przypominawszy sobie, jak wyryty w skale symbol sparzył mi palce. Skąd mogłem wiedzieć, jakie tu groza niebezpieczeństwa?

-Wkrótce sam byś się o tym przekonał... Pomyślałem, że próbuję uchylić się od odpowiedzi.

Zerkając na drapieżnika, który przyglądał mi się uważnie, podniosłem się i stanąłem przed dziewczyną. W takiej pozycji czułem się znacznie lepiej.

-To pułapka - odezwała się nieoczekiwanie. - Chodź i sam zobacz.

Chwyliła mnie za rękaw i pociągnęła w prawo, skąd mogłem widzieć środek kamiennego kregu. Leżał tam twarzą do ziemi jakiś mężczyzna. Nie ruszał się. Kiedy chciałem do niego podejść, Gathea zacisnęła mocniej palce, powstrzymując mnie, a wielki kot z groźnym



pomrukiem zagroził mi swym ciałem droge.

-On nie żyje - powiedziała beznamiętnie służka Zabiny. - To niejaki Jamil z Domu pana Tugnessa. Śledził mnie - tak samo jak Thorg - ponieważ pozadał kobiety i uważał mnie za łatwą zdobycz. I kiedy wszedł do tego kregu, już z niego nie wyszedł. Myślałam, że oszalał, ponieważ biegł w kolko, aż upadł. Potem umarł.

Czy mogłem wierzyć jej słowom? Żaden mężczyzna nie odważyłby się podnieść ręki na Madra Kobiety. Lecz Zabina także twierdziła, że syn Tugnessa chodził za jej wychowanką. Gathea musiała dojrzec wahanie na mojej twarzy, gdyż dodała:

-Nie znasz pana Tugnessa i jego obyczajów. Wśród jego domowników są krzywoprzysięzcy i jeszcze gorsi. Oni... - Pokreśliła głową. - Ja i Zabina uważamy, że Bardowie niemądrze postąpili pozwalając, by Brama wymazała tak wiele z naszej pamięci. Wydaje mi się, że wpelzło razem z nami nasze zło i znalazło tu dobre warunki do rozwoju. Jeśli to prawda, Jamil poznał na własnej skórze sily, których nawet on nie mógł pokonać.

Teraz już nie wątpię, że mówiła prawdę, taką jaką widziała. Zamiary zmarłego budziły grozę - żadnemu zdrowemu na umyśle mężczyźnie nawet nie przyszłoby to do głowy. A co do Bramy... Ja również niejednemu raz zastanawiałem się, czy roztropnie było zaczynać nowe życie bez pewnych wspomnień. Opowieść Gathey jeszcze bardziej utwierdziła mnie w tym przekonaniu.

-Co go zabiło? - spytałem.

-Moc - odrzekła ponuro. - W tym miejscu kryje się ogromna moc, której nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Gruu może chodzić tymi ścieżkami. - Opuszczyła rękę i podrapała wielkiego kota za uszami. - Widziałam też, jak inne zwierzęta przechodziły przez ten krag bez szwanku. Ale sama nigdy nie zapuściłabym się tam, choćby przez wzgląd na moje życie i na tę wewnętrzną cząstkę mojej istoty, która jest ważniejsza niż dalsze istnienie ciała. Czy ty nic nie czujesz?

Przyglądała mi się bacznie i chcąc odzyskać pewność po ataku Gruu, zbliżyłem się do niesamowitych glazów wyciągając przed siebie rękę. Czy znajdzie tam niewidzialną ścianę? W duchu się na to przygotowałem. Wprawdzie nic mnie nie zatrzymało, lecz nagle przebiegły mi po ciele mrowki. Poczulem też, że grozi mi wielkie niebezpieczeństwo i że muszę wskoczyć do środka kamiennego kregu, jedyne bezpieczne schronienie przed groźnym cieniem, którego nie umiałem określić.

Powstrzymało mnie szarpnięcie za rękaw, którego Gathea nie wypuściła z ręki, i nacisk ciała Gruu na moje kolana. Cofnąłem się chwiejnym krokiem, a targający mnie dotąd gniew zamienił się w przerażenie. To przyciąganie było tak silne, że chciałem z nimi dwójgim walczyć, uwolnić się, ukryć w bezpiecznej kryjówce...

-To nie jest bezpieczna kryjówka. Tam jej nie znajdziesz! - Czyżby służka Madrej Kobiety

wyczytala to w moich myslach, a moze tez przezyła cos podobnego i wiedziala, co mna kierowalo?

Znalazlem sie teraz dosc daleko od groznych glazow i wyzwolilem sie spod ich wplywu. To przezycie wstrzasnelo mna do glebi.

-lynne! - A gdyby moja kuzynka poszła ta sama droga co my? Co by sie stalo? Wprawdzie wewnatrz potwornej pulapki lezalo jedno ciało, ale kiedy lepiej sie wszystkim przyjrzałem, zauwazylem nie tylko Jamila. Zobaczyłem kosci, szarobiale w dziennym swietle, ktore zaczelo wlasnie gasnac. Nie wiedzialem, ilu miał poprzedników, lecz wszystko wskazywalo na to, ze nieznana sila nadal czai sie w kamiennym kregu.

-Nigdy jej tu nie bylo. - Gathea wypuscila wreszcie moj rekaw. - Juz ci mowilam, ze przyciagnely ja inne czary...

Wskazalem na jej wypchana sakwe.

-Ukrywasz ja gdzies i dostarczasz jej pozywienia. Czy chowa sie przed Thorgiem, czy tez rzucilas na nia czary, tak ze pragnie stac sie taka jak ty?

-Taka jak ja? I ty o to pytasz, wojowniku? Czyzbyś uwazal mnie za gorsza od szlachetnie urodzonej panny o waskich horyzontach myslowych i delikatnym ciele, panny, ktora zgadza sie, zeby sprzedano ja temu, kto zaoferuje za nia najwyzsza cene na malzenskim targu?! - odparowala. - W duszy twojej kuzynki kryla sie iskierka talentu tak pogrzebanego pod ciezarem lat, podczas ktorych grala role szlachcianki, iz nie zdawala sobie z tego sprawy, dopoki to miejsce mocy nie obudzilo uspionej czastki jej istoty. Nie ukrywam lynne i nie wymykam sie, by dostarczyc jej pozywienie. Twoja kuzynka zniknela. A ja nie wiem, gdzie teraz przebywa, chociaz bede probowala ja odnalezc. Bo na pewno zmarnuje to, co przypadkiem odkryla. - W glosie Gathej zabrzmiala szydercza nuta. - Ja... ja wiedzialabym jak tkac, wiazac i laczyc Moc. Ale nie bylo mnie w swiatyni, gdy obudzila sie do zycia. I zamiast mnie zabrano lynne - zacisnela z zalu piesci - lynne, ktora odebrala mi to, do czego mialam prawo od urodzenia. i nie wiem, co ona robi, gdyz nie ma o niczym pojecia. Nie ide po to, zeby ocalic twoja panienke ze dworu, wojowniku, lecz zeby naprawic szkode, ktora wyrzadzila przez swoja ciekawosc!

-Dokad? - zapytalem.

-Dokad? - powtorzyla, podnoszac wysoko glowe. - Tam... - Machnela reka w strone zachodu. - Nie ide za takim tropem, jakie ty znasz. Moj przewodnik jest tutaj. - Dotknela czola miedzy brwiami. - I tutaj. - Tym razem opuscila palce na piersi. - Mozliwe, ze nie wladam tak wielka moca, jak bym pragnela, ale moge sprobowac. Zawsze mozna sprobowac.

-A wiec jestes przekonana - odpowiedzialem powoli - ze lynne przypadkiem dostala sie w strefe dzialania czarow i zostala porwana i ze moze zdolasz ja odnalezc. Poznalem to -

wskazalem na kamienna pulapke - i nie moge juz twierdzic, iz cos jest prawda lub nie w tym kraju. Jesli jednak istnieje chocby nikla szansa odnalezienia mojej panienki i ty mozesz mnie do niej zaprowadzic, zabiore sie z toba. Dziewczyna spochmurniala.

-To kobieca moc - odrzekla. - Watpie, zebys mogl pojsc tam, dokad ja pojde.

Pokrecilem glowa.

-Nie odrozniam jednej mocy od drugiej. Wiem tylko, iz musze splacic dlug honorowy, pomagajac lynne. Mysle, ze twoja Madra Kobieta o tym wiedziala. Moze dlatego probowala wprowadzic mnie w blad robiac aluzje do Thorga, ale dala mi to - dotknałem reka sakwy, ktora i ja nioslem na ramieniu - i nie zachecala mnie do porzucenia wysilkow.

-Zabina dobrze wie, ze przewaznie nie ma sensu dyskusja z kims, kto wbil sobie cos do glowy. Na pewno sie zorientowala, ze z toba jest tak samo. - Gathea usmiechnela sie. Nie spodobal mi sie ten usmiech.

-A moze tak jest i z toba? - odcialem sie.

-Gubisz sie w przypuszczeniach. - Spochmurniala i odwrocila sie, dodajac: - Jezeli chcesz narazic sie na niebezpieczenstwa, o jakich nawet ci sie nie snilo, banito, to chodz. Ciemno juz sie robi, a w tym kraju lepiej jest znalezc na noc jakies schronienie.

Ruszyla w droge, nawet nie zaszczyciwszy mnie spojrzeniem, obchodzac z daleka kamienne kregi. Trudno nam sie szlo, gdzy po licznych kamiennych lawinach pozostaly szerokie piargi i niektore z nich prawie siegaly groznych glazow. Gramolilismy sie po nich ostroznie, by sie nie obsunely i nie zniosly nas w sferę oddziaływania groznej pulapki.

Ku mojej uldze wielki kot poszedl przodem. Nie dowierzalem mu, mimo ze sluzyl mojej towarzyszce. Pozostawilismy za soba trzy kamienne kregi i znalezlismy sie na skalistym terenie. Przewazala w nim szarosc chaotycznie popekanych skal o ostrych krawedziach. Czekal tam na nas Gruu skulony pod duzym nawisem.

Nie znalezlismy drzewa na opal. Zreszta nie chcialbym rozpalac ogniska w takim otoczeniu, zeby nie przyciagnac do nas - kogo lub czego? Ludzi Garna czy czegos znacznie grozniejszego od tego rozwscieczonego wielmozy? Slonce zdawalo sie spozniac, jakby sprzyjalo nam na tyle, byśmy zdazyli obejrzec ze wszystkich stron dojscie do schronienia, ktore odkryl Gruu. Pozniej drapieznik zniknal wsrod skal i udal sie zapewne na polowanie. Spozylismy skromny posilek z naszych zapasow, popilismy go tylko kilkoma lykami wody z manierek. W poblizu nie dostrzegliśmy zadnego strumienia, chyba ze ktoras z majaczacych w oddali zielonych oaz skupila sie wokol jakiegos zrodla lub zbiornika z woda deszczowa.

Nie rozmawialismy. Chcialem zadac Gathei wiele pytan. Ale dziewczyna miala twarz nieruchoma jak maska. Dawala mi tym do zrozumienia, ze mysli o czym innym, przez upor zatem nie chcialem pierwszy przerwac milczenia, ktore miedzy nami zaleglo.

Przebiegłem wzrokiem okolice, starając się dojrzec najłatwiejszą drogę pomiędzy skalnymi ostrogami i grzbietami. Nigdy jeszcze nie widziałem tak niegospinnego i niebezpiecznego terenu. Dziwne, że kiedyś w ogóle były tu jakieś istoty. A może tamta kolista pulapka zbudowana jako zapora przeciwko napadom z morza, pierwsza ze śmiercionośnych niespodzianek.

-To nie jest ziemia Garna - powiedziałem w końcu, głównie po to, by usłyszeć własny głos. Uparte milczenie dziewczyny coraz bardziej podwyższało dzielącą nas barierę niechęci. Jeżeli mieliśmy razem wędrować, powinniśmy się porozumieć, by razem stawiać czoło niebezpieczeństwom jako towarzysze podróży, a nie wrogowie.

-Nie należy też do Tugnessa - padła niespodzianie odpowiedź Gathej. - Kto inny tu rządzi. Nie, nie pytaj mnie, kto, gdyż nie umiałabym odpowiedzieć. Wiem tylko, że jesteśmy tu intruzami i że musimy zachować ostrożność.

Czy w ten sposób pośrednio dała mi do zrozumienia, że zgadza się na partnerstwo? W każdym razie przestała się chmurzyć i nie mówiła ze zniecierpliwieniem. Słoneczne banderki szybko zniknęły z nieba na zachodzie. Cienie wysunęły się spod skał niby ręce, chcące pochwycić wszystko, co odważy się do nich zbliżyć.

-To przeklęty kraj i postępujemy jak głupcy obejmując go we władanie! - wybuchnąłem.

-Przeklęty, błogosławiony, pod wieloma względami i jedno i drugie. Lecz oczekiwano nas tutaj, gdyż inaczej Brama nigdy by się przed nami nie otworzyła. Nasze przybycie miało jakiś cel i musimy się dowiedzieć jaki.

-Brama - powiedziałem powoli. - Wiem, że otworzyła ją pieśń Bardów i że to ona starła z naszej pamięci powód, dla którego tu przybyliśmy. Dlaczego jednak tak się stało? - Błysnęła mi nowa myśl. - Może dlatego, byśmy mogli skupić wszystkie siły ciała i umysłu do walki, która nas w przyszłości tu czeka? Po to trzeba zapomnieć o wrogu pozostawionym w naszej dawnej ojczyźnie. Zastanawiam się wszakże, dlaczego w ogóle tu przybyliśmy...

Gathea odłożyła nadjeżdżony podróżny suchar i zacisnęła skózaną pętlę zamykającą sakwy.

-Zapytaj o to Bardów, ale nie oczekuj, że ci odpowie. Ten kraj może być bardziej błogosławiony niż przeklęty... - urwała nasłuchując.

W wieczornym powietrzu coraz głośniejszym rozbrzmiewał jakiś dźwięk. Zaparło mi dech w piersi. Słyszałem, że Bardowie, jeśli zechcą, mogą za pomocą pieśni sprawić, iż dusza opuści ludzkie ciało, pozostawiając tylko pustą skorupę. Uważałem to tylko za czczą gadaninę ludzi, którzy pragną przyozdobić każdą opowieść. Lecz teraz ponad kamienistą pustynią unosił się i opadał śpiew, jakiego nigdy w życiu nie słyszałem - nawet wtedy, gdy Ouse, nasz Najwyższy Bard, śpiewał podczas Święta Środka Lata.

To nie był śpiew mężczyzny, słyszałem głosy co najmniej kilku kobiet biorących tak wysokie nuty, jakie byłby zdolny wydać jedynie ptak.

Zerwałem się na równe nogi i wybiegłem spod skalnej polki. Zwrociłem wzrok tam, skąd przybyliśmy, w stronę kamiennego kregu. Oszolomiony i zdumiony, prawie nie zdawałem sobie sprawy, że Gathea stanęła tak blisko mnie, iż zetknęliśmy się ramionami.

Był to hymn pochwalny... Nie, to była piosenka miłosna wzywająca kochanków do powrotu, piosenka zwycięstwa witająca w bezpiecznych domach odwaznych i walecznych wojowników. To była...

Zobaczyłem je. Tak, to były kobiety, ich twarze niemal zasłaniały długie, kołyszące się na niewyczuwalnym wietrze włosy. Długie splety przykrywały ich smukłe ciała. A może śpiewaczki nosiły suknie równie cienkie i delikatne, jak falujące na wietrze pukle? Ich włosy i ciała miały taką samą srebrzystą barwę. Były ode mnie daleko, ale gdy tak płasły w rytmie piosenki, wydało mi się, że dostrzegam płonące oczy, czerwone niczym języki ognia, migoczące poprzez ruchliwą zasłonę włosów.

Tanowały wokół, ręka w reke, a przed nimi był drugi krąg tancerek i wewnątrz jeszcze jeden. Trzy kregi! Wydałem cichy okrzyk.

Tam, gdzie przedtem stały kamienne kolumny zdradzieckiej pułapki, teraz krzątały niezwykle śpiewaczki. Czy nadal widziałem wysokie monolity, czy też przesłonił je zmierzch? Te srebrzyste ciała i włosy świeciły własnym, bladym światłem...

Śpiewały o pokoju i szczęściu, o miłości i spełnieniu wszelkich pragnień, o życiu wiecznym, życiu nowym i cudownym. Wystarczy tylko podejść, by otrzymać to wszystko. Piosenka stała się jeszcze słodsza, nabrała niższych tonów. Uszedłem kilka kroków, nieswiadomie i bezwolnie. Muszę tam pojsć...

I oto runąłem na skalne podłoże, aż się potoczyłem od silnego ciosu, który mnie powalił. Potem coś na mnie upadło i szamotalismy się tak w plataninie rąk i nóg, dopóki nie przygniotł nas do ziemi i nie unieruchomił jeszcze jeden ciężar.

Czułem silny zapach kota, słyszałem ciche warczenie. Poprzez ból wywołany upadkiem i uderzeniem piosenka nadal wabiła mnie z oddali, ale na próżno staralismy się zrzucić z siebie Gruu.

Przerywany głos Gathej przedarł się przez chwytający za serce śpiew. Przysunęła twarz do mojej twarzy tak blisko, że poczułem na policzkach jej ciepły oddech.

-Zatkaj uszy palcami! To pułapka...

Na polu oszolomiony, gdyż do tego wszystkiego dołączył się ból głowy, wyswobodziłem ramię. Zatkalem uszy i spojrzałem na Gathee. Leżała na mnie w poprzek i również

zaslaniala dlonmi uszy. Nie starala sie uwolnic spod nieruchomego cielska Gruu. Bylo mu widac wygodnie, gdy tak przyciskal nas oboje do ziemi. Nosem utknałem w drugim i grubym warkoczu. Czulem ostry i swiezy zapach ziol bijacy z wlosow.

Probowalem wyprzec ze swiadomosci niebezpieczne dzwieki i skupic sie na czymś innym. Na przyklad, jak szybko uda sie nam uciec od tego wszechobecnego zagrozenia i ile jeszcze podobnych pulapek mozemy napotkac w tej nieznannej krainie.

Wciaz naplywal z oddali, choc juz znacznie przygluszony, ow spiew. Przyciagal, wzywal do uwolnienia sie i zachecal do odszukania spiewaczek. Wreszcie powoli ucichl. Byc moze na jakis czas stracilismy przytomnosc, gdyz nie pamietam, co sie ze mna dzialo az do chwili, gdy otworzywszy oczy ujrzałem oblewajace nas zimne i biale swiatlo ksiezycy.

Gruu ruszyl sie w koncu. Bylem potluczony i obolaly od drugiego lezenia na skalistym gruncie pod podwojnym ciezarem. Gathea wstala pierwsza. Zwrocila twarz ku tarczy miesiaca i zrobila reka jakis rytualny gest.

Ksiezyc swiecil bardzo jasno. Otaczajace nas skaly wydawaly sie w jego blasku srebrnobiale albo zupełnie czarne. Teren przypominal wielka szachownice blasku i cienia.

Odetkalem uszy i wstalem. Wokol panowala gleboka cisza, rozlegal sie tylko szept dziewczyny recytujacej slowa, ktorzych nie powinienem byl nawet sluchac. Odszedlem na bok i spojrzalem na kamienne kregi. Wydawaly sie bardzo odlegle, a przeciez rozspiewane kobiety zdawaly sie tanczyc tak blisko. I byly wylacznie tym, na co wygladaly: glazami ustawionymi w celu, ktorego wolalbym nie odgadywac. Niebezpieczne spiewaczki zniknely i tylko ksiezyc wisial na nocnym niebie, kiedy Gruu przytulil sie do Gathej, glosnym mruzeniem zagluszajac jej szept.

## Rozdzial VII

-To ktoras z twoich pulapek? - zapytałem na pozor spokojnie i lekcewazaco.-To nie moje pulapki - odparla lekko, lecz w blasku ksiezycy dostrzegłem na jej twarzy wyraz podniecenia. - Tak, to sa syreny, one wabia. - Rozwarla szeroko ramiona. - Jaka moc tam trwa? Kto rzucil takie czary? Jak bardzo nasi poprzednicy musieli przewyzszac nas wiedza! A nam sie wydawalo, ze wiemy tak wiele! - Zadawala te pytania nie mnie, lecz nocy. Zachowywala sie tak, jakby podeszla do uginajacego sie odjadla stolu biesiadnego i nie wiedziala, co wybrac na przekaske.

Poniewaz Gathea posiadala juz pewna wiedze w tej dziedzinie, czula, ze otworzily sie przed nia drzwi do skarbcza. Ze mna jednak bylo inaczej. Nie moge wszakze zaprzeczyc, ze powodowaly mna niepokoj, nieufnosc, a takze ciekawosc.

Tej nocy juz nic wiecej nie uslyszelismy. Gathea postawila Gruu na warcie, zapewniajac mnie, iz wielki kot znacznie szybciej niz ktoreś z nas wyczuje niebezpieczenstwo. Musialem z nia sie zgodzic, gdyz to on, wprawdzie nie bez pomocy swojej pani, co najmniej raz, a

moze i dwa ocalil mi zycie. Zasnalem wiec i jesli cos mi sie przysnilo, nie pamietalem o tym po przebudzeniu.

Gathea siedziala ze skrzyzowanymi nogami, odwrocona plecami zarowno do wschodzacego slonca, jak i do dolin, w ktorych osiedlili sie nasi pobratymcy. Z uniesiona wysoko glowa przygladala sie okolicy. W jej postawie wyczytalem te sama czujnosc, z jaka myśliwy rusza swiezym tropem.

W promieniach slonca skalne pustkowcie wydawalo sie jeszcze bardziej niegoscinnie i martwe niz w ksiezycowej poswiacie. Byly tam wyzlobione w skale niewielkie wawozy i gladkie jak bruk przestrzenie. Ucieszyl mnie brak jakichkolwiek glazow, wygladajacych na ustawione przez nieznaną inteligencje i wygladzonych pozniej przez nawiewany wiatrem piasek.

Ta zagubiona kraina wydala mi sie tak pusta, iz zwatpilem w celowosc poszukiwan Gathei. Albo tez mialem racje przypuszczajac, iz wie, gdzie ukrywa sie lynne, gdyz sama jej w tym pomogla. Zachowalem jednak dosc przytomnosc umyslu, by zachowac dla siebie te podejrzenia i nie prowokowac sluzki Madrej Kobiety, nawet jesli zamierzala wprowadzic mnie w blad. Jednak wrodzony upor kazal mi domniemywac, ze Gathee niewiele obchodzilo porwanie lynne czy moj udzial w tym nieszczesciu. Zalezalo jej na podrozy w nieznanie z jej tylko wiadomych powodow. Ciekawe, czy Mieczowi Bracia przejezdzieli tedy podczas zwiadow. Jesli tak, to szcieszliwie omineli kamienna pulapke.

-W ktora strone pojdziemy? - zapytalem, starajac sie mowic obojetnym tonem.

Rozejrzalem sie. Gruu znow gdzies zniknal. Nie dowierzalem mu, nie bylem przyzwyczajony do towarzystwa dzikiego zwierzecia, ktore najwyrazniej w jakis sposob porozumiewalo sie z Gathea, zdawalem sobie jednak sprawe, iz w razie zagrozenia jego pomoc bylaby bardzo przydatna.

-Na zachod - odparla dziewczyna nie odwracajac glowy, prawie z roztargnieniem, jakby myslami byla juz daleko.

Podczas jedzenia panowalo milczenie. Potem ruszyliśmy w dalsza droge. Przed poludniem, jesli dobrze ocenilem pozycje slonca, dotarlismy do jednej z oaz roslinnosci, ktora rzeczywiscie skupila sie wokol zrodla. Bylo to prawdziwe dobrodziejstwo natury. Meczyló mnie juz pragnienie, a w dwoch innych podobnych kotlinach nie znalezlismy nawet kropli wody. Tutaj strumyk wydobywal sie spod ziemi, przeplywal krotki odcinek, a pozniej zaraz ginal w jakiejs szczelini.

Rosly tu dwa potezne drzewa i krzaki. Na nasz widok poderwaly sie ptaki i jakies porosniete sierscia zwierzeta przemknely po ziemi tak szybko, ze nawet nie zdazyliśmy im sie przyrzec. Galezie krzakow byly obsypane ciemnoczerwonymi owocami. Nigdy dotad nie widzialem tak wielkich jagod. Az pekaly od nadmiaru slodocy. Ziemia pod krzakami byla

nimi zasłana i pomyslałem, że te wszystkie ptaki i zwierzęta przyszły tu na ucztę.

Gathea zerwała jedną z jagód, oderwała kawałek skorki, długo wachala wewnątrz, po czym dotknęła go czubkiem języka. Chwilę później włożyła owoc do ust i zaczęła żuć z zapalem. Polegając na jej wiedzy, zrobiłem to samo. Po długiej wędrówce przez rozpaloną słońcem skalną pustynię jagody miały wprost rajski smak. Zaspokajały zarówno głód, jak i pragnienie, więc jedliśmy aż do przesytu. Zerwalismy kilka garści na zapas i zabralismy ze sobą w koszykach, które Gathea sporządziła spinając małymi kolczastymi gałązkami liście jakiejś rośliny rosnącej nad brzegiem tego krociutkiego strumyka. Oproznilem nasze manierki, oplukalem i ponownie napełnilem wodą po brzegi.

Tego ranka nie znaleźliśmy żadnych śladów zaginionego ludu. Im dalej odchodziliśmy od kamiennych kregów i okolica stawała się coraz puszciesza, tym bardziej poprawiał mi się nastrój. Wspiąłem się na szczyt wysokiej skały ocieniającej oazę i zasłaniając reka oczy przed słońcem próbowałem ustalić najłatwiejszą trasę.

Od rana linia horyzontu nie tylko się podniosła, ale też ostrzej rysowała się na tle bezchmurnego nieba. Mogły to być wzgorza, a nawet góry. Nurtował mnie coraz większy niepokój. Nie było ważne, o ile dni Lynne mnie wyprzedziła, ale na pewno nie mogła wędrować przez to pustkowie sama, pozbawiona zapasów żywności. Czyżby Gathea oszukiwała mnie dowodząc, iż Thorg nie miał nic wspólnego z jej zniknięciem? Nikt, nie wycwiczony w takich wędrówkach, nie zdołałby zajść tak daleko. A przecież Lynne przez całe życie chroniono i osłaniano. Nawet podczas podróży na północ jechała wozem, który specjalnie dla niej wyposażono we wszystkie wygody. Wprawdzie Garn bywał szorstki w mowie i w obyczajach, ale dbał o córkę, chociażby przez wzgląd na korzyści, które dla jego małego klanu miało przynieść jej małżeństwo - nie naraziłby więc Lynne nawet na najmniejsze ryzyko.

Postanowiłem jeszcze raz rozmówić się z Gathea. Zsunąłem się ze skały i przedarłem przez krzaki na brzeg strumienia, w którym myła ręce. Nie czekała na moje słowa i odezwała się pierwsza:

-Znow powracasz do myśli o Thorgu. Sądziś, że nie wiem, co się stało z twoją panią ze dworu i że nie obchodzi mnie jej los. Jesteś w błędzie! - Wbiła we mnie płonący wzrok. Pomyslałem o sokole strzegącym swego terytorium przed intruzem. Wyraz jej oczu przywołał na myśl szybki lot tego ptaka i zdecydowany atak. - Wiem jedno: w tamtej świątyni przetrwała moc, która o odpowiedniej porze miała otworzyć drzwi. Jak ci się zdaje, dlaczego tam chodziłam? To ja, ja miałam pojsć tą ścieżką! Twoja kuzynka zerwała owoc, który mnie się należał! Jest beznadziejna ignorantka i ani nie wie, ani nie rozumie, z czym się przypadkiem zetknęła. I nie przyniesie jej to pożytku, o nie!

-Wiem tylko, że nie mogłaby zajść tutaj sama - nie ustępowałem. - Nie byłaby w stanie. Więc to ja musiałem przegapić jakiś ślad, albo...



-Albo wydaje ci się, że cię oszukałam? Dlaczego miałabym to zrobić? Przecież ona ma to, co mnie się należy. Odbiorę jej to! I uciesze się, jeśli zabierzesz ją z powrotem. Mówię ci, że wtraciła się nie mając o niczym pojęcia. My zaś dopiero musimy znaleźć początek tropu, a on wcale nie musi biec po powierzchni ziemi!

Wstała, otrząsnęła ręce z wody, po czym przesunęła wilgotnymi dłońmi po twarzy.

-Nie ma żadnych konskich śladów... - Uparcie trzymałem się jednej myśli.

-Moga to być takie konie, o jakich nawet ci się nie sniło! - warknęła. - Albo inne sposoby podróżowania. Nie sądzę, żeby drzwi, które otworzyła, wychodziły na teren, który teraz przemierzamy. Niemniej jednak źródło znajduje się przed nami.

Ponieważ nie znalazłem odpowiedzi na dręczące mnie pytania, znowu musiałem uwierzyć Gathej na słowo. Nigdzie nie widziałem Gruu. Albo prowadził zwiad, albo przebywał poza zasięgiem naszego wzroku. Nie oddaliliśmy się zbyt daleko od wiosnianej kotliny, kiedy natrafiliśmy na drogę, która w jakimś stopniu chroniła nas przed palącymi promieniami słońca i duszącym brzemieniem rozgrzanego powietrza.

Była to jeszcze jedna wąska dolina przecinająca skalną pustynię. Ściany wąwozu miejscami zbliżały się do siebie w gorze, a nawet stykały i od czasu do czasu chłodny wiatr uderzał nas w twarz, jakby starał się ułatwić nam wędrowkę. W dodatku dna doliny nie tarasowały pozostałości kamiennych lawin i biegło ono prosto na zachód, prawie jak droga. Uwaga szukałem śladów świadczących, że było to dzieło ludzi lub jakichś istot rozumnych, lecz nie znalazłem ich.

Gathea szła przed siebie nie zatrzymując się. Odniosłem wrażenie, że nie tylko dobrze wiedziała, dokąd idzie, ale i musiała się spieszyć. Sam szedłem nieco wolniej, co i raz rzucając okiem na krawędzie wysokiego wąwozu i nasłuchując dźwięków, które nie były chrzestem naszych butów.

Może właśnie dlatego, że tak czujnie badałem otoczenie, zobaczyłem coś, czego mogłbym nie zauważyć, gdybym w poczuciu bezpieczeństwa szedł skrajem naszej doliny lub szlakiem, którym wędrowaliśmy po przejściu przez Bramę. Nie był to ani obraz, ani dźwięk. To coś rozwinęło się wewnątrz mojego umysłu jak myśl, której świadomie nie przywołałem. Trudno opisać tę wewnętrzną świadomość czegoś, czego nie mogłbym dostrzec zmysłami.

Gdybym wędrował pod palącymi promieniami słońca, pomyślałbym, że upał mnie tak oszłomił, iż widzę jakiś miraż. Podróżnikom przytrafia się to na pustyni, często na ich zgubę, jeśli pod jego wpływem opuszcza drogę. Lecz tutaj wcale nie było tak gorąco, gdyż im dalej szliśmy, tym bardziej zbliżały się do siebie skalne ściany, osłaniając nas swym cieniem, i tym częściej podmuchy wiatru chłodziły nasze ciała.

Ale czy człowiek może tworzyć obrazy tylko w swoim umyśle? Wizje nie będące wspomnieniami ani cząstką dobrze znanej opowieści, gdy wielokrotnie usłyszane opisy

jakby staja sie rzeczywistoscia? Nie umialbym odpowiedziec na te pytania, wiedzialem tylko, ze ulotne obrazy pojawiajace sie przed moimi wewnetrznymi oczyma nie byly snem ani nie pochodzily z mojej pamieci.

Na przestrzeni kilkunastu krokow dwukrotnie zamknalem oczy. Idac po omacku wiedzialem, ze nie poruszam sie po nagiej skale na bezludnej pustyni. Nie, krocylem dobrze znana droga, pamietajac, iz musze wykonac jakies trudne zadanie, zeby przeciwstawic sie zlu. Nie bylo tez zadnych skalnych scian. Katem oka dostrzegalem, albo tak mi sie wydawalo, budowle o jaskrawych kolorach, miedzy ktorymi roilo sie od ludzi - chociaz swiadczily o tym tylko drzace cienie. A gdy znow podnioslem powieki, znajdowalem sie na dnie wawozu. Ale nadal pozostaly za mna tamte niewyrazne obrazy.

Nie wiedzialem, czy Gathea rowniez doswiadczyła tego dziwnego przemieszania chwili obecnej i scen z przeszlosci. Nie chcialem zreszta jej o to pytac. Postrzegany przeze mnie obrazom towarzyszył dzwiek. Nie tamta, zatruta slodycz pieszki nocnych spiewaczek, ale rodzaj szumu - jak gdybym odbieral dalekie wolania, rozkazy czy wezwania do dzialania jako szepty a nie krzyki.

Mysle, ze dlugo bladzillem w labiryncie nakladajacych sie na siebie swiatow. Kiedy nagle sie ocknalem, niesamowite obrazy zniknely. Slonce zнизalo sie ku zachodowi i nasz wawoz przechodzil stopniowo w szeroka doline o lagodnych zboczach, rownie zielona jak te, w ktorych osiedlili sie nasi wspolplemienci. Wygladala na kraine, w ktorej nie bylo miejsca na magie.

W pewnej odleglosci od nas paslo sie stado nieznanego mi rodzaju jeleni. Zwierze stojace na skraju stada podnioslo glowe zwienczona rozgalezionymi rogami, ktore polyskiwaly jak wypolerowane srebro. Bylo wieksze od jeleni, ktore widywalismy w nadmorskich dolinach, mialo jasniesza, srebrzystoszara siersc, oznaczona ciemniejszymi pasami na przednich nogach.

Jelen odrzucil do tylu glowe, zaryczal donosnie i rzucil sie do biegu. Reszta stada pomknela za nim, lecz niedostatecznie szybko, gdyz z wysokiej trawy wylonil sie wielki kot. Mogl to byc jedynie Gruu. Celnym uderzeniem lapy powalil mlodszeo, nie obdarzonego tak majestatyczna korona rogow byka.

Kiedy znalezlismy sie obok drapieznika, lizal chciwie krew zabitego zwierzecia. Podniosl na nas wzrok i warknal ostrzegawczo.

Jelen byl duzy i pomyslam, ze dobrze byloby oprawic tusze, pociac mieso na paski i upiec je nad ogniskiem. Na pewno smakowaloby nam lepiej niz podrozne suchary. Wiedzialem jednak, iz nie powinienem odbierac mysliwemu zdobyczy.

Zawahalem sie wiec, ale Gathea szybko podeszla do wielkiego kota, ktory jej na to pozwolil. Nachylila sie i dotknela lekko miejsca miedzy srebrzystymi rogami, mowiac glosno:

-Czesc Wielkiemu Przywodcy Stada. Stokrotne dzieki Temu, Ktory Przemawia W Imieniu Zwierzat za posilek. Wezmiemy tylko to, co zostanie nam dobrowolnie ofiarowane.

Gruu podniosl leb i ryknal donosnie, jakby dodawal cos do jej slow. Dziewczyna odwrocila sie i przywolala mnie ruchem reki. Podzielilismy sie zdobycza - dla siebie wzielismy tylko tyle, ile mogliśmy zjesc tej nocy, reszta pozostawiajac drapieznikowi. Nie probowalem tez ukrywac rozpalonego ogniska, wyczuwalem bowiem, iz nic tu nam nie grozi.

Gathea otworzyla swoja sakwe i wyjela sciagniety sznurkiem woreczek. Wysypala szczypte zawartosci na rozwartą dlon tak ostrocznie, jakby odmierzala dobro lub zlo. Pozniej jednym ruchem wrzucila wszystko do ognia. Buchnal klab dymu, ktoremu towarzyszył jaskrawy niebieski blysk i silny zapach nieznaných ziol.

Dziewczyna zawiązala woreczek i polozyla go na kolanie. Nastepnie lagodnymi ruchami reki pchnela wonny dym najpierw w jedna, pozniej w druga strone, na polnoc, poludnie, wschod i w koncu na zachod. Podczas gdy szukalem chrustu, Gathea zatrzymywala sie czesto przy zywych drzewach i krzakach, az wreszcie wyciela z jakiegos krzewu galaz tak dluga jak moj miecz, a gdy ja zaczalem ukladac suche galazki w stos, oberwala z niej liscie. Podniosla teraz te rozdzke, przesunela ja tam i z powrotem w pasmach dymu, ktore jeszcze sie nie rozwiály.

Potem wstala i jela okrazac ognisko, rysujac cos na ziemi, gdyz wybralem na obozowisko nie porosniete trawa miejsce w poblizu zwietrzalnych skal. Nakreslila kolo, opisala je gwiazda, a w kazdym jej ramieniu strzasnela krople lub dwie krwi zabitego jelenia, dodajac szczypte pokruszonych ziol ze swoich zapasow. Pozniej usiadla po drugiej stronie ogniska i wbila rozdzke w ziemie jak drzewce klonowego sztandaru - ale nie lopotal na nim ozdobiony herbem pas materialu.

Przestalem juz ja o cokolwiek pytac, nasze rozmowy staly sie dla mnie zrodlem tylko coraz bardziej rosnacej irytacji. Gathea przybierala protekcyjnalny ton i mowila tak, jakby byla znacznie bardziej wyksztalcona ode mnie. Dlatego zaakceptowalem w milczeniu fakt, ze znowu uzyla jakiegos magicznego rytualu, by zapewnic nam bezpieczenstwo. Zdziwilem sie tylko, bo odkad przybylismy do tej otwartej i pieknej zielonej okolicy, nie wyczuwalem zadnego zagrozenia. Wkrotce mialo sie okazac, ze zachowywalem sie jak slepiec idacy miedzy dwiema przepasciami.

Patrzyłem jak slonce znika za dalekimi gorami, ktorych ostre szczyty coraz wyrazniej rysowaly sie na zachodzie, i zapada noc.

Poniewaz sluzka Zabiny nic nie mowila, ja takze milczalem. Nie powstrzymalem jednak okrzyku zaskoczenia, kiedy Gruu nagle skoczyl miedzy nas i tak jak my schronil sie przy ognisku.

Juz wczesniej wycialem i wygladzilem troche patykow, na ktore teraz wbilem kawalki

miesa i wlozylem do ognia. Spadajace krople tluszczu podsycaly ogien, sypaly sie snopy iskier. Od smakowitego zapachu slina naplynela mi do ust i czekalem niecierpliwie, az mieso sie upiecze, ostroznie obracajac zaimprovizowane rozny. To stare myśliwskie zajecie cofnelo mnie do epoki sprzed Bramy. Zalowalem tylko, ze moje wspomnienia byly mgliste i fragmentaryczne.

Wreszcie podalem mojej towarzyszce patyk z upieczonym brzemieniem, a sam wzialem drugi kawalek, wymachujac nim w powietrzu, by go ostudzic. Jednakze Gathea nie interesowala sie jakos swoja porcja.

Najpierw pomyslam, ze przypatruje sie gorom, ktore wygladaly na strome i urwiste, a potem zdalem sobie sprawe, iz utkwila spojrzene w jakims punkcie znajdujacym sie znacznie blizej nas. Ja wszakze nie dostrzeglem nic, co poruszaloby sie w dolinie od czasu ucieczki jeleni po ataku Gruu. Zaden ptak nie pojawil sie na nocnym niebie.

Mimo to nadal nie zamierzalem o nic pytac. Jadlem powoli, zujac mieso z dawno nie zaznawana przyjemnoscia. Naprzeciw mnie leniwie rozwalil sie wielki kot. Przymruzył oczy i od czasu do czasu wylizywal lapy. Jezeli cos nawet krazilo w poblizu, Gruu sie tym nie interesowal.

Niebo pokrylo sie ciemnymi chmurami i szybko zapadal zmrok. Pomyslam, ze zbliza sie burza i trzeba poszukac jakiejś kryjowki, chocby miala nia byc tamta kepa drzew, gdzie zbieralem chrust. Wlasnie zamierzalem o tym oznajmic, kiedy na twarzy Gathei pojawil sie wyraz napiecia, a jej cialo stezalo. Jednoczesnie Gruu podniosl glowe, otwierajac szeroko oczy i skierowal wzrok na zachod.

Tamtej nocy nie slyszalem spiewu ani nie zobaczylem srebrzystych cieni. To, co sie do nas podkradlo, nie wabilo w pulapke, lecz polowalo na otwartej przestrzeni biegnac cicho na zaopatrzonych w miekkie poduszeczki lapach - jesli w ogole mialo jakies konczyny... Sierśc zjezyla sie na grzbiecie Gruu. Wielki kot juz nie lezal, ale podkurczyl lapy, jakby szykujac sie do skoku. Zmarszczyl pysk w bezglosnym warknieciu, za podwinietyimi wargami odslonily sie ostre zeby.

Nie wiem, co zobaczyli moi towarzysze, ale wydawalo mi sie, ze otaczajacy nas cien jakby sie rozdzielil na drgajace szybko platy. Unosily sie przez chwile nad ziemia, to znow na nia bezsilnie opadaly. Byly tylko niewyraźnymi plamami ciemniejszymi od zmierzchu, ktory zapadl zbyt szybko. Poruszajac sie w ten dziwny sposob zblizily sie do naszego ogniska i nigdy dotad nie czulem sie taki bezbronny.

Odruchowo wyjalem miecz, choc nie potrafilbym powiedziec, jak go nalezy uzyc przeciw tym bezkształtnym, podlatujacym istotom, ktore zdawaly sie wylaniac z trawiastego podloza. Wszelako za ten czyn po raz pierwszy zyskalem pochwale mojej towarzyszki.

-Dobrze postapiles. Zimne zelazo to czasem niezla bron, nawet jesli nie mozna posluzyc

sie bezpośrednio ostrym koncem czy klinga. Nie mam pojęcia, co to za stworzenia, wiem tylko, że nie należą do Światła... - Sposób, w jaki wymówiła słowo "światło", wskazywał, iż nie chodziło jej o to, co można zobaczyć, ale o poczuć - jak prawdę czy fałsz.

Gathea zacisnęła dłoń wokół białej w ziemi rozdzki, ale nie wyciągnęła jej, tylko czekała, tak jak ja czekałem sciskając rekojesc miecza. Mrok sprawiał wrażenie bardzo gestego. Nie dostrzegalem już w nim żadnego ruchu, lecz w dziwny, nowy dla mnie sposób - gdybym sobie pozwolił, wydalby mi się przerazający - wyczułem, że wokół naszego wpisanego w gwiazde koła krąży coś, co daremnie próbowało wtargnąć do środka.

Najpierw dosięgła nas fala czegoś w rodzaju głodu wspartego dufnością w siebie, jakby niewidzialny myśliwy uważał się za równie doświadczonego i znajomego się na rzeczy jak Gruu. Później pojawiło się zniecierpliwienie, gdy spotkał się z oporem, z którym nie mógł dać sobie rady, następnie zaskoczenie, a w końcu rosnący gniew, że ktokolwiek osmielił się mu przeciwstawić. Wiedziałem, że tam był, w każdej chwili mogłem tam spojrzeć, gdy on lub oni okrazali nasze chronione magicznymi zabezpieczeniami obozowisko. Nadal jednak nie miałem pojęcia o ich wyglądzie ani o rodzaju groźnego z ich strony niebezpieczeństwa.

Wzdrygnąłem się, kiedy na skraju kregu oświetlonego blaskiem ogniska mignęła mi ręka - a może były to szpony - pomarszczona, żółtawa, koscista. Równie dobrze mogło to być jedno albo drugie, gdyż widziałem ją tylko przez moment. Owładnął mnie instynktowny strach, ponieważ sam odrazający wygląd tej kończyny świadczył, że należała do sługi Zła.

Gathea płynnym ruchem wyciągnęła rozdzkę z ziemi i wskazała nią na promień gwiazdy tuż przed sobą, który wcześniej spryskała krwią i posypała pokruszonymi ziołami. Równocześnie przemówiła głośno, rozkazującym tonem w niezrozumiałym języku.

We wskazanym przez nią miejscu coś się poruszyło. Wydało mi się, że powstał tam wirujący lej, z którego zaczęły tryskać w górę grudki ziemi. A gdy młoda czarownica zaczęła śpiewać, coraz głośniej i szybciej, krzące w powietrzu cząstki utworzyły kolumnę, która ją się zespalała. I wkrótce w promieniu gwiazdy przykucnęła postać nieco podobna do ludzkiej. W każdym razie miała dwie nogi, dwie ręce, kadr i okrągłą jak kulę głowę. Wyglądała jak niezdarna kukła, która dziecko ulepilo z gliny. Kiedy postać się wyprostowała, Gathea uderzyła mocno rozdzką o ziemię i wydała głośny okrzyk.

Niezdarna kukła ruszyła do przodu, chwiejąc się na koscowych, źle ukształtowanych nogach. W każdym razie potrafiła trzymać się prosto i iść szybciej, niż można by się spodziewać po tak zdeformowanym ciele.

-Szybko! - Służka Madrej Kobiety spojrzała na mnie i rzuciła szybko urywane słowa: - Twój noż, zimne żelazo, zabezpiecz drzwi... - Wskazała rozdzką, gdzie mam trafić.

Sciskając miecz w ręce wyjąłem noż z pochwy i rzuciłem nim jak na popisie zrecznosciowym. Wbił się w ziemię rekojescią do góry i tkwił drżąc w tym samym miejscu,

przez ktore wyszla w mrok powlozczaca nogami kukla.

Teraz Gathea zdawala sie nasluchiwac, ja tez staralem sie oddychac jak najlzej i najciszej. Nie odezwal sie zaden nocny ptak i nic nie zaklocilo ciszy poza naszym magicznym kregiem. Ale wyczulem, ze to, co wczesniej wyprobowywalo sile naszych umocnien, odeszlo. Przynajmniej na jakis czas.

Mimo to dziewczyna sie nie odprezyla. Wzorujac sie na niej takze nie przestalem nasluchiwac. W koncu wielki kot odprezyl sie, westchnal, zamrugal oczami i ulozyl sie wygodnie. Lecz jesli Gruu uspokoil sie, nie moglem tego powiedziec o mojej towarzyszce.

-Jeszcze nie... - powiedziala, jakby ostrzegajac sama siebie, jakby nie chcac wierzyc, ze jej czary zadzialaly.

-Czy przez to, co zrobilas, co stad wyszlo - zapytalem czujac, ze nie wytrzymam dluziej bez uzyskania odpowiedzi przynajmniej na kilka pytan, ktore nie dawaly mi spokoju - oddalilo sie od nas to, co tam czekalo?

-Tak. Przez jakis czas bedzie gralo role zdobyczy, ale to nie potrwa dlugo. Sluchaj!

Moze wlasnie na to czekala. W nocnym mroku rozleglo sie i odbilo echem, jakby w jakiejś wielkiej pieczarze, glosne wycie, zawrozczenie tak pelne zlosci i gniewu, ze zerwalem sie na rowne nogi z mieczem w dloni. Bylem gotow do walki, chociaz nie widzialem wroga, ktory wydal ten wsciekly okrzyk.

-Nie wychodz poza okrag, jesli ci zycie mile! - ostrzegla Gathea. - To wroci. Skoro juz raz zostalo oszukane, bedzie dwakroc bardziej rozwscieczone.

-Co to jest? - zapytalem.

-To nie jest cos, co moglbys zabic tym - mowiac to wskazala na moj miecz. - Chociaz stal jest dla niego zabojcza. Nadaje sie jednak tylko do obrony, a nie jako orez. Nie sadze, zeby mozna bylo wyslac je znowu na bezowocne polowanie. A co to naprawde jest za stwor? Nie umialabym tego okreslic. Nawet nie wiedzialam, ze cos podobnego moze nas zaatakowac. Podjelam srodki ostroznosci tylko dlatego, ze jestesmy w obcym kraju i ze przelalismy krew. Krew jest zyciem i przyciaga slugi Ciemnosci wszedzie tam, gdzie grasuja.

-Uzylas jej, zeby zamknac nas w magicznym kregu.

-Powiedzialam ci juz. Krew jest zyciem i mozna z niej wyczarowac imitacje zywych istot, mimo ze nie moglyby one sie poruszac ani istniec za dnia. One rowniez czerpia z ciemnych mocy. A teraz... Sa znowu!

Uniosla rozdzke, kierujac ja na zewnatrz, tak jak ja zwrocilem miecz. Stwory, ktore

przedtem na nas polowały, wrocily i krazyly wokol nas, ale nie mogliśmy ich zobaczyc, tylko wyczuc. Dwukrotnie pazurzaste rece pojawily sie na skraju ramienia gwiazdy, tam gdzie tkwil moj sztylet. Cofnely sie natychmiast, nie zdolaly bowiem wtargnac do srodka. Zalala mnie fala gniewu, ktora tak rozgrzala moj umysl jak ognisko moje cialo. Pulsujaca obecność napierala, szukala, starala sie nas dosiegnac, a glod, ktory w niej dominowal, byl ostrzezeniem przed tym, co nas czeka, jesli wrog przedrze sie przez nasze umocnienia.

Gruu wstal, odrzucil do tyłu leb i ryknal tak glosno, ze az zadzwonilo mi w uszach. W pierwszej chwili pomyslam, ze slysze echo, ale daleki dzwiek sie powtorzyl. Nie mylilem sie. Nieraz slyszałem podobny glos, ale nigdy tak dzwieczny, o takiej skali tonow, ani tak donosny. Tak brzmial rog na granicy klanowych wlosci! Teraz zas, w glebi najczarniejszej nocy, rzucil wyzwanie.

## Rozdzial VIII

Rog zagral po raz trzeci. Wydalo mi sie, ze oprócz jego echa slysze cos posredniego między szczekaniem a skowytem, na pewno glos zwierzecia. Gruu znowu odpowiedzial mocarnym rykiem. Uderzyl przednimi lapami o ziemie, jakby chcial zerwac sie z nieistniejacej wiezi i ruszyc do ataku. Gathea zrobila krok do przodu i polozyla mu reke na glowie. Podniosl na nia wzrok, wywaliwszy jezyk w paszczy rozwartej w groznym grymasie. Rog wiecej sie nie odezwal. W mroku zobaczyłem jaskrawy blysk i uslyszałem trzask, jakby ktos okielznawszy blyskawice uczynil z niej bron. Mrok byl tak gesty, ze ow blysk zgasl, zanim zdazylem przyjrzec sie otoczeniu. Swietlny bicz uderzal raz po raz, a granie polujacej sfory zblizalo sie coraz bardziej.

Nie mogłem widziec, co sie wokol nas dzialo, ale mogłem to wyczuc. Stwory, ktore przedtem nas oblegaly, wrocily kulac sie i czolgajac między nami a tym, co mknelo w ciemnościach poslugujac sie ognistym orezem i ponaglajac psy myśliwskie. Trwalo to dobra chwile, az Gathea sie wtracila. Zaczela kreslic rozdzka w powietrzu jakies znaki.

Zobaczyłem wiec wygięte w dol i w gore symbole, zielone a zarazem niebieskie, jak zacięta woda przy brzegu morza. Znakow tych bylo coraz wiecej. Nie gasly, lecz wzlatywaly niby wypuszczone z klatki male ptaki. Cala gromada zawisly w powietrzu wzdłuż naszych umocnien.

W zalegajacej wokol ciszy uderzyla w nas parzaca fala strasznego gniewu. A potem nagle zniknela, jakby jakies drzwi otworzily sie i zamknely. To, co probowalo nas dosiegnac, odeszlo wypedzone z naszego swiata.

Teraz uslyszielismy odglosy biegu, jakby gromada jakichs istot rozdzielila sie: czesc skierowala sie na polnoc, reszta zas na poludnie. Pozniej i ten dzwiek pochlonela cisza. Wyczulem wokol nas pustke, z ktorej dobiegal szum wiatru muskajacego trawe i nic wiecej. Gruu legl ze steknieciem, wyciagnal lapy i zlozyl na nich glowe. Gathea, wciaz z rozdzka w dloni, zwinela sie obok niego w klebek. Oparla glowe o bark wielkiego kota i zamknela

oczy. Już nie musieliśmy się niczego bać. Ja jednak nie kładłem się, tylko przeżywałem w myśli wydarzenia tej nocy. Od chwili, kiedy chwiejnym krokiem opuściłem dolinę Garna - nie, nawet wcześniej, wtedy, gdy po raz pierwszy spojrzałem na Świątynię Księżyca - moje życie zaczęło się zmieniać. Już nie byłem tym samym Elronem, który przejechał konno przez Bramę jako wasal wodza klanu i który znał tylko swoje obowiązki i poczucie bezpieczeństwa, jakie dawała mu jego pozycja społeczna.

Cios Garna nie tylko ugodził moje ciało; jak nożem rozciął wszystkie więzi łączące mnie z klanem. To wszystko powinno być bardziej dla mnie wstrząsające, a tymczasem straciło swoje znaczenie. Nie tylko bowiem przybywam do krainy, której moi współplemięcy nie znali, lecz także jakaś część mojej istoty powiedziała: - tak, jestem banita, ale nie jestem zerem. Znalazłem się w wielkim niebezpieczeństwie i stawiałem czoło czemuś przekraczającemu wszelkie wyobrażenia.

Jednak to nie ja nas uratowałem. Także i z tym muszę się pogodzić. To Gathea raz po raz chroniła nas przed katastrofą. Mówiąc szczerze - niełatwo było mi to przyznać; poczułem się skrepowany.

Może dlatego, że znalazłem tylko kobiety z naszych klanów, panny, których umiejętności ograniczały się do wypełniania domowych obowiązków, instynktownie zaś wyczuwałem, że Gathea nimi gardziła. Już przy pierwszym naszym spotkaniu nad brzegiem morza zdałem sobie sprawę, że w niczym nie przypominała naszych dziewcząt. Nie mogłem jej powiedzieć: "To nie twoja sprawa, pozwól, bym cię bronił, jak nakazuje zwyczaj".

Zawstydzilem się, gdyż zrozumiałem, że nie chcę w pełni uznać jej zasług ani przyznać, że podczas naszej podróży to ona nas - głównie mnie - broniła.

Dopiero teraz bez zastrzeżeń zaakceptowałem jej chęć dotarcia na zachód, a także aluzję, że Lynne w jakiś sposób przeszkodziła jej w uzyskaniu tego, co jej się prawnie należało, a więc mocy związanej ze Świątynią Księżyca. Wiele spraw w tym kraju muszę uznać za wiarygodne, nawet jeśli przekraczają ludzkie wyobrażenia czy wydają się bardziej fantastyczne niż opowieści Bardów.

Zacząłem się zastanawiać, jaki myśliwy przybył z daleka nam pomóc. Czy odpowiedział na wezwanie Gathej? A może był już w polu szukając zła, które pelzało wokół naszego obozowiska? Przeczynałem, iż nie był człowiekiem. I właściwie dlaczego myślałem o nim jako o mężczyźnie? Czy dlatego, że całe moje życiowe doświadczenie kazało mi łączyć zarówno polowanie, jak i wojnę tylko z moim rodzajem? Przecież to mogło być "ono"...

Takie to myśli przychodziły mi do głowy, gdy dokładałem chrustu do ognia, jakkolwiek wiedziałem, że na długo go nie starczy i ognisko zgasnie. Podjąłem się pełnienia warty, ponieważ chciałem przemyśleć wszystko od początku. Cały czas bawiłem się rekojescią miecza, gdyż dotykając go czułem, jak wzmacnia się więź z dawnym Elronem, który był tak pewny siebie i świata, zanim ta pełna tajemnic kraina nie wchłonęła go wraz z jego ludem.



Nie wiem, ile czasu spędziłem na tych rozmyślaniach. Niebo pozostało zachmurzone, choć nie spadł deszcz ani nie zerwała się burza. Nie widać było ani jednej gwiazdy. Mielismy tylko nasze małe ognisko i magiczny krąg. Poza nimi zalegały gęste ciemności.

Usłyszałem cichy dźwięk i spojrzałem na dziewczynę i jej towarzysza. Gruu miał otwarte oczy i przyglądał mi się badawczo. Po chwili utkwil wzrok w kurtynie mroku. Wtedy zrozumiałem, że wielki kot na swój sposób daje mi znać, iż teraz on przejmie rolę i pozwala mi odpocząć.

Wyciągnąłem się więc na ziemi, kładąc obnażony miecz w zasięgu ręki. Kępy trawy, które przyniesliśmy na podpalke, posłużyły mi za poduszkę. Bandaze na mojej głowie wydawały się za ciasne, a skóra pod nimi swędziała. Te niewielkie dolegliwości nie przeszkodziły mi zapasnąć w głęboki sen.

Obudziłem się tak nagle, jakby ktoś mnie zawołał. Gathea nadal leżała z głową opartą o bok Gruu, który obserwował otoczenie. Ognisko zgasło, zresztą nie było już potrzebne. Wszystko wokół tonęło w szarym świetle przedświt.

W wysokiej trawie coś się poruszało. Dostrzegłem stado pasących się jeleni, a dalej jakieś jeszcze większe zwierzęta. Zerujące zwierzęta wyraźnie nas omijały. Wstałem i schowałem miecz do pochwy. Obudziła się we mnie ciekawość. Postanowiłem obejrzeć tropy stworów, które oblegały nas w nocy, i spróbować na tej podstawie odgadnąć ich naturę. Oprócz tego pragnąłem się dowiedzieć, czy nocny myśliwy także pozostawił po sobie jakieś ślady.

Podszedłem do ramienia magicznej gwiazdy, w którym tkwił sztylet, wyciągnąłem go i otarłem o kępkę trawy. Później śmiało opuściłem stworzone przez Gatheę zabezpieczenie, żeby rozejrzeć się po okolicy.

W odległości kilku kroków zauważyłem coś ciemnego i tam skierowałem się najpierw - były to grudy świeżej, wilgotnej ziemi. Poruszyłem je ostrożnie czubkiem buta. Rozpadły się. To wszystko, co pozostało z kukły, która stworzyła Gathea, żeby oszukać atakujące nas zło. Nic, tylko ziemia; nie mogłem zrozumieć, jak uzyskuje nie tylko podobną do ludzkiej postać, ale i pozory życia. Co powiedziała Gathea? Że krew jest życiem. Przypomniałem sobie dobrze znaną ceremonię z pierwszego jesiennego polowania, kiedy część mięsa zabitej zwierzyny zawieszano na otwartej przestrzeni, by ociekła krwią i wysychała, i by nie tknął go nikt poza ptakami. Była to starożytna rytualna ofiara, której znaczenia obecne pokolenie już nie rozumiało.

Przykucnąłem szukając wzrokiem śladów. Wypatrzyłem kilka zagłębien, które wymierzyłem palcem wskazującym, próbując sobie wyobrazić stworzenie, które mogło pozostawić te ślady. Ubiegłej nocy wydało mi się, że widziałem szponiastą i koscistą rekę próbującą nas dosięgnąć ponad magiczną barierą. Najwyraźniejszy mógł być śladem takiej pięciopalcowej kończyny.

Nie miałem też wątpliwości, że napastnik chodził na dwóch nogach. Ten stwór musiał mieć też znaczne rozmiary, gdyż wglebienie nie tylko było większe od reki, która nad nim rozpostarłem, ale i głęboko odcisnięte w ziemi. Poszedłem tym tropem i znalazłem dostatecznie dużo innych odcisków jak na dowód, iż owy stwór lub stwory (trudno było bowiem stwierdzić, z iloma mieliśmy do czynienia) rzeczywiście krążyły wokół naszego obozowiska.

Teraz rozejrzałem się w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów pozostawionych przez nocnego myśliwego i jego sfory. Nie znalazłem jednak nic, całe polacie nagiej ziemi były nietknięte.

Tak zaintrygował mnie ten całkowity brak tropów, że coraz dalej odchodziłem od obozu, z oczami wbitymi w ziemię. Naraz moją uwagę przyciągnął przykry widok. Choć był to dopiero przedświt, owady już odnalazły coś, co wyglądało na zakrwawiony kawał mięsa, i brzęczać krążyły wokół. Nachyliłem się. Przede mną leżała część takiej szponiastej kończyny, jaką widziałem w blasku ognia. Pozostały z niej tylko dwa długie palce (może została rozszarpana na kawałki?), zakończone ostrymi jak noż szponami, pokryte strzępami białozoltej i pomarszczonej skóry. To był tak obmierzły widok, że pospiesznie wyciąłem kawał darni i przykryłem nim krwawe szczatki. Naszemu myśliwemu dopisało chyba szczęście na polowaniu. - Elronie!

Gathea wzywała mnie machając ręką. Zawrociłem więc, zadowolony, że już nie muszę szukać innych śladów.

W obozie nie wspomniałem o znalezisku, gdyż okazało się, że moja towarzyszka właśnie zaczęła jeść śniadanie. Jak zwykle miała niewiele do powiedzenia. Okazywanie własnej niewiedzy coraz bardziej mnie irytowało, jeżeli więc wiedziała coś, co mogło być użyteczne dla nas obojga - rozumowałem - powinna to powiedzieć bez pytania.

Czekałem więc, zując złość na równi z mięsem. Zapasy, które Zabina dała mi na drogę, szybko się skończyły. Miałem nadzieję, iż stada jeleni dostarczą nam żywności. Dobrze by było, gdybyśmy zatrzymali się na dłużej, upolowali kilka sztuk i je uwiedzili. Gdzieś w pobliżu musiała być woda, a tej bardziej potrzebowaliśmy niż mięsa. Możliwe, że Gathea również była pochłonięta myślami o takich praktycznych sprawach.

Nagle podniosła głowę i bacznie wpatrzyła się w dal. Z wysokiej trawy wylonila się głowa Gruu. Wielkie kocisko oblizywało się, a długie zielone pióro przyczepiło mu się do grzywy. Tego dnia być może zmienił jadłospis. Dziewczyna i zwierze spojrzeli sobie w oczy, lecz ja nie uczestniczyłem w tej wymianie myśli. Później Gruu pobiegł kierując się dokładniej na północ niż dotychczas, Gathea zaś chwyciła swoją sakwę i sporządzona wczoraj roźdzka.

- Tam jest woda, tedy... - Gathea wciąż milczała i dopiero teraz odezwała się do mnie. Ruszyła śladem wielkiego kota, a ja tuż za nią. Wysoka roślinność sięgała nam prawie do ramion, niemal całkowicie ukrywając Gruu; śledziliśmy jego bieg obserwując gwałtowne

kolysanie traw. Wysoko w niebie latały ptaki. Przyglądałem im się czujnie. Czy szponiasta konczyzna należała do jakiejś latającej istoty? Wydawało mi się, że nocni napastnicy pokonywali odległości podlatując niezdarnie. Pamiętałem też o czarnych ptaszyskach, które narobiły takiego zamieszania w dolinie Gama. Jedne i drugie mogły się przecież gnieździć gdzieś w pobliżu.

Dopiero teraz jednak zobaczyłem prawdziwe, plowe ptaki. Kaczyły nad pasacymi się zwierzętami. Może żywiły się owadami wypłoszonymi z trawy przez stada roślinozerców. Droga Gruu nagle stała się prawdziwa ścieżka, głęboko wylobiona, poryta kopytami. Nielatwo się nią szło, ale przynajmniej nie chłostała nas trawa, której zdzbla były tak ostre, że mogłyby przeciąć skóre. Niedługo potem dotarliśmy do kotliny o stromych zboczach, w której płynął szeroki i wartki potok. Prawdopodobnie wypływał z rysujących się na zachodzie gór. Koronki piany wirowały wokół tkwiących w nim wielkich głazów.

Zeszliśmy ostrożnie w dół. Należało dobrze wykorzystać tę obfitość wody. Pozostawiłem Gathee z Gruu przy kepie krzaków i z pradem poszedłem do grupy skal wcinających się w strumień. Tam szybko rozebrałem się i wykapalem. Bandaż na mojej głowie przemokł, więc go ściagnałem. Obmacałem czoło i policzki; opuchlizna prawie znikła i rana goiła się dobrze. Wyprałem bandaż i przezornie go zwinąłem, z pewnością bowiem jeszcze może mi się przydać.

Na mój widok Gathea zmarszczyła lekko brwi i powiedziała, że chce obejrzeć moją głowę. Przyjrzawszy się uważnie, orzekła, że rana się zasklepiła i bliska jest zagojenia, nie muszę więc już jej zakrywać. Sama także zmieniła swój wygląd - uczesała wilgotne włosy (mimo bohaterskich zaiste wysiłków nie zdołała ich osuszyć) w długi ogon, który przewiązała kawałkiem rzemyka.

Wygodniej byłoby iść brzegiem strumienia, ale wody przybierały tak szybko, iż musieliśmy wrocic na lake w gorze. Ruszyliśmy jednak skrajem kotliny, przez którą płynął.

Gruu znikł po zaspokojeniu pragnienia. Teraz już nabrałem pewności, że moja towarzyszka w jakiś sposób porozumiewa się z wielkim kotem na odległość i może go w każdej chwili wezwać.

Słońce nie rozpedziło chmur, które nocą zakryły księżyc i gwiazdy, w dodatku gesta mgła przesłoniła horyzont. Stada roślinozerców nadal pasły się w oddali. Może przychodziły do wodopoju o określonej porze, gdyż żadne nie podeszło do nas bliżej. Jednak doświadczenie kazało mi nigdy nie osłabiać czujności.

-Czy słyszałaś już kiedyś o czymś takim jak to, co zaatakowało nasz oboz? I o tym, co polowało w nocy? - zapytałem Gathee.

-Nie wiem, co to było. - Gathea potrząsnęła przecząco głową. - Wyczułam wszakże, że to, co atakowało, należało do Ciemności. Dlatego mogłam je odpedzić zabezpieczeniami

używany do obrony przed Złem. Co do myśliwego... - urwała. Milczała długo i pomyślałem już, że nic więcej nie powie, gdy dodała: - Może i on służył Ciemności, ale na pewno nie był przyjacielem tych, którzy nas oblegali. Co do jego natury... nie mogłam nic wyczytać. Mamy tu do czynienia zarówno ze Światłem, jak i z Ciemnością. Mogą się tu jednak znaleźć tacy, którzy nie służą ani jednemu, ani drugiemu, albo służą obu jednocześnie, jeśli tego zechcą. Wiem tak mało! - zakończyła z zalem. Czy ostatnie słowa skierowała do mnie, czy też w ten sposób protestowała przeciw własnej niewiedzy?

-Och, mam pewną cząstkę magicznego talentu - dodała po chwili - inaczej Zabina by mnie nie wychowywała i nie kształciła od dzieciństwa. Podobne rozpoznaje podobne, nawet jeśli jest ono dzieckiem w kołysce. Mój talent jest tak wielki, że Zabina nie umiałaby doprowadzić go do rozkwitu. Wiem o tym. Uczylam się od niej tak samo jak ty, wojownik, ćwiczyłeś fechtunek na drewniane miecze z innymi chłopcami. Ciągle mi powtarzała, że jestem niecierpliwa i głupia i że ściagnę na siebie jakieś straszne nieszczęście, ponieważ pragnę wiedzieć coraz więcej i więcej. To było bardzo przykre. Ale od chwili przejścia przez Bramę czuje się tak, jakbym wstąpiła na ścieżkę, w pewien sposób znajoma mi i bliska, a zarazem całkowicie obca i nieznaną. Jest tu tyle cudów, które Madre Kobiety oglądały dotąd tylko w snach! - Gathea rozwarła szeroko ramiona i na jej twarzy odmalowała się duma i pragnienie. - To jest miejsce, o którym sniłam, sama o tym nie wiedząc! Poszłam po raz pierwszy do Świątyni Księżyca, jakbym chadzała tam przez całe życie. Moc, która tam trwa, przyjęła mnie jak córkę i służebnicę.

Czy nie rozumiesz, że... - nateżenie emocji w jej głosie dorównywało sile uczuć bijących z twarzy - ...twoja delikatna paniątka ze dworu ograbiła mnie z tego? Ona nie ma talentu - albo jest on pogrzebany pod górą obyczajów i wyuczonych zachowań - a zebrała to, co ja miałam zebrać! Lecz i tak na nic jej się to nie zda!

-Przez cały czas mówisz zagadkami - odparłem ostro. - Co się przydarzyło Lynne?

Spojrzała na mnie przez ramię, gdyż zawsze wrywała się do przodu, jakby cały czas popędzana trawiącą ją niecierpliwością. Niesforne kosmyki włosów, które schnąc wymknęły się spod rzemyka, figlarnie poruszał wiatr. Jej ogorzała twarz przestała być tak surowa i poważna.

-Otworzyło się przede mną coś w rodzaju bramy - mówiła z napięciem, jakby nie słysząc pytania. Och, nie Bramy do innego świata jak ta, przez którą wszyscy przeszliśmy. Raczej są to drzwi do większej świątyni, która znajduje się gdzieś daleko na zachodzie. To, co wypełniało tułejsze miejsca mocy, osłabło i prawie zanikło. Przychodząc do Świątyni Księżyca przyniosłam wiedzę, która stała się kluczem, ale zamek był stary, może nie otwierano go od setek lat. Odprawiałam obrzęd, przywołałam Księżycę, ja... - Przycisnęła do piersi rękę. - Ja to zrobiłam! A potem, tej nocy, kiedy miałam otrzymać odpowiedź, zatrzymano mnie i twoja lekkomyślna paniątka weszła tam, gdzie nie powinna była postawić nawet czubka trzewika. I tak oto ona zyskała, podczas gdy ja straciłam...

Pomyslałem o Lynne, na która rzucono jakieś czary, uwiezionej gdzieś daleko, w pulapce. Niewatpliwie tak musiała ocenić swoje położenie. Na pewno oszalała ze strachu... Nadal jednak nie mogłem zrozumieć, jak została tam przeniesiona. Czując ogarniający mnie gniew, zwróciłem się do Gathej.

-Wiedziałaś, że odwiedzała te świątynie, a mimo to jej nie ostrzegłaś! - powiedziałem oskarżycielsko.

-Ostrzec ją? Ależ tak, ostrzegłam ją! Istnieją wszakże wezwania, którym nie można się oprzeć, chyba że otrzymało się specjalne wykształcenie. Staże się ono zbroją i orezem, Lynne jest kobietą, dziewczyną, więc tak jak wszyscy członkowie naszych klanów jest córką Ksieżyca. Ksieżycowa magia działa na wszystkie niewiasty, chociaż temu się zaprzecza albo czując ją, nie rozumie, że trzeba ją wspomagać, a nie sprzeciwiać się. Twoja kuzynka była w odosobnieniu, tak skrepowana obyczajami, że nieswiadomie i bezwiednie odpowiadała na wezwanie za każdym razem, kiedy wymykała się popatrzeć na świątynie. Moglibyście związać ją i uwiezić, ale Lynne była dojrzała do przyjęcia kobiecej magii i już podczas pierwszych odwiedzin świątyni znalazła się pod jej wpływem.

Powiodłem spojrzeniem po szerokiej dolinie i pokrytych teraz mgłą wzgórzach. Chwilami wylaniały się zza mgieł odległe szczyty, by znowu zniknąć za szarą zasłoną.

-Uważasz więc, że potrafisz ją znaleźć - powiedziałem.

-Tak. Ponieważ to moja magia się bawiła. Spojrz tam! Zatrzymała się i zwróciła ku północy. Na wyciągniętej dłoni położyła rozdzkę i wpatrzyła się w nią. Przeniosłem wzrok z jej oczu na reke i zobaczyłem...

W żadnym razie nie była to sztuczka. Leżąc na jej dłoni galazka zaczęła się poruszać. Przedtem wskazująca pomoc i południe, teraz obracała się powoli, aż jej cięszy koniec wskazał zamglone szczyty gór na zachodzie.

-Sam widzisz! - oświadczyła z tryumfem Gathej. - To, co tak bardzo starałam się zdobyć i co przywołałam, nabrało we mnie siły i urosło. Przyciąga mnie, żebym mogła stać się tym, kim powinnam się stać. Lynne jest tam, dokąd idę.

Widziałem, że wierzyła w to, co mówiła. Dla mnie to wszystko było wystarczająco dziwne; zarówno to, co przed chwilą oglądałem, jak i to, że towarzyszyłem dziewczynie szukającej wielkiej magii, magii, która okazała się tak silna, że nie tylko ją przyzywała, ale przyciągnęła też inną pannę.

Przebycie tej doliny pełnej pasących się zwierząt zabrało nam parę dni. Każdej nocy oczyszczaliśmy z trawy niewielki splachetek ziemi, by Gathej mogła zabezpieczyć nasz oboz magicznym kołem wpisanym w gwiazdę. Nie odwiedzili nas zadni nocni goście. Drugiej nocy księżyc świecił jasno na bezchmurnym niebie. Wtedy młoda czarownica stanęła w jego poświęceniu i usłyszałem jej śpiew. Nie mogłem ani zrozumieć jej słów, ani później ich sobie

przypomniec. Dzielacy nas niewidzialny mur stal sie jeszcze grubszy. To nie bylo miejsce dla mnie, dla mezczyzny i wojownika; Gathea tylko tolerowala moje towarzystwo na szlaku.

Dotarlismy wreszcie na podgorze. Teraz dziewczyna szla powoli, czesto sie zatrzymujac i czekajac, az rozdzka pokaze jej droge. Wskazywala wciaz na zachod, wciagajac nas na nierowny teren, gdzie wysoka trawa rosła coraz rzadziej, przewazaly zas skupiska szarych skal niekiedy przeoranych czerwonymi lub jasnozoltymi zytkami. Wody nam nie braklo, gdzys znajdowalismy gorskie strumienie a raczej to Gruu je odnajdywal. I to Gruu dostarczal nam pozywienia zaspokajajac swe instynkty lowieckie. Wydawalo mi sie, ze juz od miesiecy tak wedrujemy przez bezludne okolice zasiedlone tylko przez dzikie zwierzeta.

Wreszcie odkrylismy doline skierowana w strone wzgorz. Byla tam bogata roslinnosc, rosly kepy ciemnych drzew, dziwnie skarlowacialych i zniekształconych; ich wyglad mi sie nie podobal. W nocy, po rozbiciu obozu, Gathea byla tak podniecona, ze nie mogla usiedziec na miejscu. Wstawala raz po raz, wpatrujac sie w glab doliny, mruzczala cos pod nosem i przesuwala w palcach rozdzke. Na mnie robila wrazenie kogos, kto chce sobie cos przypomniec, albo do czegos sie przygotowac. Gruu rowniez byl niespokojny i krazyl wokol ogniska, zwracajac glowe w te sama strone co dziewczyna, jakby wypatrywal zrodla przyszlych klopotow.

-Sprobuj to poczuc! - Gathea odchylila glowe do tylu. Odkad opuscilismy tamta rzeke nie zaplatala wlosow w warkocze i teraz zauwazylem cos dziwnego. Okalajace jej twarz kosmyki uniosly sie, mimo ze nie poruszyl ich nawet najlzejszy podmuch wiatru. Powietrze w dolinie bylo ciezkie i oddychalem z trudem. Moze inaczej rzecz sie miala z moja towarzyszka, poniewaz konce jej rozpuszczonych pukli takze zaczely drzec, jakby calym cialem chlonela jakas sile, ktora sie wlasnie tak objawiala.

Wyciagnela przed siebie rozdzke i gotow jestem zlozyc Krwawa Przysiege Na Odwieczny Plomien, ze przez chwile widzialem, jak na jej czubku zatanczyla swiecaca gwiazdka.

I wtedy...

Gathea zaczela biec. Tak mnie to zaskoczylo, ze zamarlem na moment. Oprzytomniawszy zlapalem nasze sakwy, poniewaz dziewczyna zostawila swoja, i ruszylem za nia. Gruu pomknal wielkimi skokami, jak srebrna smuga migajac miedzy drzewami, w slad za niewidoczna juz jego pania. Bieglem za nimi ciezkio, usilujac sie trzymac sladow Gathej. Daremnie. Rosnace nisko galezie drzew zmuszaly mnie do robienia unikow i zbaczania z drogi, a przeciez nie przeszkadzaly tamtej dwojce. Wreszcie wpadlem na jakis pien i uderzylem sie tak mocno, ze omal nie stracilem przytomnosc. Na domiar zlego na nowo rozbolala mnie glowa.

Galezie czepialy sie mnie, probowaly przewrocic, zadawaly mi silne ciosy. Przerazony, ze zgubie Gathee i juz jej nie odnajde, wyciagnalem miecz i zaczalem wyrabywac sobie droge poprzez ten wrogi gaszcz.

Posuwalem sie do przodu z trzaskiem, ktory zagluszal wszystkie inne dzwieki. Ale tak naprawde, to nie zatrzymywalem sie, by nasluchiwac, w obawie, ze nie zdolam dogonic mojej towarzyszki.

W koronach drzew zyly jakies stworzenia, ktore swoje ochryple piski i gwizdy dolozily do halasu, ktory sam wywoływalem. Dwukrotnie cos uderzylo mnie w twarz, kaleczac policzek dziobem lub szponami. Pot lal sie ze mnie strumieniami, zalewajac oczy, przylepiajac do ciala koszule. Pod drzewami bylo duszno i oddychalem z trudem. Tak, to byla prawdziwa walka. Zaczalem podejrzewac, ze dziwne drzewa wiedza, kim jestem, i postanowily mnie zatrzymac. Wydawalo mi sie, ze slysze ciche okrzyki, zludzenie odglosow dalekiej bitwy. Omal nie stracilem przytomnosci z goraca i nadmiernego wysilku. Mimo to nie ustepowalem. Jakas czastka mojej istoty objela dowodzenie i kazala mi isc do przodu. W koncu chwiejnym krokiem wspialem sie po zboczcu i niewiele brakowalo, bym upadl, gdy juz przedarlem sie przez cierniste galezie ostatniego drzewa.

## Rozdzial IX

Wydostalem sie na podluzna, niczym nie porosnieta plaszczynne, droge mi zamykala sciana wysokiego urwiska. Nie zobaczylem ani Gathej, ani Gruu - tylko nagie skaly. Niedaleko od miejsca, gdzie stalem, konczyl sie szeroki piarg, jego poczatek zas bral sie na samym skraju grani. Czy wielki kot i dziewczyna musieli walczyć tak jak ja, by wydostac sie z niesamowitego lasu? Czy ich wyprzedzilem? Nie uslyszalem jednak zadnego dzwieku, ktory by o tym swiadczył. Szedlem powoli przez otwarta przestrzen. Ksiezyca ubywalo; swiecil dostatecznie jasno, bym widzial grunt, na ktorym staralem sie dostrzec jakies slady pozostawione przez Gathee lub Gruu. Nie moglem jednak na to liczyc na kamiennej polce.

Zblizywszy sie do podnoza klifu zobaczylem to, czego nie moglem ujrzec z oddali: dwa pionowe rzedy otworow, wystarczajaco duzych, by pomiescily rece i stopy. Nie chcialo mi sie jednak wierzyc, iz Gathee wspiala sie po nich tak szybko, ze zniknela mi z oczu, zanim dotarlem na skraj lasu. Na pewno zobaczylbym ja, jak pnie sie w gore!

Rozejrzalem sie bezradnie wokolo. Jezeli byli jeszcze w lesie, moja dalsza wedrowka nie miala sensu. W koncu musialem sie pogodzic z mysla, iz nie zdolam odnalezc mojej towarzyszki - chyba ze uzyje tych niezdarnych schodow.

Przerzuciwszy rzemienie obu sakw przez ramiona i upewniwszy sie, ze zarowno miecz jak i sztylet dobrze tkwia w pochwach, zaczalem sie wspinac. Nie przyszlo mi to latwo, poniewaz przestrzenie miedzy uchwytami byly obliczone na kogos wyzszeego ode mnie. Musialem mocno sie wyciagac, by ich dosiegnac. Nie wiem, jak udalo sie to Gathej.

Uparcie parlem do gory, obmacujac i sprawdzajac kazdy otwor przed zmiana swojej pozycji. Moje palce zaglebialy sie w kurzu wypelniajacym te skalne kieszonki, wywnioskowalem wiec, ze mloda czarownica nie mogla sie tedy wspinac. Postanowilem jednak dotrzec na szczyt, gdyz stamtad musial roztaczac sie lepszy widok na okolice.

Dyszac ciężko wciągnąłem się na krawędź i stwierdziłem, że znalazłem się na sztucznie wygładzonej skalnej platformie. Była to nawet raczej niezwykle rozległa polka kończąca się następną wysoką ścianą.

To, co nad nią górowało, znajdowało się tak wysoko, że musiałem zadrzeć głowę, by w całości objąć spojrzeniem. Był to ogromny posąg. Wykonano go z wielkim kunsztem, wskazującym na obcy ludziom sposób myślenia twórcy rzeźby, przewrotny, nie przystosowany do kontaktów z nami.

Wykuta w skale dwunoga postać stała w głębokiej, zakończonej hakiem niszy. Ale tylko ta wyprostowana postawa upodabniała ją do ludzi, ponieważ miała wyraźnie ptasie cechy. To była naga samica, co przedstawiono w razący i nieprzyjemny sposób - chyba że uzna się szeroką, ozdobną krezę za jakiś element odzieży.

Smukłe nogi miała szeroko rozstawione, ręce wyciągnięte do przodu, a oblicze pod nastroszonym grzebieniem z długich pior w niewielkim stopniu przypominało moją twarz. Oczy były bardzo duże i ułożone skosnie; zrobiono je z czerwonych, może szlachetnych, kamieni, które pobłyskiwały w półmroku, jakby w ich wnętrzu paliło się miniaturowe ognisko. Zakrzywione palce kończyły się szponami. Patrzac na nie pomyślałem o krwawym strzepie kończyny, który pogrzebałem na skalnej pustyni.

Wyraz, jaki nieznanemu rzeźbiarz nadał obliczu ptakopodobnej istoty, harmonizował z groźnymi szponami, gdyż większa jej powierzchnie zajmował wielki, lekko rozwarty dziób, jakby jego właścicielka zamierzała rozedrzeć na kawałki zdobycz. Górna część postaci ocieniały olbrzymie skrzydła opadające za chudymi ramionami i tylko nieco rozchylone.

Pomiędzy wyprezonymi nogami kamiennego stwora ziała ciemna jama jak drzwi do wnętrza skały. Gdy tak skulony wpatrywałem się w rzeźbę, z otworu w skale buchnął obrzydliwy smród. Mimo woli zerkalem na czerwone oczy posagu. Rosł we mnie niepokój, gdyż czułem, że jestem obserwowany.

Nie przypuszczałem, by Gatheia weszła do tej jamy, gdyż nie płynęły z niej spójność i dobre samopoczucie, które roztaczała Światynia Księżyca. Wyczuwałem, że ta dziura jest tak samo niebezpieczna jak srebrzyste Śpiewaczki czy nocni niewidzialni wrogowie.

Wstałem powoli i z wielkim trudem oderwałem wzrok od niesamowitych oczu. Wejście przez drzwi, których strzegło to ptaszysko, bynajmniej nie zachęcało. Musi istnieć jakaś inna droga na szczyt.

I właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że nie powinienem odwracać się plecami do posagu. Nieznany rzeźbiarz nadał mu pozory życia, gotów więc byłem uwierzyć, że dobrowolnie pozostał w skalnej niszy. Obszedłem na czworakach skalną polkę w poszukiwaniu jakiegos innego dojścia na szczyt i nie spuszczając z oka złośliwej ptakopodobnej olbrzymki.



Niestety nie znalazłem wykutych w skale uchwytów, ale na północnej stronie skalnej platformy odkryłem szczelinę, która mogłbym wspiąć się na szczyt grani.

Ledwie zdążyłem do niej dotrzeć i po raz ostatni obejrzałem się na stojący w niszy posąg, gdy w ciemnej jamie między jego nogami dostrzegłem jakiś ruch. Odwróciłem się plecami do ściany, z obnażonym mieczem w dłoni. Usłyszałem szelest, a potem głośny gwizd.

Na białe światło wypełził stamtąd niekształtny, zgarbiony stwor. Przez chwilę siedział skulony, po czym wyprostował się na szponiastych nogach. Był to samiec, znacznie mniejszy od rzeźby pilnującej jego nory, chudy jak szczapa. Szpony i dziób miał takie same jak posąg.

Potworna głowa była osadzona na zgarbionych ramionach. W porównaniu z posągiem sprawiał wrażenie zdeformowanego, a przez to jeszcze bardziej obcego i niesamowitego. Tylko oczy miał równie czerwone, świecące - i bezgranicznie złe!

Wyrastające z barków skrzydła lekko się rozpostarły, gdy stanął naprzeciw mnie. Używał ich do utrzymania równowagi, gdy głośno wrzeszcząc rzucił się na mnie.

Czekałem, trzymając w pogotowiu brzeszczot. Nie wiem, czy kiedykolwiek walczył z przeciwnikiem zdecydowanym na wszystko, ale wystawił się na moje ciosy, jakby nie spodziewał się żadnego oporu.

Miecz uderzył celnie między skrzydłem a szyją potwora, który zdążył mnie dopaść i teraz szponami darł na strzepy moje odzienie, pas, rzemienie sakw i ze zgrzytem drapał moją kolczugę. Głowa mu opadła na ramie i z rany trysnęła ciemna ciecz. Kilka kropli spadło mi na rękę i sparzyło jak ogień. Stwor cofnął się chwiejnym krokiem, waląc powietrze rozczapierzonymi szponami. Rozpostarł skrzydła i bil nimi tak mocno, aż unosił się nad skalną polką. Cios, który mu zadałem, miał go usmiercić, ale wyglądało na to, że do końca pojedynku było jeszcze daleko.

Głowa, która łączyła z tułowiem tylko strzep skóry i ścięgna, opadła na piersi. Posoka trysnęła jak fontanna, gdy potworne ptaszysko znów się na mnie rzuciło. Może trzeba posiekac go na kawałki?

Uderzyłem mieczem jeszcze raz, celując w górną łapę. Odcięte szpony upadły na kamień przede mną. Potwór znów się cofnął szykując się do trzeciego ataku. Katem oka zobaczyłem, że odcięta ręka ozylła i pelźnie ku mnie, jej palce wydaly mi się łapami jakiegoś wstretnego owada. Potwór ruszył na mnie wymachując beładnie kończynami! Krew płynąca z okaleczonego przegubu ochlapała mi prawą rękę. Poczulem głęboko parzący płomień i szalony ból. Mimo to zdołałem siłą woli utrzymać miecz w dłoni.

Ten stwor, który nie chciał umrzeć, wyczuł chyba moją krew albo znalazł działanie swojej krwi, ponieważ zaczął roztrzaszczać czarne krople na wszystkie strony. Zarazem pilnie baczył, by trzymać się poza zasięgiem mojego brzeszczotu. Kilka kropli padło mi na policzek,

jeszcze więcej sparzyło szyję, nie chroniona misiurka. Zlakłem się o swoje oczy.

Zaatakowałem wroga, tym razem pochyliwszy się tak nisko, że deszcz ohydnej posoki trafił w osłonięte kolczuga ramiona i plecy. Wbiłem miecz w brzuch przeciwnika i odskoczyłem do tyłu. Jego krew sypłała po mnie, paląc żywym ogniem odsłonięte ciało.

Wydawało się, że w żaden sposób nie można go zabić. Mój kolejny cios, który rozciął tułów monstrualnego ptaka od zeber po krocze, tylko zwiększył upływ krwi, jakbym przebił skorzany worek z czarną posoką. Nie mogłem uwierzyć, by gesta ciecz, która płynęła tak obficie i tryskała tak daleko, wydobywała się z tego chudego jak szkielet ciała. Coraz częściej ptaszysko podparło się skrzydłami. Żeby je porabac, należało wystawić się na tryskającą z ran potwora truciznę. W tej chwili potknąłem się na odciętej łapie, leżącej w kaluży krwi, i omal nie straciłem równowagi. Rozwścieczony zamachnąłem się, wbiłem na czubek miecza ruszającą się wciąż kończynę i odrzuciłem. Wrog skorzystał z tego i rzucił się w moją stronę z wyciągniętymi ramionami. A przecież nie powinien był mnie widzieć: głowa zwisała mu na pasku skóry.

To potknięcie zapewne mnie ocaliło, gdyż znalazłem się z boku, na prawo od podlatującego stwora, na tyle blisko, żeby zadać cios w drugie skrzydło. I znowu mój miecz trafił celniej, niż mogłem przypuszczać. Przeciwnik cofnął się, nie przestając machać okaleczonym skrzydłem, jednocześnie zamaszycie wachlując powietrze zdrowym. Ten nierównomierny wysiłek rzucił go na skraj polki skalnej. Upadł tam, a wtedy doskoczyłem i ciałem mieczem w drugie skrzydło. Wreszcie wbiłem go między łopatki wielkiego ptaka.

Nie mogąc złapać tchu i zataczając się, cofnąłem się pod skalną ścianę i patrzyłem z przerażeniem, jak okaleczony potwór usiłuje wstać. Zatruta posoka rozlewała się w coraz większą kaluzję. Uznałem, że ptaszysko z tych ran już się nie wylizuje. Ale czy tylko on jeden zamieszkał w strzeżonej przez posag norze? Wprawdzie nie dostrzegłem w jej wnętrzu żadnego więcej ruchu, ale pozostałe stwory mogły już wyruszyć na łowy. Im wcześniej się stąd oddale, tym lepiej.

Wypuściwszy z dłoni zakrwawiony miecz, który zwisał na sznurze, nie śmiać też dotknąć poparzoną z raca posokareka ciała, pośpiesznie otarłem ją o spodnie. Krople, które spadły mi na policzek, paliły żywym ogniem. Los najwyraźniej postanowił mi pomóc, ponieważ tuż nad moją głową skalna szczelina rozszerzała się. Mogłem się do niej wcisnąć, a to zabezpieczyłoby mnie przed dalszymi atakami skrzydlatego napastnika. Stwor bowiem nadal żył! To podskakując, to polatując szykował się do kolejnej napaszcii.

Ten widok i dźwięki, wydawane przez niesmiertelnego, zda się, przeciwnika, dodały mi nowych sił. Zapomniałem o bólu szukając w trakcie dalszej wspinaczki oparcia dla rąk i nóg.

Dotarłem wreszcie na szczyt ściany. Oczekiwałem widoku grani, skal, a tymczasem przede mną rozpostarł się płaskowyż. To, co na nim zobaczyłem, było nowym podarkiem losu. Najpierw rzuciła mi się w oczy kepa drzew. Pobiegnąłem ku niej potykając się i chwiejąc

na nogach w przekonaniu, że żadne potworne ptaszyska nie osiągną mnie pod osłoną galezi i liści.

Tak jak przedtem usiłowałem się wydostać z niesamowitego lasu w dole, tak teraz biegłem co sił w nogach do tego niewielkiego zagajnika. Przycupnałem zziębnięty między dwoma pniami, kilkoma gałęziami liści oczyściłem miecz, a potem wyjąłem z sakwy lekarstwa od Zabiny. Natarłem lepka mascią najpierw wierzch dłoni, a następnie policzków i szczęki. Ból jakby trochę zelżał i obudziła się we mnie nadzieja, że lek uwolnił mnie od trucizny. Jak się okazało - złudna, gdyż dostałem silnych dreszczy, chociaż noc nie była chłodna. Chwyciły mnie takie mdłości, że aż zakreśliło mi się w głowie i wymiotowałem raz po raz. Nie mogłem też stać o własnych siłach.

Nieznana trucizna przedostała się przez skórę do mego mózgu, gdyż coraz to zapadałem w stan oszaleńca. Przywidywała mi się wtedy szczelina, która się tu wspinała, i odcięta, nadal krwawiąca "reka", która jak pies gонczy polowała dla swego pana. Później znowu odzyskiwałem przytomność i przypomniałem sobie, gdzie się znajduje. Mimo to rozglądałem się wokół, szukając wzrokiem pelzającej kończyny i wzdrygając się przy każdym szmerze czy odgłosie drapania.

Majaczym tak w gorączce przez długi czas, bo kiedy ocknałem się z ostatniego snu, w którym "reka" mnie zaatakowała, a ja byłem zbyt słaby, żeby podnieść miecz, był już dzień i słońce stało wysoko. Słoneczne promienie z łatwością przenikały przez korony drzew w zagajniku. Blask odbijający się w liściach, migotliwe "zajaczki" na trawie, ruchliwa gra światła i cienia męczyły moje oczy. Dreczyło mnie pragnienie. Ugasilem je resztką wody z manierki, którą podniosłem w drżących rękach do ust.

Smród bijący od krwi potwora, która zaschła na przedzie mojej kolczugi, znowu wywołał atak mdłości. Gdy spróbowałem wstać, przekonałem się, iż muszę się oprzeć o drzewo. Przez wierzch prawej dłoni biegło brunatne piętno. Pekło, kiedy krzywiąc się z bólu poruszyłem palcami. Nie miałem pojęcia, dokąd iść, wiedziałem jedynie, że muszę znaleźć wodę, aby oczyścić odzież i kolczugę i opatrzyć rany. Ale gdzież ja na tym pustkowiu znajdę jakieś źródło lub strumyk?

Z brzękiem kłazy wokół mnie gromady owadów. Zwabił je, przypuszczam, smród, który mnie otaczał. Chwiejnym krokiem wlokłem się od drzewa do drzewa, co rusz czepiając się pni i po chwilowym odpoczynku ruszając naprzód z nieczłowieckim trudem. W końcu wyszedłem na skraj zagajnika i stanąłem w słońcu, mrugając oczami i gromadząc energię na dalszą wędrówkę. Poczwarą, którą usiłowałem zabić, była nocnym stworzeniem. Dzień będzie mi sprzyjał, jeżeli jak najprędzej odejść od cuchnącej nory na skalnej polce.

Na zachodzie rysowało się pasmo wzgórz, ale od jakiegoś czasu podążałem na północ pod osłoną drzew, nie chcąc się jej wyrzec. Teraz zawałem się, oparłem o pień i zastanowiłem się, kiedy iść, by nie wyczerpać reszty swoich sił. Trawa wyrastała tutaj kępami pomiędzy skałami, które przebijały się przez warstwy ziemi. Wznoszące się przede

mna zbocze wydalo mi sie lagodne, poszedlem wiec w jego strone. Jeszcze raz na pewno nie dalbym rady wspiac sie na pionowa sciane skalna.

Zagajnik pozostal juz daleko za mna, kiedy zauwazylem, ze ide po czymś, co moglo byc tylko brukiem: wygladzonych kamiennych blokach ulozonych z wielkim kunsztem scisle obok siebie. W szczelinach nie dojrzałem nawet sladu ziemi, nie mowiac juz o roslinach. Ten trakt nie zaslugiwal na miano drogi, na ktorej zdolalby sie zmiescic jeden z naszych furgonow, nadawal sie raczej dla jezdzcow. Dla mnie teraz byl to jeszcze jeden szczeniwy traf. Szedlem powoli, zatrzymujac sie od czasu do czasu i czekajac, az przeminie kolejny atak zawrotow glowy, ktore budzily we mnie strach.

Ta brukowana drozka przez jakis czas biegla na pomoc. Pozniej zas zaczela sie wznosic coraz wyzej ku gorom na zachodzie i wywiodla mnie na siodlo miedzy dwiema niebotycznymi turniami, po czym sprowadzila na dno glebokiego wawozu.

Cien zalegajacy w rozpadlinach zlagodzil dotkliwy bol glowy; nadal palilo mnie bolesnie gardlo. Przez caly czas wstrzasaly mna zimne dreszcze, niekiedy tak silne, ze musialem sie zatrzymywac i dla zachowania rownowagi opierac o najblizsza skale, dopoki nie minely.

Teraz droga stala sie szersza, jakkolwiek tylko jej srodek byl brukowany, ale po obu stronach ciagnely sie oczyszczone z glazow i kamieni pasma, tak ze zadna z obluzowanych skal nie zblizala sie do bruku. Czy mialo to zapobiegac zasadzkom na podroznych? Na wszelki wypadek podwoilem czujnosc. Jakies czlekokształtne potwory mogly mnie tu z powodzeniem sledzic, tkwiac w szczelinie powyzej. Nie szczeniylem wiec sil, zeby za dnia dojsc jak najdalej.

Juz nie myslalem o Gathej ani o Gruu. W obliczu grozacego niebezpieczenstwa musialem skoncentrowac sie na sobie.

Starozytna droga opuscila wawoz i znow poczela sie wznosic, lecz tak lagodnie, iz nadal moglem maszerowac szybkim krokiem. Dal tu ozywcy, chlodny wiatr, unoszac ze soba smrod zakrzeplej posoki, ktorej nie mialem jak usunac. Wreszcie dotarlem do nastepnej przeleczy. Stad zobaczylem, co krylo sie za pierwszym pasmem gor zachodnich.

Powierzchnia drogi zrobila sie teraz wyboista i nierowna. Nieznani budowniczwowie w jej najnizszym punkcie zbudowali kamienny basen, do ktorego wpadal strumien. Raczej dowloklem sie tam niz podszedlem, osunalem na kolana i zanurzylem poparzone rece w zimnej jak lod wodzie.

Nie oparlem sie tez innej pokusie. Odlozywszy miecz tak, zeby miec go pod reka, zdjalem kolczuge i kaftan i oba wyszorowalem mokrym piaskiem z dna basenu. Umylem sie tez do pasa, by usunac wszystkie slady walki ze skrzydlatym monstrum. Poparzone miejsca piekly mnie zywym ogniem, posmarowalem wiec twarz i szyje mascia Zabiny, liczac na dobroczynny skutek leku. Brazowy strup na prawej rece odpadl, pozostawilwszy czerwona,

wielka blizne. Skora w tym miejscu pozostala napieta, gdy zginalem i prostowalem palce.

Pozbywszy sie sladow zatrutej posoki, ktore musialem tak dlugo znosic, moglem w koncu cos zjesc. Wylukalem i napelnilem woda manierke. Potem siadlem ze skrzyzowanymi nogami obok basenu i gasilem pragnienie przygladajac sie otaczajacemu mnie swiatu.

U stop gor rozciagala sie dziwnie pstrokata rownina. Bialo-zolte w sloncu plamy musialy byc pustynia, pozbawiona skrawka zieleni, na ktorej mogloby spoczac oko wedrowca, i ktora obiecywalaby latwiejsza wedrowke. Droga, ktora stad wygladala jak wstazka z jasnieszego kamienia, skrecala na poludnie, tulac sie do gor, gdy ukosem schodzila w dol polka wyrabana w zboczu. Ogrom pracy, jakiej wymagalo to przedsiwziecie, wywarl na mnie wielkie wrazenie. Wiedzialem, jakiego trudu wymaga przygotowanie chocby zwyklego ubitego traktu laczonego dwie doliny. Takie plany Ukladali panowie podczas naszej podrozy na pomoc. Zrzucili je, gdyz ich realizacja wymagalaby znacznie wiecej sily roboczej, niz moglby jej dostarczyc nawet najliczniejszy z naszych klanow. A przeciez tutaj przycieto cale skalne zbocze i na wyciosanym szlaku kunsztownie ulozono wygladzone kamienne bloki. Ile czasu to zabralo i jaki wielmoza czy wladca potrzebowal takiej drogi, ze zgromadzil dosc ludzi do wykonania tego zadania?

Droga konczyla sie w zaroslach czy drzewach. Widzialem tylko kolyszace sie na wietrze zielone wierzcholki. Nie moglem dostrzec, czy wychodzila z drugiej strony zagajnika. Odpoczywalem tak i rozwazalem, kiedy ruszyc w dalsza droge - zaraz czy tez pozostac tutaj na noc. Czy nadal znajdowalem sie jeszcze blisko nory latajacej poczwy, ze powinienem sie obawiac jej pobratymcow? Czy w ogole dam rade pokonac trase do tamtej kepy drzew? A co z lasami i zagajnikami tej nieznanej okolicy - czy i w nich nie kryja sie jakies nowe niebezpieczenstwa?

Mysl o mozliwym ataku skrzydlatych stworow ponaglila mnie do dalszej wedrowki. Odpoczynek polaczony z jedzeniem i picciem dodal mi sil. Jezeli dzisiejszej nocy ukaze sie ksiezyc, nawet taki ubywajacy jak wczoraj, pomoze mi w podrozy. Omiotlem spojrzeniem horyzont szukajac chmur, ale nie zobaczylem ani jednej. Nabralem nadziei, ze rozbije oboz na skraju lasku w dole.

Przekonany do slusznosci swej decyzji, znacznie pewniejszym niz dotychczas krokiem zaczalem schodzic ze zbocza. Myslam o Mieczowych Braciach, zastanawialem sie, czy ktorys z nich przypadkiem tu trafil i co pomysleliby o istocie, z ktora walczyłem, albo o Srebrzystych Spiewaczkach - lub o nocnym myśliwym? Na jakie sie natkneli cuda, o ktorych nam nie opowiedzieli, albo ktore poznali dopiero po zaprowadzeniu nas do nadmorskich dolin? Kiedys zazdroscilem im mozliwosci poznawania nieznanych ziem i odnajdywania w nich niezwyklosci. Teraz jednak, sam wedrujac samotnie, zrozumialem, ze rzeczywistosc bardzo sie roznila od marzen.

Szedlem szybko wygodna, brukowana droga, ktora nigdy nie opadala zbyt stromo, jakby przeznaczona byla dla ruchu wymagajacego stalej szybkości. Zaprowadzila mnie dosc

daleko na południe. Gory, na ktore sie wspinalem, dawno pozostawilem za soba. Tamte skaly byly takie same jak wszedzie - szare z czerwonymi i zoltymi pietnami i zylkami. Ale bruk byl z zupełnie innego kamienia. Musiano go przywiezc z daleka, gdz byl szarobialy i to bylo powodem, ze odcinal sie od ciemniejszego podloza.

Przemierzylem moze trzecia czesc drogi, kiedy zauwazylem, ze bloki, po ktorych szedlem, stracily swa gladkosc. Umieszczono na nich lub w nich jakies symbole i to w taki sposob, ze podrozny musial na nie nastapic. Niektore znaki byly czarne jak sadza, co niemile przypominalo mi kolor krwi latajacego monstrum, inne zas mialy wyblakla czerwona barwe, podobne byly wiec do mojej krwi, gdyby zostala przelana i jakimis sposobem wsiakla w kamien.

Same symbole byly bardzo skomplikowane i z trudem odroznialem ich szczegoly. Skoro bowiem raz popatrzylo sie na jakis fragment wzoru, nie mozna juz bylo oderwac oden wzroku, ktory slizgal sie do przodu, w dol, w gore i wkolo. Pospiesznie przenioslem uwage gdzie indziej. Jednoczesnie uswiadomilem sobie, ze te symbole umieszczono tu po to, by ocenic sile tych, ktorzy wedrowali ta droga, i by mogli oni deptac symbole mocy uwazanych za zle. Mozliwe jednak, iz tak tylko mi sie przywidzialo, wiec na wszelki wypadek staralem sie powsciagnac wodze swej wyobrazni.

Wystarczylo mi, ze sam kolor symboli budzil we mnie wstret. Nie chcialem, aby mi przypominal to, co przezyłem, i uparcie kierowalem wzrok gdzie indziej. Nie wszystkie byly tak oznakowane. Czesto napotykałem długie odcinki czystego bruku i wtedy zatrzymywalem sie, by odpoczac i spojrzec na wierzcholki drzew, ktore wciaz wydawaly sie tak odlegle.

Ozywczy wiatr, ktory dal na przeleczy, tutaj nie docieral. Pare razy dosiegnal mnie podmuch z pustyni, byl bowiem goracy i suchy. Kiedy znow skierowalem sie na zachod, postanowilem unikac tej czesci nieznanej krainy.

Skierowalem sie na zachod? Dokad mialem pojsc bez Gathe i przewodnika? Dotychczas koncentrowalem sie na ucieczce przed latajacymi potworami i po raz pierwszy uswiadomilem sobie, ze nie wiem, co mam robic dalej. Jezeli Gathea rzeczywiscie znala los lynne, nie dala mi zadnych wskazowek. Byloby czystym szalenstwem blakac sie po tym dzikim pustkowiu w poszukiwaniu tropu, ktory moze wcale nie istnial.

Ale coz mi innego pozostalo? Wiedzialem tylko, ze znajde moja kuzynke na zachodzie, wiec musze pojsc na zachod. Co moglem zrobic ja, bezimienny banita? Ta gorzka prawda zaprzatala mi mysli, gdy kroczyłem po kolejnych odcinkach oznaczonych nieznanymi symbolami kamiennych blokow. Zapadal juz zmierzch i zaczalem biec, a w koncu dotarlem do pierwszych drzew. Tutaj sie zawahalem. Mam dalej wedrowac w mrocznym lesie, kiedy noc blisko, czy zostac tutaj, na obrzezu?

Obozowisko przygotowałem starannie. Nalamalem witek, które później oparłem o wbite w ziemię grubsze galezie, i zbudowałem w ten sposób dach mający mnie ukryć przed wzrokiem skrzydlatych istot. Nie wiedziałem, czy tamte poczwary umiały wywieszać trop, ale nie zamierzałem rozpalac ogniska, żeby nie sciągnąć światłem i zapachem dymu innych nocnych myśliwych. Przypomniawszy sobie, co Gathea powiedziała o mocy zimnego żelaza przeciw nieznanemu, wyciągnąłem sztylet i wbiliem go w ziemię przed szalase, obnazyony miecz umieściłem w zasięgu ręki. Sakwe Gathej położyłem z jednej strony; z własnej wydobylem jedzenie. Należało zacząć je oszczędzać.

Znow rozboleła mnie głowa i chociaż masc Zabiny złagodziła nieco ból oparzelin, dokuczała mi tak, że nie mogłem zasnąć. Patrzyłem więc i słuchałem.

W lesie nie panowała cisza. Docierały do mnie ciche piski, skrzeki, pohukiwania, szelest liści w krzakach, jak gdyby żyjące tam istoty obudziły się wraz z nastaniem nocy i dopiero teraz mogły się zająć swoimi sprawami. Tylko raz dobiegł mnie z góry znajomy chrapliwy gwizd i wtedy szybko zacisnąłem dłoń na rekojesci miecza. Jeżeli jednak nad lasem przeleciało nawet skrzydlate monstrum, nie interesowało się mną.

Bez przerwy wracałem myśla do tego, co się wydarzyło od minionej nocy, kiedy Gathea zniknęła w niesamowitym lesie. Byłem przekonany, że w jakiś sposób ominąłem drogę, która pobięła. Wbrew woli zaakceptowałem fakt, że tylko szczęśliwy traf pozwoli mi ją odnaleźć.

Mimo wszelkich usiłowań, nie oparłem się senności. Nagle obudziłem się jedynie po to, by znow zasnąć. To przysypiałem, to czuwałem, wytezając wzrok i słuch.

Nie wiedziałem, co zrobić rano. Nie powinienem wracać na drogę prowadzącą do przełeczy. Miałem wielkie szczęście w pierwszym spotkaniu ze skrzydlatymi poczwarami. Nie mogłem się jednak ludzić, że dopisze mi po raz drugi. Chyba najlepiej zrobić wedrując podgorzem w poszukiwaniu śladów Gathej albo ktoregos z Mieczowych Braci, którzy wcześniej od nas wyruszyli na zachód. Po raz pierwszy, odkąd Garn wygnał mnie z klanu i ze swego Domu, upadłem na duchu. Dopiero teraz zrozumiałem, czym jest całkowita samotność. Nadszedł też czas pogodzenia z gorzką prawdą, że moje nadzieje na odnalezienie Lynne są marzeniem, które ma niewielkie szanse spełnienia od chwili zniknięcia Gathej.

Wszelako zaciąłem się w uporze i postanowiłem, iż tylko śmierć może przerwać moje poszukiwania. Nic innego mi już nie pozostało.

Noc była długa, ale ja spałem niewiele, z przerwami. Nic jednak nie zbliżyło się do mojego ukrycia. Wyglądało to tak, jakbym stał się niewidzialny dla wszystkich istot, które kazyły lub polowały w ciemności. O swicie znow się posiłem - zjadłem tylko kilka kesow - a potem naprawiłem rzemieńne pasy obu sakw i zarzuciwszy je na plecy, ruszyłem dalej, mając za przewodnika brukowany trakt.

Zaprowadził mnie w głąb lasu, gdzie galezie drzew stykały się w gorze, tworząc ponad drogą sklepienie, zatrzymujące większość słonecznych promieni. Tutaj też na kamiennych płytach nie zauważyłem żadnych porostów, mchów czy traw. W istocie były tak jasne, że zdawały się lekko świecić, i żadnego nie oznaczono tamtymi niepokojącymi symbolami.

Teraz jednak droga nie biegła prosto, ale od czasu do czasu skrecała to w lewo, to w prawo, omijając zwarte kępy wysokich i grubych drzew. Miały gładką, czerwonobrunatną kore, gęste korony wysoko u szczytu i nieliczne galezie poniżej. Uszedłem spory kawałek, nim zauważyłem, że również pod innymi względami się wyróżniały. Na przykład kiedy je okrążyłem, ich liście - były jasnozielone i wydawały się równie świeże, jak pierwsze wiosenne paczki - zaczynały szeleścić. A przecież nie wiał najslabszy wiatr. Gdy stało się tak po raz trzeci, zatrzymałem się i spojrzałem w górę. Nie, to nie pomyłka! Liście tuż nad moją głową poruszały się coraz gwałtowniej, jakby ocierając się o siebie coś mówiły, nawoływały się albo wymieniały uwagi na temat mojej obecności w lesie.

Czyżby trucizna, którą wczoraj wchłonąłem, uszkodziła mi mózg? Próbowałem sam siebie o tym przekonać, gdyż uwierzyłbym w to znacznie łatwiej niż uznał, iż drzewa rozmawiają, a zatem są istotami rozumnymi.

Nie bałem się, byłem tylko zaintrygowany. Nie poszedłem dalej, chociaż gdyby jeden z tych potężnych konarów runął w dół, zginałbym na miejscu. Liście szeleściły coraz głośniej. Zacząłem wierzyć, iż ten szelest naprawdę był mowa, jakkolwiek w niczym nie podobna do mojej.

W miarę upływu czasu szelest sprawiał wrażenie coraz bardziej zniecierpliwionego, jakby drzewa starały się zwrócić na siebie moją uwagę, a ja nie reagowałem jak należy. Ta myśl tak zawiadnęła moją wyobraźnię, że zapytałem głośno:

-Czego ode mnie chcecie?

Liście w koronach wirowały na swoich ogonkach, szeleszcząc tak, jak gdyby wichura szarpała drzewem, doprowadzając je do szalu. Nawet ciężkie konary kołysały się na wszystkie strony niczym człowiek, który wymachuje ramionami, by sięgnąć na siebie czy jakiegos nierozgarniętego ciolka.

Miotające się liście zalsniły. Wydawało się, że zmieniły swą naturę i stały się zielonymi plomykami świecącymi jasno jak tysiąc świec. Tak, były zielone, ale iskrzyły się też błękitem, zółcią - i ciemnym fioletem - aż znalazłem się pod splecioną z barwnych światełek siecią o skomplikowanych wzorach, która wisiała nade mną niby piękny kobierzec w jakimś bogatym zamku.

Czy to światło spłynęło w dół, czy zsunęło się z liścia na liść? Nie mogłem oderwać oczu, kiedy liście albo te stworzone przez nie światełka zaczęły krzącać wokół mnie.

Nagle zdałem sobie sprawę, że już nie stałem w lesie. Nie mogłbym powiedzieć, gdzie się



znalazłem. Wiedziałem jedynie, że nie było to miejsce, do którego kiedykolwiek trafił któryś z moich współplemienców. Świetlana spirala wirowała coraz bliżej, zacieśniała się wokół mnie! Nie czułem strachu, tylko zdumienie, że oglądam coś, co nie jest przeznaczone dla takich oczu jak moje. Później rozjarzona sieć rozwarła się i rozsunęła na boki i ktoś stanął przede mną.

Jakaś cząstka mojej istoty przeniknęła głuchy niepokój, jak wtedy, gdy człowiek styka się z czymś dziwnym i niezrozumiałym. Lecz reszta mnie spokojnie czekała, zdałem sobie bowiem sprawę, że w jakiś sposób mnie wezwano.

Kobieta, która się wyłoniła zza świetlnej zasłony, była wysoka i wiotka, odziana w lnianą zieloną szatę z małych listków, które nigdy nie spoczywały bez ruchu, tylko falowały i przesuwały się po jej ciele, ukazując raz smukłe kończyny, innym razem małą pierś, później zaś ramiona albo znowu przywierały ciasno do siebie, szczelnie okrywając nieznaną od kostek po szyję.

Jej długie, rozpuszczone włosy też nie spoczywały bez ruchu na ramionach, lecz ruchoma chmura wokół głowy kolysała się i spletała, zacieśniała się i rozluźniała tak samo, jak listki z jej sukni. Też były zielone, ale jasna zielenia, gdzieś tam przetykana czerwionobrazowymi nitkami. Jej skóra miała czerwionobrazową barwę tam, gdzie kontrastowała z odzieniem.

Wielkie, zielone, błyszczące oczy dominowały w jej twarzy i świeciły jak szlachetne kamienie, które posiadali najbogatsi z naszych wielmożów. Jaskrawozielone i jeszcze bardziej lniane były jej paznokcie na rękach, które teraz podniosła, by przyglądać włosy.

Była tak piękna, ośniewała dziwną, obcą pięknoscia. Nigdy nie myślałem, że może istnieć taka uroda. Nie marzyłem o cielesnej miłości nawet w snach, które nawiedzają każdego młodzieńca, gdy staje się mężczyzną. Nie mogłbym jednak wyciągnąć ku niej rąk powodowany pożądaniem, ponieważ nie miała ze mną nic wspólnego, nie istniał żaden most, po którym zdołałbym się do niej zbliżyć. Mogłem tylko patrzeć na nią i podziwiać ją jak cudowny kwiat.

Te ogromne oczy spojrzały w moje i ani nie potrafiłem się obronić, ani nie chciałem. Poczulem dotknięcie jej umysłu, znacznie bardziej intymne niż dotknięcie dłoni czy ciała.

-Kim jesteś, wędrowcze, idący starożytną drogą Alafianów?

Nie przemówiła, ale zapytała w myśli. Nie odpowiedziałem też słowami. Po prostu jej pytanie obudziło moje wspomnienia i zacząłem przypominać sobie wszystko, co się ze mną działo, odkąd przybyłem do doliny Garna, ze szczegółami, o których - sadziłem - dawno zapomniałem.

Wspominałem jednak nie z własnej nieprzymuszonej woli. Przypomniałem sobie bowiem także i to, o czym naprawdę wolałbym zapomnieć. Nie mogłem nic na to poradzić. Wspomnienia te ożyły w mojej pamięci i ona je poznała.

-Ach, tak...

Wydawało mi się, że wyssała wszystko z mojego umysłu, ale nie poczułem się tym urazony. Mógłście zdawać sobie sprawę, że miała do tego prawo i że powinienem się usprawiedliwić, dlatego wtargnąłem do jej krainy, w której od dawna panował spokój, a moje przybycie przerwało szczęśliwą drzemkę.

-To nie jest miejsce dla ciebie, polczłowieku. Lecz nie przestajesz szukać. I...

Urwala na chwilę, opuszczając mój umysł i poczułem się dziwnie pusty, jeszcze dotkliwiej odczuwając ciężar samotności.

-Będzie kierować tobą to, czego sam pragniesz. To nie my obudziliśmy w tobie to pragnienie i nawet ktoś taki jak ja nie może ani go usunąć, ani zmienić. Szukaj, a może znajdziesz więcej, niż się spodziewasz. Wszystko jest możliwe, gdy ziarno pada na żyzną glebę. Idź w pokój, ale ostrzegam - nie znajdziesz go, gdyż nie leży to w twojej naturze.

Znowu jej myśl się wycofała. Chciałem zawołać, żeby mnie nie opuszczała, gdy nagle rozdzieliła nas migotliwa kurtyna, zamieniła się w wirujące świetliste wzory, rozpadła na iskielki, które trysnęły na wszystkie strony w wielkim wybuchu światła, oslepiając mnie na długą chwilę.

Znowu stałem pod odmiennym od innych drzewem na starożytnej drodze. Liście już nie szeleszczyły nad moją głową, a niezwykle drzewo stało tak spokojnie, jakby opuściło je życie. U moich stop leżał pojedynczy liść, doskonale piękny, jaskrawozielony, podobny do szlachetnego kamienia jak oczy lesnej damy. Wzdłuż krawędzi biegła linia czerwono-brązowa jak pień drzewa lub przepiękne ciało, które oglądałem dopiero co.

Czy była to wizja zrodzona z cielesnej słabości? Nie, nie wierzę! Nachyliłem się i podniosłem osobliwy liść, niepodobny do liści jakiegokolwiek znanego mi drzewa. Był od nich cięższy i grubszy, jakby wykuto go z jakiegoś cennego kamienia, którego jeszcze nie poznali moi współplemięcy. Liść ten nie wiadł i nie rozpadał się w proch jak te, które spadały z drzew jesienią w zwykłym lesie.

Odpiąłem klapy sakwy i ostrożnie włożyłem liść do środka. Nie wiedziałem, dlaczego mi go dano (nie miałem bowiem najmniejszych wątpliwości, że był to dar), ale czułem, że kiedyś się dowiem i że zawsze będę nosił przy sobie ten skarb.

Przez jakiś czas nie byłem w stanie ruszyć się z miejsca i wpatrywałem się w drzewo, w którym objawiła mi się niezwykła kobieta. Gdy wreszcie uświadomiłem sobie, że to, co zobaczyłem, już nie wróci, obudzona we mnie tęsknota powoli zanikła. Na polce skalnej spotkałem potwora, tutaj zaś miałem wizję, która mnie poraziła pięknem. W tej krainie mijałem się między strachem i zdumieniem, nie znajdując bezpiecznego środka.

Ruszyłem zatem dalej tą samą drogą, która nadal wiała się wśród drzew, ale teraz już nie

wolaly do mnie glosy lisci. Zapragnalem oddalic sie od nich jak najszybciej, gdyz sam ich widok sprawial mi bol i przypominal o stracie czegos, czego nie pozyskalem.

Nie zatrzymywalem sie, chociaz dokuczal mi glod, tylko uparcie parlem przed siebie. W koncu wyszedlem z lasu na otwarta przestrzen. Tutaj opuscilem starozytna droge, gdyz nadal biegla na polnoc, a ja skads wzialem przekonanie, ze musze isc na zachod. Niezbyt daleko strzelal ku niebu kolejny gorski lancuch, otaczajaca mnie zas rownina byla porosnieta krzakami i rozrzuconymi z rzadka drzewami. Nagle cos przyciagnelo moja uwage. Nie wierzyłem własnym oczom.

Zamek?! Tutaj?

Kamienne mury, wieza - wszystko to tak bardzo przypominalo twierdze, ktorych nawet moc Bramy nie wymazala z mojej pamieci, ze moglbym uwierzyc, iz powrocilem do kraju swego urodzenia. Tyle tylko, ze sztandar pana zamku nie powiewal nad wieza i nie dostrzeglem na murach zadnych sladow zycia.

Po raz nie wiem ktory zadalem sobie pytanie, co sklonilo Bardow do otwarcia dla nas Bramy do tego swiata. Czy naprawde ludzie tacy jak ja juz kiedys tedy podrozowali? Przed czym uieklismy? I dlaczego wlasnie to wspomnienie musialo zostac wymazane z naszej pamieci, skoro pozostalo w niej tak wiele innych? Forteca, na ktora teraz patrzylem, rownie dobrze mogla byc siedziba jednego z naszych najpoteczniejszych wodzow. Na pewno wywierala wieksze wrazenie niz zamek Garna. Jezeli nie zbudowali jej moi wspolplemiency, to musialy to zrobic istoty niezwykle do nas podobne. Przyciagalo mnie samo to podobienstwo.

Ruszylem szybszym krokiem, przedzierajac sie przez krzaki. Kiedys byly tu pola uprawne. Dzielace je wtedy kamienne murki, miejscami zamienione w gruzy, przebiegaly teraz przez trawe i krzewy, tak ze musialem sie na nie wdrapywac. Na jednym z poletek zobaczylem dojrzale do zzecia karlowate zboze.

Chwycilem garść wasatych kłosów i roztarłem je w dłoniach, a potem zjadłem kilka ziaren. Robiłem tak kiedyś w dzieciństwie. Miały taki sam smak i zapach. Jakże podobne były do siebie światy, które połączyła tajemnicza Brama do czasu i przestrzeni. Przynajmniej to ziarno świadczyło, że nasze przywiezione zboże wyda tutaj plony, obiecując w przyszłości jeszcze lepsze zbiory.- Oczywiście, jeżeli obce życie nie wypowie nam wojny, gdyż najezdźcy i obcy nie mają takich praw jak gospodarze.

Powoli zując zebrane ziarno szedłem w stronę ogromnej twierdzy. W miarę jak się do niej zbliżałem, coraz bardziej przypominała mi nasze siedziby. Ci, którzy ją zbudowali, tak jak my musieli się bronić przed wrogami, ponieważ były tu mocne mury i umieszczone wysoko wąskie okna.

Lecz masywne wrota były otwarte; jedno skrzydło zwisało wyrwane z potężnego zawiasu, pozwalając wejść każdemu. To najdobitniej dowodziło, że mieszkańcy opuścili zamek. Kamienne ciosy nie pochodziły ze znanych mi już gór, gdyż były różowoczerwone a nie szare z czerwonymi i żółtymi żyłkami. Polyskiwały w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, jakby tkwiły w nich drobiny wypolerowanego srebra.

Nad wrotami umieszczony był kaseton, który jasniał jaskrawym, prawie białym blaskiem. W naszych zamkach w tym miejscu umieszcza się herb Domu, ale tutaj kontrastowała z tłem pełna rzeźba przedstawiająca kota, wielkiego srebrzystobiałego kota podobnego do Gruu. Wbrew moim oczekiwaniom drapieżnik nie szczyrzył groźnie kłów, ostrzegając ewentualnego napastnika, lecz siedział wyprostowany, owinięty ogonem, którego koniuszek spoczywał między przednimi łapami.

Zielone oczy zwierzecia, równie błyszczące jak oczy lesnej damy, po mistrzowsku osadzono w głowie posagu. Zdawały się żyć i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że ten strażnik na pewno widział wszystkich, którzy przechodzili poniżej. Bezwiednie uniosłem prawa rękę w żołnierskim pozdrowieniu, witając nieruchomą postać strażnika, tak długo trwającego na posterunku.

Przeszedłem pod kocią wartownią na duży wewnętrzny dziedziniec. Znalazłem się na wprost wewnętrznego zamku z wieżą na szczycie. Była tam na pewno wielka sala, prywatne komnaty pana zamku, arsenał i spizarnia. Przy murze otaczającym dziedziniec skupiły się mniejsze budynki, stajnie, składy, pomieszczenia dla służby, koszary i tym podobne.

Poza przekrzywionymi wrotami nie zobaczyłem żadnych śladów zniszczenia spowodowanego upływem czasu. Którykolwiek z naszych klanów mógłby się tutaj od razu wprowadzić i mieszkać znacznie wygodniej niż przez kilka następnych dziesiątków lat w nadmorskich dolinach. Oczywiście przy założeniu, że nie natknęliby się na takich nieprzyjaciół jak skrzydlate poczwary czy Srebrzyste Śpiewaczki.

Ruszyłem śmiało dalej. Może dlatego, że ta twierdza tak bardzo przypominała mi fortece mojego ludu, nie czułem niepokoju, a nie opuszczał mnie on od chwili, gdy razem z Gatheą znalazłem się w tej ocienionej magii krainie. Drzwi do wieży były szeroko otwarte, a utrzymywał je w tej pozycji kopczyk ziemi przemieszanej z zeschniętymi liśćmi, co świadczyło, że stały tak otworem co najmniej przez rok.

Nad zwieńczonymi hakami drzwiami tkwiło ogromne kamienne polkole, a na nim wyryte głęboko szeregi run. Ostrzeżenie?

Powitanie? Mogłem snuć różne przypuszczenia, ale nigdy nie dowiem się, co tam było naprawdę.

Wszedłem do wielkiej sali. Z jej wyposażenia pozostało tylko to, co wykonano z kamienia. Zobaczyłem podwyższenie z honorowymi krzesłami - było ich cztery - każde z gładkiego zielonego kamienia, z wysokimi oparciami rzezbionymi w skomplikowane wzory, których szczegółów nie mogłem z daleka odróżnić. Stał tam także stół, a niżej, umieszczony poprzecznie, jeszcze jeden stół z kamienia takiego jak ściany sali.

Panował tu półmrok, gdyż umieszczone wysoko wąskie okna nie wpuszczały wiele światła. W pobliżu stołów zobaczyłem szerniały od dymu kominek, tak ogromny, że mógłby pomieścić kłody z gigantycznych drzew rosnących w lesie Zielonej Damy. Nad kominkiem znajdował się gzyms, podparty z obu stron przez większe ode mnie posagi kotów i pokryty runami, które osobliwie lśniły w półmroku.

Ciekawość i dziwne uczucie, że wszystko to już kiedyś widziałem, kazały mi dalej wędrować po opuszczonym zamku. Na piętrze natrafiłem na komnaty, do których dotarłem po schodach umieszczonych za krzesłami honorowymi. Stały puste, w dwóch były kominki z rzezbionymi gzymsami i napisami runicznymi. Możliwe, że kiedyś bogate gobeliny zdobiły te ściany, lecz nie zachował się nawet ślad po nich. Na podłodze leżał tylko kurz, w którym pozostawiłem swoje odciski stóp, może pierwsze od wielu lat.

Znalazłem też mieszczącą się w jednym ze skrzydeł wewnętrznego zamku kuchnię, która ku wygodzie dawno zaginionych kucharzy wyposażono w kamienne stoły. Zdumiała

mnie przemyślnie ustawiona rura, z której woda tryskała do długiego koryta; w żadnej ze zbudowanych przez mój lud twierdz nie znalazłoby się czegoś podobnego. Zaczepiłem i spróbowałem wody: była zimna i słodka. Zaspokoiwszy pragnienie, wróciłem do wielkiej sali, w której postanowiłem spędzić noc.

O zmierzchu odkryłem inny cud. Już wcześniej zauważyłem, że runy nad kominkiem wydawały się niezwykle błyszczące w mrocznej przecież komnacie. Teraz zaś, w miarę jak się na zewnątrz ściemniało, isniły coraz jasniej. Kiedy przyjrzałem im się dokładniej - a gdzieś znajdował się wysoko nad moją głową - zobaczyłem we wnętrzu nieznanymi symbolami i między nimi wyrzeźbione niewielkie obrazki, które łączyły się z runami.

To były sceny z polowań i bitew. Jednak myśliwych nie mogłbym nazwać ludźmi. To koty skradły się, skakały i powalały na ziemię zdobyczą. Ale jaka zdobyczą! Nie miałem żadnych trudności z rozpoznaniem skrzydlatego stworzenia; sam walczyłem z takim na skalnej polce. A był to najmniej niesamowity z przedstawionych tu stworzeń. Sam ich widok był dla mnie wystarczającym ostrzeżeniem przed dalszą wędrowką. A może z czasem niektóre z nich wyginęły?

Zobaczyłem więc weza - użyłem określenia "weza", zanim lepiej nie przyjrzałem się temu stworzeniu - z klami jak u dzika i rogatą głową, uniesioną dostatecznie wysoko, by ukazać, iż nie tkwiła na gibkim ciele gada, lecz na ludzkim tułowiu zakończonym luskowym ogonem tam, - gdzie powinny znajdować się dolne kończyny. W wyciągniętych rękach potwór trzymał dwa sztylety, grożąc nimi kotu, który stał przed nim w pozycji doświadczonego szermierza.

Inny koci wojownik unosił głowę z okrzykiem zwycięstwa; tak samo robił to Gruu. Potężna łapa przyciskał do ziemi mniejsze od siebie stworzenie wyglądające jak klebek zjezonych włosów, sterczało z niego jedno podobne do korzenia ramie usiłujące zaatakować szponiastymi palcami zwycięzce lub zbrojce.

Te sceny opowiadały o prawdziwych starciach. Pomyślałem, że postąpiłem bardzo lekkomyślnie zapuszczając się na nieznaną tereny, na których być może wciąż się roilo od takich potworów. Przyszły mi na myśl Gatheia i panią Lynnę. Ogarnęła mnie obawa, że stało się z nimi coś bardzo złego, ale w żaden sposób nie mogłbym im pomóc, dopóki nie natrafie na ich ślady.

W wielkiej sali nie było drewna, którym mogłbym rozpalić ogień na kominku, ale usiadłem na jego progu i zjadłem porcję przeznaczoną na następny posiłek. Pomyślałem, że na jutro na pewno coś upoluje, gdyż dojrzewające zboże zazwyczaj zwabia wielu roślinozerców. Za to wodę mogłem pić do woli.

Posiliwszy się i ugasiwszy pragnienie obszedłem wielką salę, która teraz wypełniały gestniejące cienie. Od czasu do czasu cofałem się nawet przed jakąś ciemniejszą plamą, jak przed grupą ludzi skracających sobie oczekiwanie na pana zamku, który ma dać znak do rozpoczęcia wieczerzy. Mimo to miejsce to bardzo mi się spodobało i pomyślałem, że chętnie objąłbym je w posiadanie, gdybym był wodzem klanu, dziedzicem starożytnego, dumnego imienia. Ale Garn zrobił ze mnie bezimiennego banite i moje - życie miało być pozbawione dobrej przyszłości. No, coż, w najlepszym razie pozostawała mi nadzieja, że będę przewodził klanowi cieni...

Potem zbliżyłem się do wysokiego stołu, wszedłem śmiało na



podwyższenie i minalem rzad krzesel szukajac honorowej czworki; trony staly w srodku. Na ich oparciach nie wyrzezbiono scen przedstawiajacych koty i ich zdobycz, ale obciazone owocami galezie i klosy zboza, a kazde obramowane bylo kwietna girlanda. Przypomniało mi to odziana w liscie lesna dame i zaczalem sie zastanawiac, do jakiego ludu nalezala. A moze byl to duch drzewa, ktory stanal przede mna twarza w twarz, ocenil mnie i osadzil?

Osmielony tymi myslami podszedlem do czwartego z honorowych krzesel i usiadlem na nim. Przeznaczono je dla kogos fizycznie podobnego do mnie. Mimo ze kamien byl twardy, siedzialo mi sie na nim wygodnie. Kiedy wsparlem sie lokciami o stol i oparlem brode na dloniach, zauwazyłem inkrustowane w blacie stolu nieznanne symbole, polyskujace dosc jasno, bym rozroznil ich ksztalty. Czubkiem palca prawej reki, na ktorej nadal widnialo pietno pozostawione przez krew latajacej poczwary, jalem wodzic wzdluz symbolu, ktory widnial przede mna. Palec przesuwal sie gladko i szybko po zagieciach i ostrych katach do nastepnego zgiecia. Leniwie, nie wiedzac, dlaczego to robie, nakreslilem go tak w powietrzu trzykrotnie...

Trzykroc...

Zawile linie rozjarzyly sie. Moze oczyscilem je z nagromadzonego przez lata kurzu? Widzialem pozostale znaki, kazdy przed jednym z wysokich krzesel, ale zaden nie byl taki jasny jak ten.

Skads - z samego powietrza - dobiegl mnie dzwiek podobny do glebokiej nuty rogu, a przeciez brzmialy w nim jednoczesnie uderzenia bebna. A moze bylo to wiele glosow zlaczonych w jeden zew? Nigdy nie slyszalem niczego podobnego. Mimo woli

odsunalem sie od stolu, opierajac rece na rzezbionych poręczach krzesla, i zaczalem sie rozgladac po wielkiej, ciemnej sali w poszukiwaniu zrodla dzwieku.

Dzwiek powtorzil sie trzykrotnie. Ostatnim razem wydalo mi sie, ze echo lub odpowiedz dotarla do mnie z jakiegos jeszcze odleglejszego miejsca. Mrok gestnial i wszystko otulal. Nie widzialem juz nawet wyrzezbionych nad kominkiem scen, mimo ze przed chwila blask od nich bijacy skutecznie rozpraszal ciemnosc.

Zakrecilo mi sie w glowie. Poczulem, ze cala budowla, do ktorej osmielilem sie wtargnac, ulega jakiejs przemianie, ze wokol mnie dzieja sie dziwne rzeczy. Zacisnalem rece na poręczach krzesla... az ostre kanty plaskorzezb wpily mi sie w dlonie. Mrok byl gesty i calkowity. Padalem, a moze lecialem... jakas sila przeciagala mnie gdzie indziej... moze do innego czasu. Nie umialem, nie moglem przed nia uciec.

## Rozdzial XI

Jezeli tamte ciemnosc wywolane zostaly przez czary, to ocknałem sie bynajmniej nie w swiecie snu, aczkolwiek bardzo chciałem w to uwierzyc. Wprawdzie nadal siedzialem na honorowym krzesle przy kamiennym stole, lecz sala wypelniona byla po brzegi tłumem, a byla naprawde wielka. Kiedy jednak probowalem skupic uwage na kims z tlumu, zebrani zdawali sie zaslaniac przed moim wzrokiem i moglem dostrzec tylko zamglone kontury postaci i przycmiony kolor szaty. Nie zobaczylem wyraznie zadnej twarzy. Wielu z obecnych przypominalo mi samego, ale nie brakowalo tu innych istot, ktore swobodnie, jak rowni tamtym poruszaly sie w tlumie -

niektóre były piękne, inne zaś groteskowe. Wiedziałem, że trwa uczta, że zgromadzono się z jakiegoś ważnego powodu. Wyczuwałem to tylko, gdyż dźwięki były tak przytłumione, tak oddalone ode mnie, że raczej brzmiały jak szum fal bijących o brzeg morza.

Pochyliłem się do przodu, starając się skupić na jakiejś jednej twarzy, wpatrywać się w nią, dopóki nie zobaczę wyraźnie jej rysów, lecz wciąż coś mi w tym przeszkadzało. Odwróciłem głowę w prawo, by zobaczyć, kto siedzi obok mnie. Była tam jakaś kobieta, której suknia miała miodowa barwa dojrzewających kłosów. Ale jej twarz i reszta postaci postrzegalem tylko jako zamazaną plamę. Spojrzałem w lewo i stwierdziłem tyle tylko, że moim drugim sąsiadem jest jakiś mężczyzna. Nic więcej ponad to nie mogłbym wam powiedzieć.

Nadal, kurczowo sciskając poręcz krzesła, czekałem, aż zgromadzeni zauważą moje przybycie albo czary przestaną działać lub wszystko się zmieni i zobaczę ich wyraźnie. Nic wszakże się nie wydarzyło. Mgliste sylwetki poruszały się, siedziały, jadły, podnosiły do ust puchary, piły z nich, polgłosem rozmawiały. Robiły to wszystko pozostając we własnym świetle, do którego nie miałem dostępu.

Tylko jedna rzecz w tym mroku zachowała blask: runy w blacie stołu. Te należały całkowicie do mojego świata i powracałem do nich spojrzeniem, w miarę jak dziwna wizja wprowadzała mnie we wciąż większe zakłopotanie. Dużym wysiłkiem woli oderwałem ręce od poręczy krzesła i dotknąłem rozjarzonych symboli. Jeżeli te runy rzuciły na mnie czary, to może mnie uwolnią.

Aż zadygotałem z wysiłku, gdy wyciągałem przed sobą

wskazujący palec i zatrzymałem go ponad runami. Poprzednio kreslilem je właśnie w ten sposób, w powietrzu odtwarzając zagiecie po zagieciu. Trzykrotnie. Co się stanie, jeśli ich dotkne i ponownie narysuje? W dotyku inskrypcja była tak zimna, jakbym wsadził palec do gorskiego potoku. Tak, i tak, i tak...

Raz, dwa, trzy razy powtórzyłem ruchy, zaciskając zęby i skupiwszy całą uwagę na tej czynności. I stało się tak, jakbym odzyskał słuch. Usłyszałem głosy, już nie jako daleki pomruk, ale głośno i wyraźnie. Nie wiedziałem jednak, w jakim języku rozmawiano, ale na pewno nie w moim.

Odwążyłem się podnieść wzrok. Wielka sala i wszyscy, którzy w niej przebywali, ożyła, wynurzyła się z cienia, nabrała cielesności. Byli tam mężczyźni i kobiety odświeżnie ubrani w tak bogate szaty, jakich nie widziałem w zamku żadnego naszego wielmoży. Nie mieli na sobie ozdobionych herbami tabardów, które moi współplemięcy przywdziewali na wielkie uroczystości, lecz suknie z miękkich, przylegających do ciała tkanin, barwnych jak kwiaty na łące. Nosili też ozdobione drogimi kamieniami paski, szerokie kołnierze, pierścienie i naramienniki.

Wszyscy mieli ciemne włosy, a sploty dam były zaczesane do góry i przytrzymywały je szpilki o główkach z klejnocików albo diademy tak bogato wysadzone klejnotami, jakby ich właścicielki zdjęły z nieba gwiazdy, żeby się nimi przystroić. Mężczyźni również nosili diademy ze złota, srebra lub czerwonego metalu, którego dotąd nie widziałem, ale tylko z jednym dużym klejnotem nad czołem.

Wśród nich, tak jak myślałem, rzeczywiście przebywały inne istoty. W pobliżu wysokiego stołu zobaczyłem kobietę z takiej

samej rasy jak lesna dama. Dostrzegłem też mężczyznę - jeśli to był mężczyzna - który nie miał na sobie żadnego odzienia. Na jego piersi krzyżowały się dwa zdobione szlachetnymi kamieniami pasy. Jego ciało porosnięte było sierścią, twarz pokrywał delikatny puszek, a z czoła wyginały się ku gorze i do tyłu rogi o czerwonym odcieniu jak jego oczy. Nad głową innego z kolei stworza wznosiły się złożone skrzydła. Siedział parę miejsc dalej ode mnie, ale gdy pełen podejrzeń właśnie starałem się lepiej mu przyjrzeć - mogłoby być jednym ze znanych mi latających monstrow - zaskoczyło mnie lekkie dotknięcie. Ktoś położył dłoń na mojej ręce.

-Czy oszłomilo cie wiosenne wino, panie? Rozglądasz się wokół jak ktoś, kto nigdy tu nie ucztował.

Jej głos był cichy, a przecież usłyszałem go wyraźnie wśród gwaru rozmów. Odwróciłem powoli głowę, żeby zobaczyć, kto siedzi na prawo ode mnie i kto odzywa się do mnie w moim własnym języku.

Ta kobieta miała ciemną cerę i włosy. Nawet w porównaniu z moją ogorzalą twarzą jej lico było znacznie ciemniejsze i ta barwa nie miała nic wspólnego z dotknięciem słońca czy wiatru. Na pewno była wysoka, ponieważ musiałem podnieść nieco wzrok, żeby spojrzeć jej w oczy. One także były brązowe, czerwono-brązowe jak bursztyn tak bardzo ceniony przez mój lud. Proste czarne brwi rysowały się na gładkim czole. Miała władcze spojrzenie osoby przyzwyczajonej do rozkazywania. Miodowo-bursztynowa plama, która zwróciła przedtem moją uwagę, okazała się płaszczem, który piękna kobieta odrzuciła teraz do tyłu, kładąc rękę na mojej. Pod nim nosiła zółta jak dojrzałe zboże szatę, która obciskała jej bujne piersi i wąską talie. Między

piersiami spoczywał bursztynowy wisior zawieszony na sznurku czarnych i brazowych paciorków z bursztynu. Przedstawiał dwanaście snopów zboża przewiazanych obwieszonymi gronami pedem winnej latorosli.

Nieznajoma była uczesana w koronę z warkoczy i zamiast błyszczącego od drogich kamieni diademu czy ozdobnych szpilek nad jej czołem tkwił duży bursztyn, większy od wisiora, ale o takim samym wzorze, przymocowany do opaski z czerwonego złota.

Byłem tak oszolomiony i zaskoczony własnymi odczuciami, które zupełnie nie pasowały do tego czasu i miejsca, że nie odpowiedziałem. Ona była... Nie potrafiłem znaleźć właściwych słów, kiedy przyszedł mi do głowy dziwaczny obraz gotowego pod siew pola, pojawiły się także inne, mniej niewinne myśli, gdy moje ciało zareagowało na rosnące we mnie podniecenie.

Uśmiechnęła się i jej uśmiech był zaproszeniem; tylko wielkim wysiłkiem woli nie ruszyłem się z miejsca. Nie cofnęła też ręki, która położyła na mojej dłoni. Zaciskając zęby powstrzymałem się i nie chwyciłem jej palców, by przyciągnąć ją do siebie.

Wtedy wyraz jej oczu zmienił się i pojawiło się w nich zaskoczenie. Potem pojawiło się coś jeszcze, gdyż właśnie w tej chwili zorientowała się, kim naprawdę jestem. Nie biesiadnikiem, tylko zaplątanym w sieć czarów obcym, który bezprawnie trafił tutaj.

Teraz nie mogłbym się poruszyć, choćbym nawet posłuchał impulsu, który pchał mnie do działania. Zatrzymały mnie bursztynowe oczy. Moja sąsiadka chwyciła drugą ręką ozdobny

wisior. Czekałem, aż ogarnie ja gniew i nazwie mnie oszustem, lajdakiem i złodziejem dziedzictwa, które nigdy nie miało do mnie nalezec.

Ona jednak przyjrzała mi się w zamysleniu. Później jej palce poruszyły się i mocno zacisnęły wokół mojego przegubu. Nie sadze, bym zdołał się uwolnić nie wyteżywszy wszystkich sił. Nigdy nie przypuszczałem, że jakaś kobieta będzie mnie trzymać w taki sposób.

Piękna dama znow się odezwała. Był to rozkaz i musiałem go posłuchać.

-Pij!

Na stole obok mojej lewej reki stała czara. Wykonano ją z ciemnego drzewa i jej obecność w tym miejscu wydała mi się dziwna i jakby niestosowna. Wyrzezbiono na niej głowę mężczyzny z rasy tak podobnej do naszej, że mogłbym nazwać go człowiekiem, gdyby nie skośne oczy, zaostrzony podbródek i krecone włosy. Na jego twarzy malowało się ironiczne rozbawienie, zrecznie podkreślone wyrazem oczu i skrzywieniem warg. Mężczyzna ten nosił diadem w kształcie jelenich rogów. Czara była wypełniona po brzegi płynem. Gdy ją podniosłem do ust, napój zaczął wrzec i bulgotać.

Nie był gorący, jak mogłoby się wydawać; raczej chłodny, ale spływając w głąb mojego ciała rozsiewał ciepło i coś jeszcze, coś, co rozgrzało mi krew i nasiliło pragnienie.

Pijąc wpatrywałem się znad krawędzi czary w moją sąsiadkę i zobaczyłem, jak na jej usta wypływa powoli teskny uśmiech.

Później rozesmiała się cicho, nie przestając gładzić wisiora spoczywającego między jej piersiami, które były tak bujne i twarde...

-Dobre to spotkanie i dobry będzie jego wynik - przemówiła do mnie. - Masz już w sobie pewną moc, człowieku z przyszłości, gdyż inaczej nie znalazłbys się między nami. - Nachyliła się ku mnie. Z jej ciała albo z szat - gotów byłbym jednak przysiąc, że ten zapach wionął z jej ciała - napłynęła won, od której zakreciło mi się w głowie. Przez chwilę siedziałem jak sparalizowany, nie mogąc odstawić na stol czary, ani uwolnić z jej uścisku ręki. Byłem więźniem, z którym igrała nieznajoma piękność.

-Szkoda, że nasze epoki nie leżą jedna na drugiej, byś mógł zaspokoić pragnienie, które teraz cie pali - ciągnęła. - Ale zabierz to ze sobą, zblakany wędrowcze, i podaruj odpowiedniej niewieście we właściwym czasie i miejscu.

Pocałowała mnie w usta. Od dotknięcia jej warg przebiegł mnie płomienny dreszcz. Wino, którym mnie poczęstowała, w inny sposób rozgrzało moje ciało. W owej chwili zrozumiałem, że żadna kobieta nie będzie dla mnie tym, czym ta mogłaby być...

-Nie, to nie tak - szepnęła odsunawszy się nieco. - W odpowiednim czasie pojawi się taka. Ja, Gunnora, obiecuję ci to. Zjawi się, a rozpoznasz ją dopiero, kiedy przyjdzie pora. Napiles się z czary Lowcy. Dlatego będziesz szukał, aż znajdziesz.

Swoją ręką pokierowała moimi palcami, kreśląc tamte symbole - czy były to runy, czy też nie - ale do tyłu. I znowu stała się zamazana barwna plama, a jednak wciąż czułem uścisk jej dłoni. Trzy razy i jeszcze trzy. Znalazłem się w ciemnościach. Moja



podroz sie skonczyła. Czy podrozowalem tylko w czasie, czy i w przestrzeni?

Siedzialem przy kamiennym stole. Wielka sala byla pusta, zimna i zalegal w niej gesty mrok. Sciskalem cos w lewym reku. W blasku rozjarzonych run spostrzeglem, ze trzymam polyskujaca srebrem czare. Z tamtej epoki przynioslem czare Lowcy. Tam tez moje ciało poznalo pragnienia, ktorzych tu i teraz nie moglem zaspokoic.

-Gunnoro?

Wymowilem glosno jej imie. Moj glos zabrzmial glucho w pustce. Nawet echom i nie odpowiedzialo. Pozniej niecierpliwie odsunalem czare na bok, skrzyzowalem ramiona i przycisnalem policzek do cudownych run. Wiedzialem, choc nikt mi tego nie powiedzial, ze juz dla mnie nie ozyja.

Pozostalem w opustoszalym zamku przez trzy dni, spiac przed kominkiem, od czasu do czasu siadajac na honorowym krzesle i starajac sie zapamietac kazda chwile z zakletej przeszlosci, przywolac kazde slowo, kazde spojrzenie. Nigdy dotad nie mialem kobiety, jakkolwiek w sluzbie Garna slyszalem o tym wiele opowiesci. Wsrod ludzi naszej rasy cielesne pragnienia nie budzily sie we wczesnej mlodosci. Moze dlatego nasze rodziny nie byly liczne i wodzowie klanow mogli znacznie latwiej planowac malzenstwa dla swojej i swych dziedzicow korzysci.

Teraz bez reszty zawladnely mna nowe dla mnie marzenia. Zdajac sobie sprawe, ze nie zdolam ich zaspokoic, usilowalem zwrocic mysli ku innym sprawom. Polowalem i chwytalem w pulapki zwierzeta, ktore przychodzily skuszone dojrzalym

zbozem. Sam również zebrałem trochę ziarna, niezdarnie zmellem je między kamieniami i przesiana z grubsza make wsypałem do pudełka, w którym przechowywałem suchary od Zabiny. Wiedziałem też pocięte na paski mięso. Słowem, przygotowywałem zapasy na dalszą drogę. Musiałem opuścić to miejsce, choć cząstka mojej istoty pragnęła tu pozostać i pokusić się o obudzenie z martwoty czarodziejskich run...

Niczego w życiu bardziej nie pragnąłem, niż znów przyłączyć się do tamtych biesiadników, tym razem na zawsze. Zrozumiałem jednak, że nawet za pomocą czarów nie zdołam przekroczyć bariery czasu. Niewiele wtedy myślałem o Lynne czy o Gathej. Obie wydawały mi się bardzo dalekie, jakby jakaś kurtyna na zawsze oddzieliła tę część mojego życia razem z Elronem, którym kiedyś byłem.

Któregoś ranka wstałem ze świadomością, że pora ruszać w drogę. Musiałem się podporządkować temu impulsowi, jakby był to rozkaz mojej bursztynowej pani. Nie wolno mi było spędzać beczynn timer czasu na marzeniach o tym, co mogłoby być. Przywiązywałem niewielką wagę do jej słów, że jakaś współczesna mi kobieta zaspokoi moją tęsknotę, obraz Gunnory był bowiem zbyt żywy w moich snach na jawie i nie przestawałem o niej myśleć.

Niechętnie opuściłem zamek wczesnym rankiem. Nie miałem wyboru: trzeba mi iść na zachód! Kiedy jednak oddaliłem się już znacznie od twierdzy, coś się we mnie gwałtownie zmieniło. Wydało mi się, że przez jakiś czas byłem pogrążony w gorączkowym śnie i teraz wyzdrowiałem. Ponownie ożyły we mnie poczucie obowiązku i pragnienie odnalezienia Gathej i córki Garna.

I oto znow przemierzałem dzikie okolice, bez żadnych śladów zabudowy, nie natknąłem się nawet na pozostałości starożytnej drogi. Za przewodnika przyjąłem jeden z gorskich szczytów przypominający wymierzony w niebo miecz. Szedłem ku niemu, zachowując wszelkie środki ostrożności, gdyż z dala od zamku Gunnory za każdym kamieniem i każdą kepa krzaków mógł czyhać na mnie wrog. Widziałem jednak tylko latające wysoko w gorze ptaki, a na ziemi nie dostrzegłem nawet wydeptanej przez zwierzęta ścieżki. Wydawało się, iż w tych stronach jedynymi żywymi istotami byli wyłącznie skrzydlaci wedrowcy.

Pod koniec drugiego dnia dotarłem do podnoża góry, ku której się kierowałem. W sakwie miałem wedzone mięso i grubą make ze dziczalego zboża, tutaj zaś natrafiłem na znane mi już krzewy obciążone czerwonymi jagodami. Nie otworzyłem dotychczas sakwy Gathej, lecz nadal ją niosłem, jakbym w każdej chwili miał spotkać młodą czarownicę. Moja robiła się za to coraz lżejsza.

Słońce zniżało się ku zachodowi i mgła otoczyła szczyt; opadła powoli, zasłaniając góry. Mając to na względzie, postanowiłem rozbić oboz i zrezygnować z przejścia na drugą stronę góry.

Poszukałem więc odpowiedniego miejsca na nocleg i znalazłem niewielką szczelinę wśród skał. Mogłem się do niej wcisnąć i osłonić sobie plecy, i jednocześnie widzieć otoczenie. Noce w tej dziwnej krainie były dla mnie prawdziwymi próbami wytrzymałości i niechętnie stawiałem im czoło. Od opuszczenia zamku nie słyszałem ani nie dostrzegłem jednak niczego, co wskazywałoby na obecność jakichś drapieżników. Mimo to spałem z przerwami, budząc się co jakiś czas. Moje ciało było spragnione całonocnego wypoczynku i najchętniej nie zwązałbym na

konieczność zachowania ostrożności.

Chociaż wśród drzew i krzaków leżało dość chrustu, nie rozpalilem ogniska, które mogłoby stać się światłem przewodnim dla jakiegoś nocnego myśliwego. Wyciągnąłem nogi, wsparłem się plecami o skałę i wpatrywałem się w zapadający mrok. Jak zawsze, kiedy się odprezyłem, przypominał mi się zamek Gunnory taki, jakim widziałem go we śnie o dawno minionej epoce. Dokąd poszli ci, którzy się tam wtedy zgromadzili? Jakiego nieszczęścia na nich spadło, że opuścili swoją piękną siedzibę, która zamieniła się w ruinę? Nie widziałem żadnych śladów wojny. Czy zagroziła im plaga albo niebezpieczeństwo tak wielkie, że wszyscy uciekli?

Drgnąłem z zaskoczenia.

Do mojego umysłu wtargnął krzyk. Padłem na czworaki i pochyliłem się do przodu. Kto wzywał pomocy? Gdzie się znajduje?

Znow wstrzasnęło mnie błagalne wołanie. Dobiegło z tyłu, z zasloniętej mgłą góry! Ale kto to był? Teraz zauważyłem migocące w mroku światełko. To było światełko, choć widziałem je tylko jako zamazaną plamę we mgle. Ogień? Nie, to nie jest barwa prawdziwych płomieni. Może to wabik? Zbyt dobrze pamiętałem Srebrzyste Śpiewaczki podstępnie przynależące do kamiennej pułapki.

Po raz trzeci odebrałem to gorączkowe, bez słów wezwanie. Ostrożność nakazywała pozostać na miejscu. Nie wystarczyło zatkać uszy, niema prośba przeszywała mnie na wskros. Nie umiałem też jej się oprzeć, bo jakkolwiek odbierałem ją w dziwny

sposob, byla ludzkim wolaniem o pomoc, moze Gathej albo lynne. To na pewno ktoras z nich albo obie jednoczesnie. Mogly przeciez posluzyc sie moca, ktora uzyskaly w tej zaczarowanej krainie.

Chwycilem bron, sakwy, opuscilem bezpieczna kryjowke i zaczalem piac sie w gore. Wiatr dal w dol zbocza, utrudniajac mi wspinaczke. Niosl jakis nieokreslony zapach - ani smrod zla, ani slodka won pizma, ktora kojarzyłem z Gunnora, ze Swiatynia Ksiezyca i z jej kwitnacymi drzewami. Nie umialbym go nazwac.

Wprawdzie zdawalem sobie sprawe, ze moja nocna wyprawa to czyste szalenstwo, ale nie moglem postapic inaczej. Szedlem wiec zachowujac wszystkie srodki ostroznosci, wytezajac wzrok i sluch. Nie pedzilem na oslep, ale ostroznie stawialem stopy, w przerwie miedzy jednym krokiem a drugim nasluchiwalem w napieciu, czy nie powtorzy sie to dziwne wezwanie.

Przede mna migotala we mgle ta swietlna plama. Procz niej nic tam nie bylo, chyba ze wzialbym pod uwage uczucie oczekiwania na cos waznego, niezrozumiale zadanie, ktore stawalo sie coraz silniejsze.

Na szczescie rosly tam krzaki, ktorych moglem sie czepiac w bardziej stromych miejscach i przy ich pomocy podciagac sie wciaz dalej i wyzej. Dotarlem w koncu do obszaru zajetego przez mgle, ktora zawisla jak mokry plaszcz wokol mojego ciala, kroplami rosy osiadala na twarzy. Nie zgasila jednakze rozjarzonego swiatla.

Co kilka krokow zatrzymywalem sie, by zbadac otoczenie. Panowala glucha cisza, mgla stlumila wszelkie dzwieki.

Wydawało mi się, że otula mnie lodowaty, zimny całun. Taka mgła trafia się późną jesienią, a nie w środku lata.

Światło w oddali ani nie przygasło, ani się nie rozjarzyło, lecz pozostało drogowskazem. Drogowskazem dla czego lub kogo? Dla mnie? A jeśli to sieci zastawione na kogoś innego? Nie potrafiłem już jednak zawrócić, mimo że zamilkło tamto wołanie. I wtedy...

Zda się spod ziemi u moich stóp wychynął jakiś duży kształt, białawy jak widmowa mgła. Rozpoznałem ciche warczenie. To był kot... Czyżby Gruu?

Przystanąłem i zacisnąłem palce na rekojści miecza. To zwierzę rzeczywiście dorównywało rozmiarami Gruu i jeśli było nocnym myśliwym, jak wielu jego pobratymców, to nawet mieczem nie obronię się przed jego atakiem.

Wielki kot jeszcze raz warknął, po czym odwrócił się i w jednej chwili zniknął we mgle. Gruu! Na pewno to był Gruu. Inny drapieżnik nie zostawiłby mnie w spokoju. A to znaczyło, że gdzieś w górze jest Gathea!

Pokonałem resztę odległości gwałtownie, jak mogłem. Chciałem już zawołać ją po imieniu, ale powstrzymała mnie obawa, że mogę zaalarmować tego, kto ją wieził lub atakował. Srebrzystobiały kot czekał już na mnie, gdy wbiegłem w świetlny krąg.

Światło wprost tryskało, rozlewało się na wszystkie strony od czegoś, co leżało na skale. Nie rozpoznałem tego przedmiotu. Zresztą, mało mnie to w owej chwili obeszło. Tuż obok leżała

bezwładna postać, nad którą przykucnął wielki kot.

Tak, to była Gathea! Coś albo ktoś okrutnie się z nią obszedł. Mocny podróżny strój zamienił się w postrzępione lachy... Na obnazonych ramionach dziewczyny zobaczyłem czerwone pęgi głębokich zadrapań. Jej spodnie podarły się na długie pasy i trzymały razem wyłącznie dlatego, że je niezdarne związano.

Włosy miała zmierzwiłone, zbite w klaki i tkwiły w nich jakieś smieci, kawałki patyków, suche liście. Twarz wyglądała jak obcignięta skóra czaszki, a chude, podrapane i posiniaczone ręce do złudzenia przypominały kończyny skrzydlatego potwora, z którym walczyłem. Wyglądała jak szkielet.

Uklakłem obok niej, pospiesznie szukając pulsu. Leżała tak bezwładnie i nieruchomo, że pomyślałem, czy to nie był jej przedśmiertny krzyk. Że umarła, zanim do niej dotarłem. Gruu cofnął się i dopuścił mnie do niej, ale wodził za mną wzrokiem, jakby sprawdzał, co robię.

Tak, żyła, lecz jej serce było bardzo powoli i była chyba bliska śmierci. Otworzyłem manierkę i najpierw skropiłem wodą twarz dziewczyny, potem uniosłem ją, oparłem o siebie, rozwarłem siłą szczęki i wlałem do ust tyle ożywczego płynu, ile się dało. Przypomniawszy sobie o lekach i radach Zabiny, wsypałem kilka zmiądzonych na proszek liści do kubeczka i rozprowadziłem je wodą. Rozszedł się świeży, ostry zapach. Znowu podniosłem głowę Gathej i zdolałem wlać jej do ust jeden łyk, a później drugi. Wtedy otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

I nie poznała mnie. Zdawała się patrzeć w inne światy, poza mną i poprzez mnie... Napoilem ją resztą ziołowej mieszanki, po czym

wsypawszy do wody garść grubo mielonej maki, przyrządziłem rogowa łyżeczka. Przechodziła wszystko i polknęła. Lecz nadal mnie nie zauważała i chyba nie miała nawet pojęcia, że ktoś ją pielęgnuje.

Dopiero teraz pierwszy raz sięgnąłem do jej sakwy. W jednym z pudełek znalazłem znaną mi leczniczą masę. Położyłem Gathee ostrożnie na ziemi i jak najdelikatniej posmarowałem masą najgorsze z pokrytych zakrzepłą krwią skaleczeń na jej rękach i nogach.

Gruu bez przerwy bacznie mi się przyglądał. Zajmowałem się jeszcze Gathee, kiedy wstał, podniósł głowę i zwrócił się poza świetlny krąg. Złoczył czy usłyszał, że zbliża się jakieś niebezpieczeństwo? Później zaczął niecierpliwie chodzić tam i z powrotem, trzymając się między nami a granicą światła. Wtedy zauważyłem wreszcie, że w tej małej oazie blasku wcale nie ma mgły.

Po chwili ryknął głośno, jakby rzucał jakieś wyzwanie. Zanim zdolałem się poruszyć, jednym skokiem zniknął w mgłę. Usłyszałem odgłosy walki, chrzakanie, przenikliwe krzyki, które na pewno nie wydobyły się z gardła Gruu, a na końcu bulgotanie.

Stałem nad Gathee, trzymając miecz w pogotowiu. Lecz nic nie wynurzyło się z mgły przed powrotem wielkiego kota.

Dostrzegłem ciemne plamy na jego piersi i krew spływająca z długich kłów. Teraz, nie okazując już niepokoju, usiadł obok źródła światła i zaczął lizać futro, od czasu do czasu plując z niesmakiem. Wyjąłem z sakwy bandaż, którym przedtem owijałem głowę, i zmoczyłem go wodą z manierki. Następnie podszedłem do Gruu i zmyłem mu z futra największe plamy krwi,



te zakrzeple tuz przy skorze. Pozwolil mi sie oczyszcic i nie dziwilem sie, ze zlizywal slady starcia z wielkim niesmakiem. To, co usunalem, wcale nie przypominalo prawdziwej krwi, a bylo gestsza od niej, tak cuchnaca posoka, ze ledwo sie powstrzymalem przed zatkaniem nosa.

Gathea nie odzyskala w pelni przytomnosci - w kazdym razie nie zauwazala mojej obecnosci. Udalo mi sie nakarmic ja wieksza iloscia kleiku, lyzeczka po lyzeczce. Upewnilem sie tez, ze liczne zadrapania, jakkolwiek zaczerwienione i glebokie, nie byly prawdziwymi ranami. Nadal nie mialem pojecia, jak dotarla tak daleko bez zapasow zywnosci i czym jest plonace obok nas swiatlo. Zaczalem wierzyc, ze po prostu zemdlala z glodu i wyczerpania. Ale to jej bezglosne wezwanie, ktore mnie tutaj sprowadzilo, bylo tak dla niej obce, ze cos jeszcze ponad slabosc ciala musialo ja sklonic do wolania o pomoc.

Z pelniacym straz Gruu poczulem sie bezpiecznie pierwszy raz od opuszczenia zamku Gunnory. Wielki kot lezal teraz obok ogniska lizac lapy, najwyrazniej zajety wlasnymi sprawami.

Ulozylem dziewczyne jak najwygodniej, jako poduszke podsunalem pod glowe jej wlasna sakwe i przykrylem podrozna oponcza, ktora nioslem zwinieta na ramieniu. Potrzebnawszy przy uchu manierka, doszedlem do wniosku, ze zostalo bardzo malo wody. Rano trzeba bedzie poszukac jakiegos gorskiego zrodla czy strumienia - moze Gruu mi w tym pomoze.

Pozniej wyciagnalem sie na odleglosc ramienia od Gathej i pozwolilem, by zawladnelo mna zmeczenie. Dziwne swiatlo nadal sie jarzylo, lecz nie oslepialo oczu, bylo w nim cos miekkiego i lagodnego. Przymknalem powieki.

Nagle znalazłem się wewnątrz świetlnej kolumny, w samym jej rdzeniu. Padło ostre pytanie bez słów. Skąd przybyłem i co zamierzam zrobić? W odpowiedzi w moim umyśle - ale bez udziału mojej woli - zabłysnął symbol, który nosiła Gunnora, snop zboża opleciony pedem winorośli.

Zaskoczyło to mojego niewidzialnego rozmowcę tak bardzo, jakby ten obraz stał się dobrze wymierzonym ciosem. Jednak żadna cząstka mojej istoty nie chciała walczyć ze świetlistą istotą. Nie czułem wrogości do tego, kto tak apodyktycznie kwestionował moje prawo do przebywania tam, gdzie byłem. Dotychczas nie miałem zdolności budowania tak szczegółowych obrazów w myślach, lecz uznałem ją za dobrą i potrzebną. Nie widziałem już bursztynowego wisioru, gdyż zamienił się w prawdziwy snop zboża, a oplatająca go winna latorośl stała się tak żywa, że można by zerwać każde grono. Byłem przekonany, że w owej chwili stała za mną moja bursztynowa pani. Ale mimo że bardzo pragnąłem się obejrzeć, by sprawdzić, czy naprawdę tak jest, nie zdołałem odwrócić głowy.

Sila, która prezentowała plonące we mgle światło, uległa... Arogancja i niecierpliwość, które ją wypełniały, gdy nie tylko chciała mnie osadzić, lecz i zdecydować o moim losie, ustąpiły miejsca zdziwieniu. Pytanie o powód mojego przybycia skierowano do tej, która popierała moje czyny. Niewidzialne moce przemknęły obok mnie i przeze mnie. Zadano pytania i udzielono odpowiedzi, lecz ja nic nie rozumiałem prócz jednego: że pozwala mi iść jakąś drogą. Ukryta w ogniu istota nie kryła urazy ani niechęci do mnie. W końcu doznałem łaski głębokiego snu, którego tak bardzo pragnęło moje zmęczone ciało.

## Rozdział XII

Ocknawszy się ze snu tak głębokiego, że całe ciało miałem zeszywniałe, jakbym leżał bez ruchu wiele lat, zobaczyłem nad sobą bezchmurne niebo. Usłyszałem wyraźnie czyjś głos, który zamilkł po chwili, jakby czekał na odpowiedź. Potem znowu dobiegły mnie dziwne słowa, w których rozbrzmiewał taki sam rytm, jakim posługiwali się nasi Bardowie, recytując podczas uroczystości historii jakiegoś Domu albo fragment Prawa. Nie mogłem jednak zrozumieć żadnego z tych śpiewnych dźwięków.

Odwrocilem głowę. Gathea już nie leżała, ale w blasku słońca siedziała ze skrzyżowanymi nogami. To ona mówiła, zwracając się jakby do powietrza, gdyż nawet Gruu gdzieś zniknął.

Czasem tak się zachowuje człowiek trawiony silną gorączką. Najpierw pomyślałem, że młoda czarownica ma przywidzenia. Nie odwróciła nawet głowy, gdy nagle usiadłem. Istotnie majaczyła w gorączce czy od nowa wpadła w sieć czarów?

Tuż przed nią znajdowało się to coś, co świeciło w nocy. Rzuciwszy tylko okiem, zapragnąłem uciec, zabierając ze sobą dziewczynę - jeśli zdołam. Wetknięta pionowo między skały tkwiła resztką rozdzki, którą Gathea na moich oczach wykonała z galezi jakiegoś drzewa.

Jedna trzecia rozdzki zniknęła. Podczas gdy na nią patrzyłem, następny kawaleczek odłamał się i zmienił w kupkę popiołu. Zmiotł ją wiatr. Poza nadpaloną rozdzką nie było innego paliwa.

A Gathea znowu przemówiła, zaczęła na odpowiedź, której nie usłyszałem, i znowu się odezwała. W przerwach milczenia

czasem kiwała głową, jakby potakiwała tym słyszalnym tylko przez siebie słowom. Raz czy dwa zmarszczyła brwi ze skupioną miną - kiedy starała się zrozumieć jakas przestrożę czy radę. Jej zachowanie wydawało się tak prawdziwe i naturalne, że zacząłem sam siebie podejrzewać o głuchotę.

Chciałem już wyciągnąć do niej rękę, gdy naraź nabrałem przekonania, że wcale nie mam do czynienia z iluzją. A jeśli już, to z moją iluzją, a nie jej. W końcu dziewczyna westchnęła i odchyliła do tyłu głowę, jakby patrzyła w górę na kogoś, kto przedtem siedział naprzeciw niej, a teraz wstał. Podniosła rękę w pożegnalnym geście i powiodła oczami za tym kims niewidzialnym.

Dopiero wtedy się poruszyłem. Kiedy lekko chwyciłem ją za ramię, drgnęła naprawdę zaskoczona. Ale spojrzenie miała całkowicie przytomne: zobaczyła mnie i rozpoznała.

-Gatheo - nazwałem ją po imieniu.

Jej twarz pociemniała z gniewu, gdy wyrwała raptownie rękę.

-Szpiegujesz! Nie masz prawa... - zaczęła gwałtownie i urwała.

Uwolniła się niecierpliwym ruchem, potracając zarazem moją sakwę. Klamra, która była jak przyszyłem po walce ze skrzydlatą poczwara, pękła i po ziemi potoczyła się czara z wizerunkiem mężczyzny w koronie z jelenich rogów, którą zabrałem z opustoszałego zamku, a z jej wnętrza wypadł liść ofiarowany mi przez lesną damę. Razem trzymałem te dwa niezwykle podarunki.

Gathea przeniosła spojrzenie z czary, która zatrzymała się przy jej bucie, rzezbionym bokiem do góry, na polyskujący w słońcu liść. Ze zdumienia otworzyła szeroko oczy i utkwiała je w rogatej głowie z taką miną, jakby przed nią stała żywa istota.

Jeszcze bardziej cofnęła się, nie odrywając wzroku od czary. Podniosłem liść. Zwilżyła językiem wargi. Gniew znikł z jej twarzy; zastąpił go strach.

-Gdzie to znalazłaś? - zapytała szeptem.

-To są dary - odparłem. - Czary otrzymałem w podarunku od pewnej wielkiej damy, która przepowiedziała mi przyszłość.

Młoda czarownica wciąż się wpatrywała w naczynie. Jej twarz zbladła pod opalenizną.

-Czy wiesz, jak się nazywa ta, która ofiarowała ci te czary? - szepnęła jeszcze ciszej. Była wyraźnie zaniepokojona. Chwyciła pośpiesznie kikut rozdzki i skierowała, jakby był mieczem.

-Nazywa się Gunnora - odparłem. Jakas cząstka swojej istoty radości widząc Gathea tak wstrząsnęta. Dopiero teraz mogłem jej dosięgnąć, bo dotychczas odsuwała się ode mnie.

Gathea znowu oblizła wargi. Teraz przeniosła wzrok z czary na mnie. W jej oczach rozpoznałem jakby błysk wyrachowania. Obecnie stałem się dla niej kims ważnym.

-Jaki jest jej znak? - zapytała ostro, tonem uprawnionym do zadania ode mnie natychmiastowej odpowiedzi.

-Snop zboża opleciony owocującym pędem winorośli. - Nigdy nie

zapomne niczego, co miało jakikolwiek związek z istotą, która siedziała obok mnie w innej epoce i w dziwniejszym od tego świecie.

-Tak jest, ale... - Potrząsnęła bezradnie głową, widocznie nie wiedząc, co powiedzieć. Potem z niedowierzaniem spojrzała mi prosto w oczy. - Ale dlaczego dała to właśnie tobie? I gdzie ja znalazłeś? Tam nie było żadnej świątyni... - Podniosła rękę z rozdzką na wysokość piersi i przytuliła do siebie ten symbol swych wiezi z nieznanym.

-Nie znalazłem jej w żadnej świątyni - powiedziałem podnosząc czarę i liść i wkładając jedno do drugiego. - Był tam zamek, stary i opuszczony. Dzięki działaniu jakiejś mocy ucztowałem z tymi, którzy kiedyś władali tą krainą. Moja bursztynowa pani była jedna z nich, lecz tylko ona zorientowała się, kim jestem i dała mi to.

-Ale nie powiedziała ci... - Gathea zmrużyła oczy. Jej lek i ostrożność szybko zniknęły. Jeżeli jeszcze kilka chwil wcześniej coś dla niej znaczyłem, to teraz szybko traciłem pozycję. - Nie, chyba nie... - ciągnęła. - Jednak masz te czary, chociaż nie wiesz, jak się nimi posługiwać. A to samo w sobie też coś znaczy.

Zirytowałem się, że tak szybko odzyskała pewność siebie i poczucie władzy nademną.

-Dała mi jeszcze coś - oświadczyłem zagadkowo - czego mam użyć we właściwym czasie.

Gathea spojrzała na sakwę, do której wkładałem czary. Teraz ja potrząsnąłem głową.

-Nie, to nie ten list, chociaż i jego otrzymałem od pewnej damy, która miała własną moc. Ty masz swoje sekrety, a ja swoje. - W żadnym razie nie zamierzałem jej opowiadać o tamtym pocałunku i o tym, co Gunnora wtedy rzekła. Nie zalecałem się do tej panny czarownicy. Nie podzieliłem się z nią tym, o czym nigdyś marzyłem lub będę marzył w przyszłości! Zamiast tego, sam zacząłem zadawać jej pytania:

-Czy dowiedziałas się czegoś o Lynne albo o tej swojej księżycowej magii? Z kim niedawno rozmawiałaś?

Gathea poruszyła lekko ramionami.

-To, czego szukam... - zaczęła, lecz przerwałem jej czując narastającą pewność siebie:

-Czego my szukamy. Ja odnajdę córkę mojego pana, jeśli to w ogóle możliwe w tym pełnym niespodzianek i magii kraju. Czy dowiedziałas się od swego niewidzialnego przyjaciela, dokąd mamy pójść?

Najwyraźniej chciała zaprzeczyć, odwrócić się i odejść, ale już nie dało się tak mnie traktować. Mogłem nie wiedzieć, jaka moc kryje się w darze Gunnory, jednakże czara należała do mnie i Gathea musiała, choć niechętnie, uznać mnie za towarzysza podróży.

-Za te góry...

Przebiegłem je spojrzeniem od szczytów położonych na południu do wznoszących się na północy.

-To troche za duzy obszar - skomentowalem. - Na pewno umiesz go troche zawezic!

Przez dluga chwile sadzilem, ze odmowi. Zacisnela ponuro usta i poruszyla rozdzka, jakby chcac uderzyc mnie w twarz.

Odebralem fale jej wscieklego gniewu. Zdumialo mnie, ze zdolalem tak wyraznie odczytac jej uczucia. Wprawdzie czyny popelnione w gniewie takie jak cios Garna, robiacy ze mnie banite, byly dla mnie oczywiste, ale jeszcze nigdy tak dobrze nie zrozumialem drugiego czlowieka.

Zdjalem z ramienia jej wlasna sakwe i oddalem dziewczynie.

-To twoja. Niczego w srodku nie ruszalem. Naprawilem pasek.

Chyba na chwile rozproszylem jej uwage. Gathea wziala ode mnie sakwe i spojrzala na nia jak na nieznana jakas rzecz. Gleboka bruzda przecinala skorzana powierzchnie tam, gdzie rozdarly ja szpony skrzydlatego monstrum.

-To zrobil pewien latajacy stwor - powiedzialem niedbale.

-Latajacy stwor! Wark! Walczyles z warkiem!

-Tyle o ile. Zastanawiam sie tylko, czy naprawde mozna je zabic, bo wymaga to sporo wysilku. - Przypomnialem sobie odciete szpony, pelznace ku mnie jak zywe stworzenie. - Wydaje sie, ze odkad sie rozstalismy, dowiedzialas sie czegos o tej krainie. W kazdym razie znasz nazwe tamtej poczwary... I co wiesz jeszcze?

-Wystarczajaco duzo. - Jej twarz stezala jak maska i nie moglem



nic z niej wyczytać.

Wystarczająco dużo? No coż, teraz nie będę dłużej nalegał.

-Ktoredy przejdziemy przez góry? Czy mamy dalej iść na zachód? - zapytałem.

Gathea cicho zagwizdała i między nas wśliznął się Gruu.

Miała tak ponurą i nieprzyjemną twarz, że gdybym mógł, odwróciłbym się na pięcie i zostawił ją tam sama. Tylko jednak ona mogła zaprowadzić mnie do Lynne. A honor nakazywał mi zrobić wszystko dla tej, w której żyłach płynęła krew mojego Domu - ponieważ po części to moja beztroska naraziła ją na niebezpieczeństwo.

Wspinalismy się w milczeniu, a prowadził nas Gruu. Jego zachowanie świadczyło, że zna drogę. Nie dostrzegłem żadnych śladów świadczących, by kiedyś wędrował tędy ktoś inny prócz jego pobratymców. Mgła się rozproszyła. Obejrzałem się i zobaczyłem w dole nizinę, a na jej skraju odległy, opuszczony zamek. Naszła mnie ciekawość, czy Gathea przechodziła tamtędy, co przeżyła, ale nie zamierzałem jej o to pytać. Wzniosła między nami wysoki mur i jak na razie byłem zadowolony z tego stanu rzeczy.

Jakkolwiek zbocze było strome, wejście nie wymagało takiego wysiłku jak ściana skalna, na której znalazłem nore warka. Od czasu do czasu sprawdzałem, czy z nieba nie obserwuje nas podobny wrog. Ale dzień był pogodny i nie zobaczyłem w gorze nic podejrzanego.

Nie probowalismy wspinac sie na urwisty szczyt, bo Gruu znalazl okrazajaca go szczeline, tak waska, ze niekiedy musielismy isc bokiem. Okolo poludnia - sadzac z pozycji slonca - wyszlismy na skalna platforme, z ktorej mogliśmy spojrzec w dol na nieznane ziemie.

Przed nami rozciagalo sie dzikie pustkowio, surowa, niegoscinna okolica, a jeszcze dalej pas bujnej zieleni. Popatrzyłem uwazniej: tak! Dostrzegliśmy wysokie wieze i cienkie, biale wstazki drog. Gathea dlugo przygladala sie nizinie, a pozniej spojrzala przez ramie mowiac:

-Tego kraju strzega moce.

Zrozumialem, co miala na mysli. Jej slowa znaczyly, ze tylko ona moze dalej wedrowac. No coz, sprawdzę to w odpowiednim czasie. Sam juz wyglad zielonej krainy swiadczył, ze jesli lynne znalazla tam schronienie, powodzilo sie jej znacznie lepiej, niz sie obawialem.

Moja towarzyszka odwrocila sie szybko.

-Czy nie rozumiesz? - syknela jak Gruu, kiedy chcial ostrzec mnie przed zbytnia poufaloscia. - Nie jestes przygotowany, a sa tutaj bariery, ktorych nie zdolasz przebyc!

-Ale takie, ktore przed toba padna? Moze zrobi to twoj niewidzialny przyjaciel?

Uderzyla rozdzka w rozwarta lewa dlon. Byla zniecierpliwiona i poirytowana. Po chwili namyslu dodala:

-Nie mogłbys tego zrozumiec. Otworzenie przed toba drzwi do odpowiedniej wiedzy wymagaloby wielu lat. Ja uczylam sie od dzieciinstwa. Poza tym pochodze z rodziny, w ktorej pewne zdolnosc i przechodza z pokolenia na pokolenie. Jestem kobieta, a te moce powierzone zostaly tylko tym, ktore moga stanac pod ksiezycem i spiewem przywolac Wielka Pania! A ty, ty jestes nikim!

Pomyslalem o Gunnorze, o mojej jantarowej pani, o schowanej w sakwie czarze i niezwyklym lisciu. Nie przekonala mnie Gathea, ze tylko kobiety sa spokrewnione z silami, ktore tutaj rzadzily.

-Myslisz o stali, o mieczu... - dziewczyna mowila szybko i z trudem ja rozumialem. - Sa tutaj bronie, o ktorych nigdy ci sie nie snilo. Mowie ci, to nie miejsce dla ciebie! I nie mozesz liczyc na moja pomoc, gdyz bede potrzebowala wszystkich swoich sil. Mam swoje zadanie do wykonania. Twoja kuzynka zabrala to, co mnie sie nalezalo, do czego mialam z urodzenia prawo. Odzyskam to!

Jej oczy plonely jak oczy dzikiego sokola. Sciskala rozdzke w reku tak mocno, ze az zbielaly jej palce.

-Jest czas miecza, ale jest i czas innego oreza. Nie powiedzialem, ze nie wierze w twoje moce, ani ze nie wladaja tym krajem. Sam sie z nimi zetknalem. - Oparlem reke na wybrzuszeniu sakwy.

Gathea rozesmiala sie szyderczo.

-Tak, masz czare Pana w Rogowej Koronie, ale nawet nie wiesz, co to naprawde znaczy. Wedle starozytnej tradycji Ten, Ktory

Nosi Korone Z Jelenich Rogow dzierzy wladze tylko przez jedna pore roku, albo cos kolo tego, a potem jego cialo i krew uzyzniaja ziemie, gdy zlozony zostaje w ofierze Wielkiej Pani...

-Gunnorze? - Nie wierzyłem jej. Utkwila we mnie wzrok.

-Ty, ty... - Tak wiele slow jednoczesnie cisnelo sie jej na usta, ze ja dlawily. Odwrocila sie i zaczela schodzic szybko i nieuważnie w dol. Pospieszylem za nia, by nie poslizgnela sie i nie spadla na skaly w dole. Nagle przemknal obok mnie Gruu i zagrozdil jej droge; czekal nieruchomo jak glaz, dopoki do nich nie dolaczylem.

-Pojdziemy wiec razem? - spytałem spokojnie. Chciala zaprzeczyc, wprost rwala sie do biegu przed siebie tak jak wtedy, gdy zostawila mnie pod lasem zielonej damy, lecz wielki kot ani drgnal, a nie bylo dosc miejsca, by mogla go wyminac.

-Ale to ty poniesiesz konsekwencje! - warknela. I znow zapadlo miedzy nami milczenie. Uznalem, ze gniewne slowa zadnemu z nas nie wyjda na dobre i powiedzialem:

-Mozliwe, ze spotkasz sie tam z zyczliwym przyjeciem. Czy przemawiajac do powietrza, rozmawialas z jedna z tych mocy? Zobowiazalem sie pod slowem honoru odnalezc lynne, poniewaz to moja krewna. I wloze w to wszystkie sily. Nie wiem, moze miecz to nieodpowiednia bron. Lecz jestem tylko wojownikiem...

Czemu tak sie wyrazilem? Przeciez nigdy nie mialem ochoty byc nikim innym. Teraz jednak czulem, ze dokonuje sie we mnie jakas przemiana. Co powiedziala moja jantarowa pani o zasianym ziarnie, ziarnie, ktore wyda plon? Wiedzialem, ze nie

jestem Bardem. Wiec czemu tak bardzo chcialem poznac sekrety widocznej w dali zielonej krainy? Bynajmniej nie kierowala mna tylko chec odnalezienia lynne. Z calej duszy pragnalem dowiedziec sie jak najwiecej o ludziach, ktorych ujrzałem w opustoszalym zamku.

-Jestes mezczyzna! - rzucila oskarzycielskim tonem.

Prawda jest, ze Madre Kobiety nie wychodza za maz. Pozostaja dziewicami, by nie utracic czesci mocy w cielesnym zblizeniu. Moze w glebi duszy zywia dla wszystkich mezczyzn pogarde tak wielka jak ta, ktora zabrzmiala w glosie Gathej.

-Bez watpienia - odparlem ze smiechem.

I znow przypomnialem sobie ow cudowny pocalunek. Ale jesli ta chuda, ogorzala dziewczyna mysli, ze jej pozadam po tym, jak zobaczylem Gunnore, bardzo sie myli. - Czy to z tego powodu wiedza, ktora zdobywas, odmawia mi wszystkiego? Wspomnialas o Panu w Rogowej Koronie i o zlozeniu go w ofierze. Czemu zatem nigdy o tym nie slyszalem? Jezeli nawet kiedys istnial taki zwyczaj, juz dawno o nim zapomniano. Ludzie z klanow...

-Ludzie z klanow! - przerwala mi gniewnie. - Nie jestesmy wsrod nich. Tak, o wielu rzeczach zapomniano. Nawet mi sie nie snilo o jak wielu, dopoki nie przeslam przez Brame. Poczulam sie wtedy, jakby mnie wypuszczono na wolnosc z ciezkiego wiezienia. Zaczelam sie uczyc, ale jestem dopiero na poczatku drogi, drogi, ktora ty nigdy nie bedziesz mogli pojsc. Zawroc, banito, nie mozesz sie ludzic, iz zdolasz stawic czolo...

-Zobaczymy, czemu zdolam stawic czolo, a czemu nie -

odparłem równie ostro. Celowo rzuciła mi w twarz te obelge, chcąc mnie zranic. Przypomniła mi zarazem niechcący, że muszę odzyskać dumę i wiarę w siebie. Sam czułem, że jeśli nie pójdę dalej, nie będę miał po co żyć.

Ciekawilo mnie zresztą, z jaką to niewidzialna siła spotkała się w gorach. Jeżeli sama mi nie powie, nie będę jej zmuszał. Gniew przygasł w jej oczach. Opuszczała wzrok na rozdżkę, obracając w dłoniach jej mizerne resztki.

-Dlaczego nie pozostawisz rzeczy takimi, jakimi są?... - zapytała cicho. - Nalegasz, podpatrujesz, a przecież sama twoja obecność tutaj możeściągnąć na mnie klęskę. Daloby się to zwrócić przeciw tobie... - Skierowała ku mnie czubek rozdżki. - Lecz nie mogę. Gdybym posłużyła się w ten sposób moim darem, ta siła uderzyłaby we mnie. Nie mogę cię odesłać, mogę tylko prosić, byś odszedł. Tak, mówiłam źle o Lynne, ale obiecuje ci, że kiedy ją znajdzie, użyje całej mojej mocy, by uwolnić ją z sieci, w którą wpadła przez własną głupotę, i odesłać do rodziny i dawnego życia. Będąc tym, kim jestem, mogę to zrobić. Ty zaś nie możesz...

-Dlatego, że jestem tym, kim jestem? - zapytałem. - Jeszcze mogę cię zaskoczyć. Idziemy?

Gathea wzruszyła ramionami i zaczęła schodzić w dół, lecz teraz krokiem wolniejszym, bardziej odpowiednim na tej urwistej ścieżce. Co i raz w milczeniu pomagaliśmy sobie, podtrzymywaliśmy się wzajemnie nad rozpadlinami. Nasze ręce spotykały się dość chętnie, gdy było to konieczne.

Wreszcie dotarliśmy do lepszej, nie tak stromej drogi, która

zaprowadzila nas do zielonej okolicy. Rosly tam takie same drzewa, jakie widzialem w lesie, w ktorzym mieszkała spotkana przeze mnie zielona zjawa. Na naslonecznionych polanach kwitly kwiaty - przewaznie biale z rozowymi lub zielonozoltymi czubkami platkow, tak doskonale piekne, jakby wyrzezbiono je ze szlachetnych kamieni.

Nad tymi pelnymi slonca miejscami, ktore Gathea okrazala trzymajac sie skraju i uwazajac, zeby nie dotknac zadnego z niezwyklych kwiatow, unosily sie aromatyczne zapachy. Zauwazylem jednak, iz omijala je pospiesznie i nigdy nie patrzyla prosto na kwiaty. Raz, kiedy zostalem nieco z tylu, odwrocila sie, przywolujac mnie ruchem reki. Wskazujac na kwiaty powiedziala:

-One sa niebezpieczne dla nas. Ich won moze uspic wedrowca i zeslac mu dziwne sny.

Nie mialem pojecia, skad o tym wiedziala, gdyz nigdy nie widzielismy niczego podobnego. Kazda jednak Madra Kobieta dobrze zna sie na roslinach. Moze Gathea w oparciu o te wiedze wyczula, co bylo niebezpieczne, nawet jesli dotad sie z tym nie spotkala.

Gruu juz nas wyprzedzil i nigdzie go nie widzialem. Nie zatrzymalismy sie na poludniowy posilek, zreszta moje zapasy nie starcza nam obojgu na dlugo. Zaczalem sie rozgladac za zwierzyna albo owocami i jagodami, ktorymi moglibysmy zaspokoic glod. Lecz w tamtym lesie niczego takiego nie zobaczylem.

W koncu znalezlismy sie wsrod drzew, ktore wydawaly sie blisko spokrewnione z drzewami rosnacymi w naszej dawnej ojczyźnie.

Niedlugo potem natknęliśmy się na wydeptaną przez zwierzęta ścieżkę i na świeże tropy jeleni.

Gathea się nie zatrzymała, ale mnie dodała otuchy myśl, że kiedy rozbijemy oboz, może będziemy piec nad ogniskiem świeże mięso. Dziewczyna szła tak szybko, jak na to pozwalało gestę poszycie. Zaniepokoiłem się i w końcu przerwałem milczenie.

-Mam trochę żywności - powiedziałem nagle. - Chyba powinniśmy coś zjeść.

Była tak zajęta własnymi myślami, że moje słowa ją zaskoczyły. Zatrzymała się, sięgnęła do sakwy i rozejrzała wokół. W pobliżu leżał omszały pień, usiadła na nim. Ulokowałem się obok i wyjąłem opróżnioną w trzech czwartych torbę z maki oraz niewielki kawałek wędzonego mięsa.

Gathea zaś wydobyla swoje zapasy: garść suszonych owoców i dwa zleżale podróżne suchary. Jak sobie radziła, gdy była sama? Może Gruu polował dla niej, a może w pobliżu drogi, która szła, rosło więcej jagód i owoców?

-Nic z tego - pokręciła głową, gdy zaproponowałem jej polowe wędzonki. - Nie jada się tu mięsa. Byłoby znacznie lepiej, gdybys to zakopał. - Spojrzała z odrazą. - Jego zapach, choć jest stary i suchy, może przyciągnąć różne stworzenia.

Zastanowiłem się nad tym. To prawda, że wiedziała o tym kraju więcej ode mnie. Lepiej więc zrobię stosując się do jej rad. Oczywiście tylko do pewnego stopnia.



Z westchnieniem zakopalem wedzonke w miękkiej ziemi obok pnia, na którym siedzielismy. Zjadlem suchar i troche owocow, ktore podala mi Gathea. Moja make odlozyalismy na pozniej. Dokola panowal spokoj i teraz, gdy przestalismy ploszyc zwierzeta i usiedlismy, zaczalem slyszec ciche odglosy lasu.

Po pniu drzewa zbieglo jakies stworzenie, uzywalo puszystego ogona do utrzymywania rownowagi. Mialo wydłużona, waska glowke i nie odrywalo od nas bystrego spojrzenia. Pisnelo cieniutko. Gathea cwierknela cicho. Zwierzatko cofnelo sie nieco w gore pnia, pozniej zatrzymalo i przyjrzalo jej uwaznie. Sadzac po ostrych zebach nalezalo do rzedu myśliwych. Dobrze mu sie widac powodzilo, bo cialo mialo pulchne oraz blyszczace, miękkie futerko.

Stworzonko znow pisnelo. Nie moglem sie oprzec wrazeniu, ze na swoj sposob odpowiedzialo mojej towarzyszce. Zbieglo po pniu, zeskoczylo na ziemie i bez leku podbieglo do dziewczyny, ktora wyciagnela ku niemu kawalek suszonego owocu. Wzielo go od niej przednia, podobna do reki lapka. Poslugiwalo sie nia rownie zrecznie, jak czlowiek swymi piecioma palcami.

Zjadlo owoc, pozniej zas przykucnelo, wymachujac ogonem z boku na bok i zaczelo popiskiwać i cwierkac. Najwidoczniej cos mowilo w swoim jezyku i szybko zmienilem opinie o jego inteligencji.

Gathea znow zaswiergotala, po czym pokrecila glowka z zalem. Wygladalo na to, ze nie zrozumiala nowin czy poslania, ktore przynioslo zwierze. Piski malego myśliwego zakonczyly sie przeciągłym skowytem, w którym zabrzmiala nuta strachu. Potem zwierzatko jak czerwona błyskawica wrocilo miedzy

galezie wybranego przez siebie drzewa.

W lesie zapadła cisza. Gathea włożyła resztkę żywności do sakwy i pochyliła się lekko do przodu, nasłuchując. Sam nie slyszalem niczego, ale to samo w sobie już było ostrzeżeniem.

Zapagnalem ujrzec srebrzysta glowe Gruu wynurzajaca sie z krzakow. Gleboko ufalem w jego czujnosc i umiejetnosc walki. Nie watpilem, ze przez las wedruje jakas nieprzyjazna sila.

Wstalem jak najciszej i znieruchomialem. Z gory dobieglo mnie znajome glosne krakanie. Tak krzyczaly czarne ptaszyska, ktore nekaly nas w dolinie Garna. Nie mogly przedrzec sie przez sklepienie drzew, ale bylem pewny, ze wiedzialy o nas. Nie atakowaly, lecz osaczywszy czekaly jak psia sfora, ktora myśliwy puscil tropem zdobyczy. Wykryto nas. Zblizala sie nieznana sila. Musiala byc zla, jezeli te ptaki sluchaly jej rozkazow!

## Rozdzial XIII

Gathea stala obok mnie z wysoko uniesiona glowa. Jej nozdrza sie rozdely, jakby za przykladem Gruu posluziwala sie wechem. Jesli nawet cos wyczula, nie powiedziala mi o tym. Ja zas rozgladalem sie wokol wypatrujac miedzy drzewami wielkiego kota. Bezowocnie. Potrzebowalem jakiejś wskazowki na temat obrony, zwrocilem sie wiec do Gathej, zdecydowany uzyskac od niej szczerą odpowiedz.

-Co one wrzeszcza? Znam je, widzialem je juz i wiem, ze sa zle.

Gathea spojrzala mi w oczy i zauwazylem, iz byla wstrzasnieta.

-To Skrzydla Orda. -Ledwie ja uslyszalem wsrod rozglosnego

krakania.

-A ten Ord? - nalegałem.

-Mysle, ze jest jednym z Wielkich Adeptow Dawnego Ludu. Ja...

- Spojrzała na rozdzkę, która trzymała w reku, a potem na mnie.

- Jest coś, co mogę zrobić dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa, ale czy będzie to i ciebie chroniło... Wyjmij czare!

Ten rozkaz zabrzmiał z taką mocą, że posлуchałem bez namysłu. Znow zobaczyłem męską twarz w rogowej koronie. Przedzierający się przez listowie kapryśny promień słońca zmienił jej wyraz i wydało mi się, że srebrne oczy przez mgnienie mierzyły mnie spojrzeniem.

-Powinnismy miec wino... - Rozejrzała się wokół z taką miną, jakby się spodziewała spadłej z nieba beczulki z winem. Potem sięgnęła do sakwy, pogrzebała w niej i wyjęła kilka zeschłych grudek; rozpoznałem suszone winogrona, czerniale i twarde. Wreczyła mi je z poleceniem:

-Włoz je do czary! - Wziąłem od niej suche kulki, a było ich siedem, i wrzuciłem do wnętrza naczynia. - Teraz woda. Nie, musi być z twojej manierki!

Wylałem na ciemne kulki ze trzy łyki wody. A tak chciałem ja oszczędzać; nie wiedziałem, kiedy uzupełnimy zapasy.

Raptem coś się we mnie zbudziło. Podniosłem oburącz czarę mniej więcej na wysokość swej brody. Potrząsnąłem, by woda oblała wyschłe dawno owoce. Nie była to nawet niedźna

namiastka wina - ale pomyslałem, że może moje gorące pragnienie i chwila wielkiego niebezpieczeństwa wyrównają ten brak.

-Patrz na Lowce! - Gathea mówiła szybko, w napięciu. - Myśl o nim! Myśl o winie, o toaście na cześć Lowcy! Dano ci jego czare. Może to znaczy, że cieszysz się jego łaskami! Ale jego nie można wezwać za pomocą kobiecej magii. Myśl o winie, o jego smaku. Ofiaruj Lowcy swoje służby. Zrób to, szybko!

Popatrzyłem na twarz nieznanego w koronie z jelenich rogów. Miała w sobie wprawdzie coś nieludzkiego, lecz pozostało w niej tyle człowieczeństwa, że uwierzyłem, iż mogę wezwać go na pomoc i zostanie wysłuchany. Dowiedziałem się już też dostatecznie dużo, bym nabrał przekonania, że potrafię sobie narzucić jakąś wizję. Zgola rozkazać swoim oczom, by coś zobaczyły. I wcale nie musiałem po to być wtajemniczony w misteria Mocy.

Srebrne oczy spojrzały na mnie. Obcość tej twarzy, która na początku wydawała się tak wielka, zanikała. Tak, tu była moc. Z boku czary wyrzeźbiono oblicze wielkiego pana, który jedną ręką wymierzał sprawiedliwość swemu ludowi, a druga bronił go przed wszelkim złem. Każdy mężczyzna pragnąłby znaleźć się wśród domowników kogoś takiego.

Podniosłem czare jeszcze wyżej, zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że to nie woda ani kilka suszonych owoców. Nie, chciałem poczuć smak takiego napoju, jakiego skosztowałem owej pamiętnej nocy, gdy siedziałem przy biesiadnym stole u boku Gunnory. Przyłożyłem czare do ust i wypilem niewielki łyk.

I - przysięgnę na wszystko, co mi drogie - że naprawdę wysaczyłem wino, aromatyczne, wystające, jakiego nie znalazłbym w żadnym znanym mi zamku. I pijąc je przysięgnę służyć Lowcy - ja, który byłem bezimiennym banitą.

My, ludzie z klanów, składamy uroczyste przysięgi na krew, stał i na Odwieczny Plomien. Lecz temu ostatniemu oddają cześć tylko Bardowie i garstka wiernych. Ja zaś przysięgnę na wino, które piłem, i na cząstkę mojej istoty pragnąc służyć temu, na którego twarz spojrzałem, odwracając czoło do góry dnem, jak zwyczaj kaze uczcić honorową przysięgę. O dziwo, ujrzałem spływające krople lekkiego, klarownego wina, złotego jak słońce. Wsiąkły w lesny czarnoziem. Odrzuciłem głowę i głośno wykrzyknąłem coś, co samo znalazło się na języku:

-Hej, Kurnusie! Przybadz tu, Panie!

Nie wiem, co miało to znaczyć, nie znalazłem nikogo o tym imieniu, ten okrzyk wyrwał mi się bez mego udziału. Uderzył o zielone sklepienie, odbił się echem wśród drzew, powtarzając się raz po raz. Nagle rozpetala się i runęła wichura. Staliśmy nietknięci w centrum szalejącego wokół żywiołu. W huku łamiących się konarów, wirze fruujących galezi, liści i traw, wśród wzbijającej się nam spod stop ziemi.

Jak fala wezbrały we mnie nowe siły. W owej chwili poczułem się kims większym od zwykłego wojownika, napelnilo mnie coś, czego nie umiałem określić. Nigdy dotąd nie znalazłem takiej pełni życia. Mogłbym wyciągnąć miecz i śmiejąc się do rozpuku stoczyć zwycięski bój z całym klanem. Mogłbym z gołymi rękami stawiać czoło takiemu wielkiemu kotu jak Gruu i to drapieżnik ustąpiłby mi pola!

Poprzez huk wiatru slyszelismy ochryple krakanie czarnych ptakow. Wrzeszczaly, wzywajac na pomoc swego pana, lecz sie go nie doczekaly. Spomiedzy galezi drzew, ktore smagaly powietrze jak wielkie bicze, zaczely spadac bezwladne ciala naszych skrzydlatych wrogow. Pokaleczone, z polamanymi skrzydlami, lezace juz na ziemi, jeszcze sie szamotaly. W ich szklitych oczach widzialem wscieklosc i nienawisc.

Wiatr zawirowal, zdawal sie kurczyc, jakby dotychczas byl rozciagnieta szeroko siecia, ktora ponownie zwijano. A potem ucichl. Pozostaly tylko rozsypane na ziemi galezie, liscie i martwe ptaki.

Moje uniesienie zniknelo razem z wiatrem. Odetchnałem gęboko i znow spojrzalem na Lowce w Koronie z Rogow. Twarz na boku czary utracila pozory zycia. Pokryl ja ciemniejszy nalot, wygladala teraz na stara i zniszczona, jakby cos ja opuscilo. Trzymalem ja ostroznie w dloniach. To, co zdzialalem z jej pomocą, wstrzasnelo mna do glebi. Teraz pragnalem ja ukryc i zastanowic sie nad tym wszystkim, czego dokonalem, a zwlaszcza - dlaczego moglem to zrobic.

Wlozywszy ja z powrotem do sakwy, spojrzalem na Gathee. Stala nieco oddalona ode mnie, oparta plecami o drzewo i przygladala mi sie szeroko otwartymi oczami. Wyciagnela przed siebie rozdzke, jakby probowala oslonic sie przed ciosem, ktory moglbym jej zadac.

-On... przybyl! - rzekla drzacym glosem. - On naprawde przybyl na twoje wezwanie. Ale ty jestes mezczyzna, nalezales do klanu, do Domu Garna, jak wiec mogles tego dokonac?

-Nie wiem, nawet nie wiem, co zrobiłem. Chyba spodziewałaś się tego, przecież sama mi mówiłaś... kazałaś to zrobić!

Pokreciła głową.

-Ja tylko miałam nadzieję, słaba nadzieja - ponieważ otrzymałaś czarę. Ty zaś uczyniłaś coś, czego nie osmieliłby się nawet spróbować żaden Bard. Przywołałaś Tego, Który Poluje. A on odpowiedział na twoje wezwanie! To jest niewiarygodne! - Muszę się nad tym zastanowić. A teraz chodźmy stąd, zanim ten, który posłał Czarne Skrzydła, znowu nas odnajdzie!

Pobiegła między drzewami, to tu, to tam przeskakując przez obłamane konary, leżące na ziemi galezie. Ruszyłem za nią i dogoniłem ją właśnie wtedy, gdy wyszliśmy na otwartą przestrzeń.

Spodziewałem się, że przynajmniej kilka czarnych ptaków przeżyło śmiertelną wichurę i nadal nas śledziło. Nie zobaczyłem jednak nic. Tylko jakieś latające stworzenie oddalało się szybko od lasu. Było już za daleko, abym mógł stwierdzić, czy to ptak, czy też coś znacznie gorszego. Z ulgą, że na razie nic nam nie grozi, odwróciłem się do Gathej, chwyciłem ją za ramię i siłą zatrzymałem na miejscu. Nadszedł czas, by wreszcie odpowiedziała na moje pytania. - Kim jest Ten, Który Poluje? Czarne Skrzydła? Ord?

Powiedz mi teraz wszystko, co wiesz!

Szarpnęła się, a była silna, znacznie silniejsza niż sądziłem. Nie zdołała mi się jednak wyrwać i kiedy podniosła rękę, pośpiesznie uderzyłem ją w przegub; nie wiedziałem przecież, co

mogła zrobić z jej pomocą. Nigdytak brutalnie nie postąpiłem z żadną kobietą. Nie spodobała mi się ta próba sił między nami. Ale musiałem tak się zachować: wędrowałem jak ślepiec, podczas gdy ona swą wiedzę mogła ocalić nas oboje.

Gathea spojrzała na mnie ze złością, lecz przestała się szamotać. Wargi jej drgnęły, ale nie zdążyła jeszcze nic wymówić, gdy przyciagnałem ją bliżej i zatkałem ręką usta. Byłem przekonany, że chce przywołać kogoś lub coś na pomoc i skierować przeciwko mnie.

-Bedziesz mówić! - powiedziałem jej do ucha przyciskając ją do siebie. - Zbyt daleko zaszedłem twoją drogą, a zaciagnałem mnie w sieć czarów. Teraz odpowiesz na moje pytania! - W moich objęciach była jak obnizona stal, ale już nie próbowała się uwolnić. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co jeszcze mogłbym zrobić, by zmusić ją do mówienia.

-Nie jesteś głupia - ciągnąłem. - Wiesz, że dalsza wędrowka, skoro nie wiem, jak i przed czym mamy się bronić, byłaby czystym szalenstwem. Nie obchodzi mnie twoje tajemnice, ale jestem wojownikiem i nie pójdę dalej, dopóki nie powiesz wszystkiego, co mogłoby nam pomóc. Zrozumiałas?

Myslałem, że będzie się upierać. Wówczas byłbym bezradny. Przecież nie mogłem wieźć jej w nieskonńczoność! Kiedy tak wciąż uparcie milczała, nagle naszała mnie pewna myśl i naprawdę nie wiem, skąd mi się wzięła.

-Proszę cie w imieniu Gunnory! - powiedziałem stanowczo. Czulem, że gdybym powołał się na owa moc, którą wezwąłem z pomocą swojej czary, nie wywarłoby to na niej najmniejszego



wrażenia. Mówiła tak wiele o kobiecej magii i o rzeczach nie mających nic wspólnego ze światem mężczyzn, a w dodatku najwyraźniej szczyła się tym, co ją różniło od innych niewiast. Natomiast Gunnora była kobieta w każdym calu i to bardzo potężna kobieta - w swoim miejscu i czasie.

Nie zwatpiałem w swoją słuszną nawet wtedy, kiedy Gatheę po raz ostatni spróbowała się uwolnić. Byłem na to przygotowany. Objąłem ją jeszcze mocniej i powtórzyłem tylko:

-Proszę o to w imieniu Gunnory!

Dziewczyna nagle zwiła bezwładnie w moich objęciach, a głowę oparła na ramię kneblującej jej usta. Dopiero wtedy ją puściłem. Cofnąłem się, nie spuszczać oka z rozdzki. Ścisnęła ją mocno, spalonym koncem do dołu, i wciąż odwrócona do mnie tyłem, powiedziała beznamiętnym tonem:

-Nadal się wtracasz. Kiedyś posuniesz się za daleko, a wówczas się dowiesz, co czeka głupców wywołujących siły, których nie są w stanie zrozumieć.

-Wolałbym być raczej głupcem żywym niż martwym. Myślę, że wiesz dostatecznie dużo, byśmy mogli wędrować przez te krainy uzbrojeni w ostrą stal. Wiesz, dokąd idziemy...

-Dokąd ja idę! - poprawiła mnie Gatheę. Odwracała ode mnie twarz, jakbym okrył ją wstydem i w ten sposób pomniejszał ją w jej własnych oczach. Ale pohamowałem współczucie. Traktowałem ją dobrze od samego początku, a ona mimo to nie chciała mi ani pomóc, ani nawet okazać mi szczerosc.

-Dokad oboje idziemy - sprostowalem spokojnie. - Poza tym ty masz niewidzialnego przewodnika. Sam widzialem, jak z nim rozmawialas. Czy on - albo ona - jest tutaj?

-To dotyczy Misteriow i nie moge rozmawiac o nich z niewtajemniczonymi - odparowala.

-Ja juz sie z nimi zetknalem. Spotkalem Gunnore. Wezwalem Lowce. Czyz mi nie odpowiedzial?

Nadal omijala mnie wzrokiem, choc jej oczy biegaly wokol. Robila wrazenie schwytanego w pulapke zwierzecia, ktore szuka drogi ucieczki.

-Skladalam przysiege. Nie wiesz, o co pytasz... Znow nawiedzilo mnie natchnienie.

-Wezwij to, czego nie mozna zobaczyc, i zapytaj, czy powinienem pozostac slepcem wsrod widzacych. Zadam tego w imieniu Gunnory! - zakonczylem twardo.

Rozdzka zadrzala w rekach mlodej czarownicy.

-Ona... Dlaczego o niej mowisz?! Ona nie przemawia do mezczyzn!

-Ale jest zwiazana z mezczyzna w Koronie z Rogow. Siedzialem u jej boku przy biesiadnym stole i rozmawialem z nia, a ona okazala mi wieksza przychylnosc niz kiedykolwiek tobie. Ta czara to jej dar.

-Nie moge...

-Wiec wezwij to, co mozesz - nalegalem. - Swojego niewidzialnego przewodnika.

Wreszcie Gathea spojrzala na mnie i dostrzeglem w jej oczach blysk gniewu, a moze nienawisci.

-Sam poniesiesz konsekwencje! - Z wsciekloscia wepchnela rozdzke w ziemie u swoich stop, cofnela sie i usiadla skrzyzowawszy nogi obok na poly zweglonej galezi, na ktorej skupila cala uwage.

Ja zas polozyłem reke na sakwie, w ktorej schowalem czare, i zbudowalem w myslach obraz mojej bursztynowej pani, pelnej zycia, rownie szczodrej i pieknej dojrzala pieknoscia, jak symbol, ktory nosila.

Zrobilo mi sie zimno, choc jeszcze kilka chwil temu grzalo mnie slonce. Wydalo mi sie, ze to oddech Lodowego Smoka docieral z rozdzki, ktora tak wiele znaczyła dla mojej towarzyszki. Nieustannie oczekiwalem, ze trysnie z niej swiatlo, ktore ja zasloni. Ale tak sie nie stalo, przenikal mnie za to coraz dotkliwszy chlod, jakby mial mnie przepedzic czy odegnac. Nie cofnalem sie jednak; pomyslam o Gunnorze i o ukrytej w sakwie czarze Lowcy. Wyjalem po omacku lisc otrzymany w darze od lesnej damy. Kiedys spadl z jej sukni, moze wiec teraz przyda mi sie jako talizman.

Gathea zaczela cos mowic w nieznannej mowie, w spiewnym rytmie inkantacji, brzmialo to jak wstep do ulozonej przez Bardow piesni. Chlod stal sie jeszcze bardziej dojmujacy. Odnioslem wrazenie, ze od stop do glow zakuto mnie w lodowy pancierz, jedynie spod opartej na czarze reki i z wnetrza trzymajacej

niezwykły liść dłoni rozprzestrzeniało się ciepło. Lodowaty chłód mógł się okazać zabójczy. Może młoda czarownica chciała mi w ten sposób zaszkodzić? A może siła, która przywołała, chłodem właśnie broniła się przed intruzami?

Nie rozległ się żaden głos, ale Gathea przestała śpiewać i zwróciła się do źródła chłodu. Znowu przywołałem najwyraźniejsze wspomnienie Gunnory, ale obraz zaczął blednąć mimo moich wysiłków. Zamiast twarzy bursztynowej piękności, materializowała się twarz młodej kobiety, której nigdy dotąd nie widziałem. Zaczesaane do tyłu, czarne jak zimowa noc włosy, przytrzymała srebrna przepaska z wizerunkiem księżycy w nowiu. Jej oblicze było surowe i obojętne, podczas gdy Gunnora dobrze знаła ludzkie słabości - i wybaczała je. Oczy nieznajomej miały szarą barwę lodu i - tak jak w lodzie - nie było w nich nawet odrobiny ciepła. Szata opływająca postać bardzo młodej dziewczyny plonęła ta sama oslepiająca biel jak rozdzka Gathei.

Poza wyglądem nie było w niej nic ludzkiego, gdyż nie obudziły się w niej ciepłe uczucia znane rodzajowi ludzkiemu. Ale w dumnie uniesionej głowie, w rysach twarzy dostrzegłem coś znajomego. Wiedziałem, że oglądam wizję, która przywołała Gatheę, i nie dostrzegłem w tej istocie nic, co skłoniłoby jej zwolenniczki do poszukiwania czegoś więcej niż jałowa wiedza, jeszcze wyższym murem odgradzająca je od reszty ludzi.

Jej wzrok przykuwał mnie do miejsca. W nieznajomej wyczułem zniecierpliwienie zmieszane z pogardą, ale nie chodziło tu o mnie jako Elrona. Nie znały mnie, gdyż byłem mężczyzną.

-Gunnoro! - Wymówiłem w myśli to imię, czy wykrzyknąłem je na

głos? Nie wiem.

Mój okrzyk zburzył spójność zimnej jak lodu istoty. Nie zmarszczyła brwi ani się nie cofnęła, lecz w jakiś sposób, którego nie mogłem pojąć, zaniepokoiło i wstrząsnęło nią imię Gunnory. Na jakiejś innej płaszczyźnie istnienia mogłaby trwać wojna, w której moc walczyła z mocą. I teraz ja natknąłem się na jedną taką siłę, Gathea zaś znalazła drugą, ale, niestety, nie były to moce ze sobą sprzymierzone.

Przyszło mi to do głowy, zanim spostrzegłem dokonującą się przemianę. Biała szata zabarwiła się złotem, smukłe dziewczęce ciało zaokrągliło się, a sierp księżycy zdobiący jej włosy przeistoczył się w tarczę - ten sam znak, ale odmieniony. Ależ to nieuchwytnie podobieństwo, które przedtem zauważyłem... Przecież to także była Gunnora! Gunnora, lecz w innej postaci. Dziewica i niewiasta - te same, ale posiadające odmienne cechy.

Dotkliwy chłód zniknął. W ciepłym powietrzu rozeszły się zapachy srodka lata, won dojrzałych owoców i aromat zboża czekającego na zżecie. Dwie natury! Oto było rozwiązanie! To, co kryło się w Gathei, przywołało jedną, a uszponiona dotąd cząstka mojej istoty - drugą.

Tylko przez chwilę widziałem moją bursztynową panią. Później zniknęła jak zdmuchnięta przed moimi oczami. Wtedy zrozumiałem, że w pełni mnie zaakceptowała i że stanę przede mną otworem wiele bram prowadzących do jeszcze dziwniejszych krain niż ta, w której się teraz znajdowałem. Wystarczy, bym skupił wszystkie siły mojego umysłu i woli i sięgnął po to, czego zapragnę, a przyciągnę je kawałek po kawałek.

-Gunnoro! - zawolalem, z calej duszy pragnac jeszcze raz uslyszec jej gleboki glos.

-Dians! - zawtorowala mi Gathea, wyciagajac rece, jakby chciala zatrzymac cos nieuchwytnego. W jej glosie brzmial tak wielki smutek i zal, jakby pozegnala kogos serdecznie bliskiego, kogo juz nigdy nie zobaczy. Pozniej opuscila rece na kolana i pochytila glowe.

Zostalismsy sami ze soba. Moc, ktora przywolala, odpowiedziala zarowno jej, jak i mnie.

Nie podszedlem do Gathei, gdyz wyczulem, ze nie znioslaby teraz mojego dotknienia, odezwałem się jednak:

-To byla Gunnora, dziewczica-niewiasta...

-To byla Dians, ktorej nie obchodzi mezczyzni! - Gathea podniosla glowe. Widok lez w jej oczach zdumial mnie tak bardzo, jakby zaplakalo jedno z otaczajacych nas drzew. - Ona jest Ksiezycowa Pania. A potem, potem... - Kiedy na mnie spojrzala, jej oczy zablysy jak u dzikiego sokola. - Gunnora rowniez opiekuje sie kobietami, lecz tylko tymi, ktore wyrzekly sie dziewictwa, zeby kroczyc droga uleglosci jakiemus mezczyznie.

-Uleglosci? - powtorzylem. W mojej bursztynowej pani nie bylo nic, co choc odrobine by przypominalo uleglosc. - Nie sadze, chyba ze kobieta sama tego chce. Gunnora opiekuje sie plonami i kojarzy w pary tych, ktorzy dadza poczatek nowemu zyciu. Ona jest cieplem - a twoja Dians tylko chlodem.

Gathea pokrecila powoli glowa.

-To prawda, że Gunnora odpowiedziała na twoje wezwanie. Nie wiem, dlaczego darzy łaskami mężczyźne. Jej Misteria nie są dla ciebie. Wydaje mi się jednak, choć to niewyobrażalne, że istotnie wybrała cię z jakiegoś powodu. Tylko że... my idziemy do świątyni Dians, a to zupełnie inna sprawa.

Zauważyłem, że zamiast "ja" powiedziała "my". Miałem wszakże dość rozsądku, żeby to przemilczeć. Gathea wstała z widocznym trudem, jakby przywołanie Księżycowej Pani bardzo ją zmęczyło. Wyciągnęła z ziemi rozdzkę i położyła ją na wyciągniętej nieruchomo dłoni. Rozdzka obrocila się wskazując w lewo, w stronę zielonej krainy. Gathea skinęła głową.

-Mamy naszego przewodnika. Chodźmy.

Ta kraina była bezsprzecznie zamieszкана, a ja wolałbym nie spotkać żadnego z jej mieszkańców, dopóki się nie dowiem, czego można się po nich spodziewać. Przyłot czarnych ptaków był wystarczającym ostrzeżeniem, że powinniśmy stąpać ostrożnie i dopóty trzymać się z daleka od tego, czego nie rozumiemy, dopóki sami nie osadzimy, czy jest dobre, czy złe.

Zaczęłem podejrzewać, że ci, którzy opuścili żyzne doliny, czyli Dawny Lud, należeli do wielu ras. Przypomniałem sobie ujrzone przelotnie w wielkiej sali postacie, które pod wieloma względami różniły się od ludzi. I chociażby wtedy wszyscy żyli w harmonii, od tego czasu upłynęło wiele lat, może nawet wieków.

Wychowany wśród ludzi, którzy często wywoływali rodowe wasnie, rozumiałem, że mieszkańców tej krainy mogły skłócić podobne spory.

-Nazwałeś tamte ptaki Skrzydlami Orda... - Teraz, kiedy

przelamałem w Gathej bariere niecheci, pragnąłem dowiedzieć się jak najwięcej. - Kim jest ten Ord?

-Nie mam pojęcia, wiem tylko, że jest sluga Ciemności. Tamte ptaszyska to wstretne kreatury polujace na rozkaz swego pana.

-A skrzydlata poczwara, z ktora walczyłem w gorach? - Szybko opowiedziałem jej o tamtym pojedynku i o dziwnym posagu pilnującym wejścia do nory, z ktorej wyczolgał się moj przeciwnik.

-Tak, warki są złe, ale zmieniły się dawno temu. Kiedyś toczyła się tu straszna wojna. Ci, którzy wybrali Ciemność, ulegli przemianie. Byli też tacy, którzy nie mieli wyboru i się wycofali. Ci zmienili się w jeszcze inny sposób - oddalili zarówno od dobra, jak i od zła, nie uznają władzy ani jednego, ani drugiego i nie można wezwac ich na pomoc w walce.

-Wiele się dowiedziałas - powiedziałem z uznaniem.

-A zatem nawet teraz nie rozumiesz. Urodziłam się wiedząc, że mam pewne moce, talenty, którymi nie mogłam się posługiwać, ponieważ brakowało mi do nich kluczy. Przybyłam tutaj i je znalazłam! Zabina chciała, abym szła powoli, czolgała się jak dziecko, które jeszcze nie umie stanąć na nogach. Jestem młoda, ale nie mam przed sobą tylu lat życia, bym mogła czekać bez końca i pokornie przyjmować ochłapy wiedzy, gdy widzę wspaniałą ucztę przygotowaną dla tych, którzy odwaga się jej szukać! Świątynia Księżyca dała mi taki klucz. Gdybym go miała, mogłabym pofrunąć tam, gdzie teraz potykam się co krok. Moc jednak, która trwa w Świątyni, działa tylko od czasu do czasu. Zanim zdążyłam z niej skorzystać, natknęła się na nią twoja kuzynka. Mam nadzieję, że dowie się, albo już się dowiedziała,



co to znaczy ukrasc cudza wlasnosc!

Jej wargi wykrzywily sie w brzydkim grymasie. Pomyslalem sobie, ze pewnie wolalaby obrzucic lynnne przeklenstwami.

-Znam Gunnore i wiem, ze jest inna faza twojej Ksiezycowej Pani, chociaz przynosi ze soba cieplo slonca. Kim jest Lowca, ktory przybyl na moje wezwanie?

-Tym, co znaczy jego imie. Kobieta ma prawo do siania ziarna, pielegnowania go, obserwowania, jak rosnie, i zbierania plonow, gdy dojrzeje. Mezczyzna zas sklonny jest do pochopnego dzialania, do poszukiwania zdobyczy z mieczem w dloni, do scinania tego, co uroslo, Lowca w Koronie z Rogow poluje... i zabija...

-Jest wiec zly?

W jej twarzy wyczytalem, ze pragnela mi przytaknac.

Zawahala sie jednak i w koncu odpowiedziala jakby pod przymusem:

-W kazdym swiecie wszystko musi byc w rownowadze. Jest swiatlo i mrok, slonce i ksiezyc, zycie i smierc. Zazwyczaj zadne nie jest lepsze ani potezniejsze od drugiego. Niewiasta sieje, mezczyzna zbiera plon, ona daje zycie, on zas smierc wtedy, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Wszystko toczy sie w odwiecznym kole istnienia. Ona wlada wszystkim, co rosnie w ziemi, on zas wszystkimi czworonogami i ptakami. Chyba ze rownowaga zostala zaklocona i pojawiaja sie przeciwnicy tak silni, ze rzucaja wyzwanie pradawnemu porzadkowi rzeczy, sprowadzajac na

swiat czyste zlo. Trzeba ci wiedziec, ze taka wlasnie jest natura zla: to jest moc, ktorej uzywa sie do rozerwania gladkiej tkaniny zycia i swiata.

-W takim razie Lowca jest przeciwnostwem twojej Dians i Gunnory, lecz ma swoje miejsce.

Pomyslalem o slowach Gathej, ze Pan w Koronie z Rogow zadaje smierc. Wcale mi sie to nie spodobalo, chociaz smierc jest czescia porzadku swiata. Moi wspolplemienci najczesciej mysla o smierci z przerazeniem, o ile zycie nie doswiadczylo ich tak bolesnie, iz witaja ja jak przyjaciela. Teraz wiec poczulem sie nieswojo na mysl, ze wezwalem na pomoc Pana Smierci. Zapragnalem wyrzucic przynoszaca nieszczescie czare - a moze rowniez i osobliwy lisc - i nie miec z nimi wiecej do czynienia. Ale to Gunnora dala mi to naczynie i jesli miala w swojej pieczy zycie, to dlaczego postanowila ofiarowac mi namacalny symbol smierci? Zielona kobieta takze byla zywa istota - jakkolwiek bardzo dziwna - nie moglem wiec uwierzyc, by jej podarunek mial sie okazac zapowiedzia mego konca. W obu darach moglo sie jednak kryc straszne przeslanie... Za zadne skarby nie wyznalbym Gathej watpliwosci co do mojej bursztynowej pani i jej roli w naturze. Wychowano mnie na wojownika, nie bede zatem wzdragal sie na mysl, ze wezwalem Pana Smierci na pomoc. W owej chwili postanowilem zyc jedynie dniem dzisiejszym. Bez leku zatem stawie czolo temu, co sie stanie. A jezeli Gunnora dala mi czare jako ostrzezenie... Nie, to bylo nie do uwierzenia. Mowila mi o mojej przyszlosci, a ja wiernie zapamietalem te przepowiednie.

Gathea nie mogla odczytac moich myśli. Sciagnela z namyslem brwi, jakby czekalo ja trudne zadanie.

-Pan w Koronie z Rogow nie jest przeciwnikiem Dians. -  
Cedzila slowa, coraz wyrazniej okazujac, ze mowi wbrew woli. -  
Oddaje mu sie czesc razem z Dziewica i Matka. Jest kolejno  
bratem, malzonkiem, a nawet synem Staruchy...

-A kim jest Starucha?

-To Madra Pani, ta, ktora konczy zycie, tak jak Dziewica je  
rozpoczyna, Ciemny Ksiezyc, ktorego nie mozemy zobaczyc.  
Tak, Pan w Koronie z Rogow jest im rowny, ale nie pojawia sie w  
Swiatyni Trojcy. On ma wlasny swiety przybytek. I...

Urwala, gdyz w tejze chwili mignela srebrna smuga i Gruu  
jednym skokiem znalazl sie przy nas. Za wielkim kotem mknelo  
jeszcze cos. Wygladalo jak czarna blyskawica - jezeli mozna to  
sobie wyobrazic. Rozlegl sie trzask jakby bat...

Tak, to byl bat! Z oddali wpadlo galopem trzech jezdzcow, a  
jeden z nich wywijal oburacz nad glowa czarnym batem.

Wierzchowiec pozostawiony samopas, mknal susami do przodu,  
rozdziawivszy pysk o dlugich zebach. Jego pokryte luskami nogi  
poruszaly sie tak szybko, ze chyba zadna zywa istota nie byla do  
tego zdolna. Przybysze dosiadali wierzchowcow skaczacych na  
potecznych tylnych lapach, podczas gdy przednie, krotsze i  
slabsze, zwisaly bezwladnie. Jezdzczy zas kolysali sie w siodlach  
umocowanych na potecznych barkach niesamowitych rumakow.

Gruu znalazlszy sie u boku Gathej natychmiast sie odwrocil i  
wyszczeryl kly. Rozejrzalem sie rozpaczliwie - las pozostal  
daleko i nie zdazylibysmy uciec. Wyciagnalem miecz i zaslonilem  
soba dziewczynie. Tak, Lowca rzeczywiscie byl Panem Smierci.  
Wezwalem go, a teraz mialem mu zaplacic za udzial w grze,

ktorej nie rozumialem.

## Rozdział XIV

Atakujacy nie probowali sie zbliczyc, tylko krazyli wokol na swoich potwornych wierzchowcach. Gruu przywarl do nas obojga. Unoszac wysoko glowe warczal i machal wsciekle ogonem. Jaszczury, ktorych dosiadali nieznajomi, syczaly wysuwajac rozdwojone jezyki. Nie rozumialem, dlaczego od razu nas nie stratowali. Nie mielismy juz czasu na takie czynnosci jak poprzednio. Nie mialem nawet pewnosci, czy sam nie sciagnalem niebezpieczenstwa, ktore nam teraz zagrazalo. Przeciez wezwalem moc, ktorej nie umialem kontrolowac.

W koncu trojka napastnikow sie zatrzymala. Wszyscy ukrywali swe twarze pod nisko naciagnietymi kapturami, ale przelotnie dostrzeglem ich blada skore i ostre podbrodki. Sliniace sie wierzchowce stanely przed nami: jeden z prawej, drugi z lewej, a trzeci, ktory pierwszy uzyl czarnej blyskawicy, na wprost nas.

Mowi sie, ze czasami najlepsza obrona jest atak. Wtedy jednak uznalem taki sposob obrony za bezcelowy i daremny. Wiedzialem skads, ze to w niczym nam nie pomoze. Nie mialem pojecia, czemu po prostu nas nie zabili plomiennymi biczami.

Probowalem oslonic soba Gathee, ale mloda czarownica wysunela sie zza moich plecow i stanela obok tak blisko, ze prawie stykalismy sie ramionami. Czekalismy i cisze przerywalo tylko warczenie Gruu i, od czasu do czasu, przeciagly syk wierzchowcow.

Przypomnialem sobie slowa Gathei, ze zimne zelazo samo w

sobie stanowi zagrożenie dla pewnych form życia podporządkowanego Ciemności. Czyżby obawiali się mojego miecza, ale nie z powodu moich szermierczych umiejętności, tylko dlatego, że wykuto go z tego metalu? Jeśli tak, to może mój atak miałby sens...

Wtem usłyszałem gromki okrzyk. Z zaskoczeniem spojrzałem do góry szukając jego źródła. Nic nie zobaczyłem.

Nie! Tam coś jednak było! Dostrzegłem ponad sobą falowanie powietrza, niby zmarszczki na wodzie wywołane przez wrzucony do niej kamień. Gdyby dźwięki mogły przybierać widzialną postać... A te właśnie to zrobiły! Zmarszczki przekształciły się w niemal przezroczyste smugi dymu, które poczęły zwijać się i krzącać nad naszymi głowami tak jak przedtem tajemniczy jeźdźcy wokół nas. My zaś ruszyliśmy do przodu na rozkaz tego prawie niewidocznego kregu w górę.

Ze wszystkich sił starałem się oprzeć temu przymusowi. Już nie kontrolowałem własnych ruchów, stałem się więźniem mego ciała. Gahee i Gruu musiał spotkać taki sam los, ponieważ kroczyli sztywno, zrywami, jakby ciągnęły ich niewidzialne sznury.

Zakapturzony jeździec, który przedtem stał naprzeciw nas, skierował swego wierzchowca na otwartą przestrzeń. Ruszyliśmy za nim: z obu stron strzegli nas jego towarzysze. Wprawdzie słońce wciąż świeciło na niebie i znajdowaliśmy się w pięknej, zielonej okolicy, wydawało mi się, że szliśmy uwiezieni, otoczeni cuchnącą lekko jakas skorupą.

Przeszlismy przez jakas drogę, lecz przewodnik nie skrecił, tylko jechał dalej prosto, na przelaj przez pola. Nad naszymi głowami

wciaz wisial ledwie dostrzegalny szary krag.

-Co o nich wiesz? - Nie wiedzialem, jak gleboka wiedze o tym kraju posiadala Gathea, ale kazda wskazowka mogla mi sie przydac. Przydac sie musiala! Teraz bylem bezsilny, lecz moze nadejdzie odpowiednia chwila, nadarzy sie jakas sposobnosc...

-Oni sluzza Ciemnosci - odparla krotko. - Ich pan jest potezny, to jego glos nas wiezi. Nie wiem nic ponad to, ze sa naszymi wrogami.

Przycisnela do piersi rece sciskajace rozdzke, jakby chciala ja w ten sposob ochronic. Ponaglany, szedlem do przodu, z wyciagnietym mieczem w rece.

W takich to okolicznosciach zostalismy uwiezieni i opuscilismy zielone, mile dla oka pola. Okolica, w ktorej sie znalezlismy, byla inna. Takze i tam roslinnosc rosła bujnie, moze nawet zbyt bujnie, lecz wywierala nieprzyjemne wrazenie. Jedne kwiaty przypominaly szkarlatne usta, gotowe wpic sie chciwie w kazdego, kto zbyt blisko sie do nich zblizy. Inne mialy blade platki i brzydkie, zielonozolte preciki, w ktore chwytalay i wiezily szamoczace sie owady, a wokol rozchodzil sie smrod rzezni. Drzewa wyrosly jakies wykoslawione, z wielkimi naroslami na pniach, wygladajacymi jak przerazajace maski, a raczej glowy mezczyzn i kobiet, ktorzy umarli w rozpacz i mece. Mialy niewiele lisci, a i te pokrywaly szare plamy, jakby napietnowala je tak jakas wstretna choroba.

Ziemia byla ciemnoszarej barwy i przy kazdym naszym kroku unosil sie z niej odor zgnilizny. Zauwazyłem tam kepy grzybow jak rozkladajace sie szczatki dawno zmarlych istot, ktore nie

zostały pochowane.

Musialy tam zyc jakies stworzenia, gdyz slyszelismy ich szelest we wstretnym gaszczu. Od czasu do czasu wpatrywaly sie w nas blyszczace oczy i dostrzegalismy przelotnie karlowate, pokraczne istoty, ktore mogly byc zwierzetami zniekształconymi za pomoca dziwnych czarow. Zwierzetami albo czymś znacznie gorszym...

Na tej zniekształconej przez magię ziemi rosl las. Drzewa w nim byly tak splecione i splatane, ze nic zywego nie moglo sie przez nie przedostac. Jednakze w samym srodku ponurego boru wznosila sie wysoka wieza.

Zbudowano ja z matowoczarnego kamienia i wygladala jak uragajaca naturze, wstretna plama na tle czystego nieba. Nasz przewodnik kierowal sie ku niej, my zas musielismy podazac za nim.

Gdy pierwszy jezdziec zblizyl sie do skraju lasu, zapora z drzew zrzeda i jakby sie cofnela. Moglo to byc takze dymem czy iluzja, ale w jakis sposob wiedzialem, iz okazaloby sie bardzo realne dla prawie kazdego. Tylko moc i jej wladca wiedzieliby, ze to wszystko jest zludzeniem. Tak wiec przewodnik bez przeszkod jechal przez niesamowity las, a my troje szlismy za nim, prowadzeni obca wola, ktora kontrolowala nasze ciala, lecz nie nasze umysly. Rozgladalem sie na boki, kiedy zaglebialismy sie w to ciemne, obrzydliwe miejsce. Z galezi sterczaly wielkie ciernie tak dlugie jak moj sztylet. Tuz obok zas kwitly szare kwiaty, ktorych platki pokrywaly czerwone zytki podobne do prawdziwych zyl; z ich srodkow kapaly powoli zolte krople - bez watpienia trucizna. Od drzew emanowala aura zlego, ohydneho zycia. Nieznane czary oddzialywaly na moje oczy, nos i uszy. Tylko moj

umysl pozostal wolny i wiedzialem, iz musze trzymac sie tego, co jest mna. Moje ciało jest bezsilne, ale mózg...

Nie wiedzialem, dlaczego uznalem to w owej chwili za tak wazne. Pomyslalem, ze tylko w ten sposob mozna stawiac opor wrogom, ktorzy nas schwycili.

Dotarlismy do polany, na ktorej stala czarna wieza. Pozbawiona wewnetrznego muru i wszelkich innych budowli jak w prawdziwym zamku, strzelala w gore samotna kolumna. Naprzeciw nas zialo pozbawione drzwi ciemne wejście.

Jadacy na wielkim jaszczurze przewodnik zatrzymal sie i podniosl kij, z ktorego przedtem strzelal czarnymi i plomiennymi blyskawicami, jakby kogos wital. Nawet potworne wierzchowce przestaly syczec. Na polanie z wieza posrodku zapadla gleboka cisza. Bylo bardzo goraco i nie do wytrzymania smrodliwie.

Nie odezwal sie wprawdzie zaden glos, ale po chwili pierwszy jezdziec zjechal na bok, jakby otrzymal jakis rozkaz. Pozostal w siodle i tylko obserwowal, jak sila, ktora nas kontrolowala, pchnela prosto w ciemny otwor drzwiowy.

Panujacy wewnatrz mrok zdawal sie po nas siegac swymi mackami. Nieraz bywalem w nieoswietlonych komnatach w bezksiezycowe noce, gdy niebo przeslanialy czarne chmury. Ale nic nie moglo dorownac tej calkowitej nieobecności swiatla. Kiedy przeszlismy przez zwieczone lukiem odrzwia, pochlonely nas geste, nieprzeniknione ciemności.

Stracilem orientacje; usilowalem poruszyc chocby reka, by dotknac Gathej albo Gruu, lecz zaden rozkaz nie dotarl do moich



miesni. Rownie dobrze moglbym isc z rekoma mocno przywiazanymi do bokow. Mrok napieral, dusil, ciezko dyszałem, czujac, ze budzi sie we mnie panika.

Przestalismy sie juz poruszac. Nie mogłem nawet odgadnac, gdzie sie znajdujemy. Odniosłem dziwne wrazenie, ze przechodzac przez otwor nie weszliśmy do przedsionka, tylko na inna plaszczyzne istnienia i ze nie otaczaja nas sciany, tylko wielkie, niewidoczne przestrzenie.

Jak dlugo tak stalem? Nigdy sie nie dowiem, poniewaz w tamtym miejscu stracilem zdolnosc mierzenia czasu, który jakby sie zatrzymal. Istniało tylko tu i teraz, nieprzenikniony mrok, który miazdzył powoli, z rozkosza, iskre mojego zycia. Zdawalo mi sie, ze na zawsze pozostane w nim uwieziony jak owad w lepkiej zywicy.

Moja rasa obawia sie ciemnosci i ten lek jest nam wrodzony. Ale wiekszosci z nas upor nakazuje walczyć ze strachem, by nie rozplynac sie w nicosci. Dotychczas zaden z moich wspolplemiencow nie przeszedł podobnej jak ta proby, ku mojemu jednak zdziwieniu przekonalem sie, ze moge zapanowac nad przerazeniem mierzac uplyw czasu oddechami. Jezeli mogłem to robic w tej chwili, wiec bede w stanie to powtorzyc i zrobic jeszcze raz i... To bardzo podniosło mnie na duchu.

Nagle w mroku przede mna cos sie zmienilo - naplywajace od tylu rozgrzane, smierdzace powietrze przestalo dreczyć moje nozdrza. Rozszedł sie inny zapach, ciezki, pizmowy, ale wcale nie oszalamiajacy, za to przesycony slodkawa wonia zaczynajacego sie rozkladu.

Jednocześnie otaczające nas zewsząd ciemności nieco pojasniały. W mroku pojawiła się i zawisła na poziomie naszych głów szara plama, taka sama jak ta, która nas uwieziła. Była blada i świeciła słabo w ciemnościach.

Potem się powiększyła, zmieniła z dysku w pionowo wiszący owal, i z szarej stała się brudnobiała z żółtawym odcieniem jak kwiaty, które widzieliśmy w otaczającym nas lesie. Teraz lśniła jak zwierciadło, niczego w sobie nie odbijając. Wreszcie przestała rosnąć. Przed nami utworzyło się inne wejście. Siła, która nas tutaj sprowadziła, jednak nie kazała nam tam iść. Nie, raczej to, co znajdowało się z drugiej strony, zbliżyło się do nas.

Przeszło przez te drzwi równie powoli, jak one się przedtem formowały: najpierw na błyszczącym owalu pojawił się cień, który po chwili przybrał podobną do ludzkiej postaci. Coś jednak w jej konturach sugerowało jakies zniekształcenie czy wykosławienie. Następnie wszystko się w okamgnieniu zmateriałizowało.

Zobaczyłem kobietę o bladej cerze i rozpuszczonych aż do kolan ciemnych włosach. Jej ciało było równie krągłe, jak u Gunnory. Nieznajoma ukazała mi się w taki sposób, że jakaś cząstka mnie zareagowała tak samo, jak wcześniej na dojrzałą kobiecość mojej jantarowej pani. Tylko że...

Czyżby zmyliły mnie oczy? Kiedy pomyślałem o Gunnorze w związku z nowo przybyłą, kontury jej pięknego ciała na chwilę się zamazały, a w zielonożółtych jak u Gruu oczach zabłysły czerwone iskry gniewu.

Mimo woli zrobiłem krok do przodu. Byłem tak podniecony jak wtedy, gdy ujrzałem Gunnore. Nie zdawałem sobie sprawy, że

odzyskałem swobodę ruchów, dopóki nie zauważyłem, iż chowam miecz do pochwy. Chciałem mieć wolne ręce i ramiona, chciałem... Cofając rękę bezwiednie dotknąłem nia sakwy i wtedy czekająca na mnie i obiecująca nieznaną rozkosz postaci zaczęła się rozpląwać. Czara Lowcy...

Nieznajoma wyczytała zmieszanie w mojej twarzy. Wyciągnęła ramiona. Dzika zadza tak mnie zaslepiła, że omal nie podszedłem do urodziwej niewiasty, pragnąc dotknąć jej jedwabistej skóry, pieszcząc ją, posiąść... Była wszystkim, czego mężczyzna szuka w kobiecie i to do mnie się zalecała.

Niespodziewanie coś się poruszyło przede mną. To Gruu skoczył jednym susem do przodu. Krzyknąłem i rzuciłem się za kotem. Postać w świecącym owalu się zamazała. Kiedy zamachnąłem się mieczem - przecież musiałem jej bronić przed drapieżnikiem - znowu musnąłem sakwę. Nie, nie musnąłem, moja dłoń oparła się na wypukłości czary, wręcz przywarła do niej. Wyteżalem wszystkie siły, by oderwać rękę. W tej samej chwili znikła mi z oczu kobieta, którą zaatakował dziki kot. Na ziemi zwierzały się dwa wielkie koty. Usłyszałem ryk Gruu pochylonego nad obcą Kocica. Za moment Gruu i jego pobratymiec zniknęli, a na ich miejscu znowu pojawiła się ciemnowłosa piękność, starając się przyciągnąć mnie swym urokiem. Teraz jednak jej obraz był zniekształcony. Usiłowała odzyskać poprzedni wygląd, ale kontury jej ciała falowały. Nareszcie zrozumiałem, że to iluzja. To nie piękna kobieta czekała na mnie, lecz coś, co za pomocą magii chciało mnie zwabić.

Przycisnąłem mocniej rękę do sakwy. Jeżeli emanowała z niej jakaś moc, potrzebowałem jej właśnie teraz! Lowca w Koronie z Rogów! Gunnora! Uczępiłem się fragmentów wspomnień,

usilujac zbudowac z nich tarcze. Obrazy przede mna zaczely sie zmieniać, wzajemnie przenikac. Raz stala przede mna kobieta, po chwili na jej miejscu byla klebiaca sie substancja, potem znow kobieta. Zdałem sobie sprawe, ze toczy walke ze sluga Ciemnosci, ktory rzadzil tym gniazdem zla. Moze on - lub ona - z poczatku nie zdawal sobie sprawy, ze w ogole umiem sie bronic. Wciaz palilo mnie pozadanie, moje ciało rwalo sie do przodu, trawila mnie szalona zadza. Walczylem z soba i z iluzja, miotany strachem przed czymś, czego nigdy nie zdolam ujac w slowa. Raz nawet padłem na kolana czolgajac sie jak zwierze ku swiecacemu owalowi i kobiecie, ktora na dluzszy czas zdolala przyjac niezmienna postac. Alez tam nie ma zadnej kobiety! Uchwycilem sie tej mysli jak tonacy brzytwy. Jestem gleboko przekonany, ze gdybym wtedy ulegl pokusie, czekalaby mnie tak straszna smierc, ze strach ogarnia na sama o tym mysl!

Lowca w Rogowej Koronie! Kurnus... Kurnus...! Nie dysponowalem winem, by go przywolac, tylko oddana mu czastka mej osoby i zywymi wspomnieniami. Wezwac Gunnore? Nie! Pospiesznie porzucilem ten zamiar. Gunnora wlada czescia tej samej magii. Wspominajac ja, otworze drzwi tej drugiej. Lowca, Zabojca, Pan Smierci...

Postac w owalu zmienila sie. Zamiast przyzywajacej mnie gestem kobiety, teraz stal tam wysoki, urodziwy mezczyzna w koronie z jelenich rogow. Na jego twarzy malowal sie spokoj i duma wielkiego pana. Wyciagnal do mnie reke na powitanie. Do mnie, bezimiennego banity! Juz nigdy nie bede sam. Wystarczy ujac te dlon, bym stal sie nie tylko wasalem, lecz takze mieczowym bratem i bliskim krewnym! To nie byl Garn, ale ktos nieporownanie od niego potezniejszy, pan, ktoremu chetnie

towarzyszyłbym w długich wyprawach, do którego bym się przyłączył i razem usunelibyśmy stąd Ciemność. Służyłbym w chwale! Ten, którego wezwalem, nic o nim nie wiedząc, przybył do mnie...

Nie odrywając od niego wzroku, po omacku otwierałem sakwę, by wyjąć z niej czarę na dowód, że to jemu przysięgałem służyć! Przecież znowu mnie ocalił przed krzaczakami w mroku sługami zła. Otworzyłem sakwę. Dotknąłem czarę, mój palec wskazujący wsunął się do jej wnętrza... Obraz mężczyzny zafalował. Nie! Nie odchodź! Mogę udowodnić, mogę... Okolona bladym światłem sylwetka zafalowała! A potem ujrzałem tamta dziewczynę, Gatheę, która przepchnęła się przede mną. Wyciągnęła ręce do góry...

W owalu nie było już mężczyzny, wojownika w rogowej koronie. Zamiast niego zobaczyłem kobietę, nie, nie tę, która prawie mnie uwiodła. Młoda dziewczyna, smukła, gibka, ubrana w spięta na ramieniu i sięgająca do połowy ud srebrzysta tunika. Z sierpem księżycy na głowie. Nagle zniknęła i ponownie zaczął się formować mężczyzna.

Wyjąłem czarę z sakwy i niezdarnymi dłońmi przytrzymałem pod brodą. Jakże to starożytna mądrość do mnie dotarła, uswiadamiając mi, że właśnie to należało zrobić? W czarze nic nie było, a jednak z jej wnętrza napływał do moich nozdrzy świeży, ostry zapach. Tak pachną w porannym słońcu liście niektórych drzew i rozdeptana trawa. Wydawało mi się, że została zerwana jakaś zasłona i wtedy przejrzałem.

Wewnątrz owalu bulgotała i pieniała się świetlista substancja, to zasłaniając, to odsłaniając ciało Gruu, który leżał nieruchomo na

boku. W otaczającym go mroku dostrzegłem jakies czerwone smugi, ciemniejsze cienie, jakby przenikające przez kota jakies niewielkie stworzenia. Gathea nadal szła ku niemu z wyciągniętymi rękami. Niewidzialna siła, która nas wcześniej sparalizowała, przestała działać. Tuląc do siebie czarę Lowcy rzuciłem się do przodu i zagroziłem jej drogę wyciągniętym ramieniem.

Na jej twarzy malowało się uniesienie, widziała tylko pieniaca się chmure w świecącym owalu. Najpierw po prostu naparła na moje ramie, jakby go nie widząc. Wiedziałem, że nie zatrzymam jej jedną ręką. Opuszcilem więc ramie, lewą ręką schwyciłem jej pas i cofnąłem się gwałtownym ruchem. Szarpnięta do tyłu Gathea znalazła się obok mnie właśnie wtedy, gdy sięgnęła po nią mglista macka.

Gathea potknęła się i upadła, pociągając mnie za sobą. Przygniotłem ją swoim ciałem. Zaczęła się szamotać jak szalona. Myślałem, że nawet nie wiedziała, kim jestem, postrzegala mnie tylko jako przeszkadzająca jej zapora. Walczyła ze mną pięściami, zębami i paznokciami, ja zaś mogłem użyć moich sił tylko po to, by przygwozdzic ją do ziemi i próbować uniknąć podrapania. Zdawałem sobie sprawę, że czarą Lowcy jest moja jedyna nadzieja na ocalenie i że twórca iluzji nie zamaci mi w głowie ani zwabi w pułapkę tylko wtedy, gdy będę wdychał dziwny zapach, który wydobywał się z naczynia.

W jakiś sposób wytrzymałem. Później zaś, w nadziei, że zaklęte naczynie tak samo podziała na Gatheę, zbliżyłem czarę do jej twarzy. Czarownica kreciła głową i szczyrzyła zęby, jakby chciała rozerwać mi ramie. Tak pewnie uczyniłby Gruu w napadzie szalu.

Walczyliśmy ze sobą, gdy nagle...

Coraz mocniej przyciskałem do siebie Gathee i zarazem rozpaczliwie tuliłem czare. Już nie leżaliśmy na bruku w siedzibie zła. Przeniknął mnie straszny chłód. Nie sądziłem, by jakakolwiek żywa istota mogła go wytrzymać dłużej niż przez chwilę. A później znów zalało nas światło, ruchliwe, podrygujące czerwone światło. Przed chwilą mroził nas chłód, a teraz zar osmaliał nasze ciała.

Gathea leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Jej piers unosiła się i opadała w nierównym oddechu. Uklakłem i rozejrzałem się dookoła. Powietrze było tu tak rozpalone, że każdym oddechem wciągałem do płuc jakby żywy ogień. Pod nami była skala, rozgrzana, aż parzyła. W obawie o Gathee pośpiesznie ją podniosłem i przytuliłem do siebie. W nozdrza uderzył mnie smród palących się włosów. Odwróciłem głowę i zobaczyłem wyciągnięte tuż obok nieruchome ciało Gruu.

Otoczała nas czerwonożółta ściana płomieni. Jakby pod wpływem wiatru, którego nie czualiśmy, sięgały ku nam długie języki ognia. Ogień palił się jasno, w płomiennym murze nie było najmniejszej wyrwy. Myślałem tylko o jednym, że nasz opór rozgniewał mieszkańca czarnej wieży i że za pomocą czarów nas tu uwięził, by skończyć z nami, obracając nasze ciała w zwęglone kości.

-Dians! - Gathea otworzyła oczy. Nie patrzyła na mnie, tylko szukała wzrokiem gdzieś dalej. Byłem pewny, że chodziło o wizję, którą nieznanemu sługowi Ciemności stworzył, by zwabić ją w pułapkę. Jej twarz się wykrzywiła, gdy zobaczyła otoczenie takim, jakim naprawdę było. Wtedy spojrzała na mnie ze złością tak

wielka, jakby chciała cisnąć mnie w płomień.

-Dians! Ona tam była! Wezwwała mnie, nareszcie! Podniosła ręce i nagle popchnęła mnie w ogień. W ostatniej chwili zerwałem się na nogi i odskoczyłem. Przez cały czas sciskałem w ręku zaklętą czarę.

-To tylko iluzja! - wykrzyknąłem. Niejeden raz twierdziła, że tak wiele wie o magii. Czemu więc sama niczego nie zauważyła? Zła moc przyciągnęła Gruu, a ja sam dwukrotnie stawiałem czoło temu, co chciało i mnie uwięzić w mroku.

-Co zobaczyłaś? - spytałem. Stałem nad nią i mówiłem z zarem, który plonął mi w sercu. - Gruu poszedł do innego kota. Ja najpierw zobaczyłem jakąś kobietę... - Nie zamierzałem wdawać się w szczegóły. - ...a potem Łowca w Koronie z Rogów. Czy ty... Czy zobaczyłaś swoją boginię, Corke Księżycy?

Mysle, że początkowo Gathea nie chciała mnie w ogóle słuchać. Nadal była tak oszłamiona iluzją, że chciała tylko wylądować na mnie gniewem, zagłuszając krzykiem moje słowa. Podniosła piasek, jakby zamierzała mnie uderzyć, ale gdy zrobiła krok do przodu, potknęła się o bezwładne ciało Gruu i przewróciła się, padając na kota.

-Gruu! - zawołała głośno. Podniosła się, ujęła w dłonie głowę swego wiernego towarzysza i wpatrzyła się w jego półprzymknięte oczy. Zastanowiłem się, czy wielki kot jeszcze żyje i czy stwor, który skusił go iluzją, wysał z niego życie. - Gruu! - Dziewczyna głaskała go po szyi, wygładzając zmierzwiłone futro. Podniosła głowę i spojrzała na mnie szeroko otwartymi, zupełnie przytomnymi oczyma.



-On... Nie! - Wpila palce w sierść na szyi zwierzęcia. - On żyje! -  
Tulac do piersi głowę czworonożnego przyjaciela, znowu  
podniosła na mnie wzrok.

-Widziałes Gruu, co z nim się stało?

Nie byłem zaskoczony dowiedziawszy się, iż nie zauważyła, jak  
wielki kot skoczył w świetlną pułapkę. Już zorientowałem się, że  
mieszkaniec czarnej wieży przygotował dla każdego z nas  
najodpowiedniejszą przynętę. Gruu pobiegł do samicy z jego  
gatunku. Ja najpierw zobaczyłem kobietę, która kusila moje ciało,  
jakby moje zmysły były podobne do zmysłów Gruu, a później  
Lowce, który miał wywrzec znacznie subtelniejszy wpływ na mój  
umysł.

-Przyciągnął go obraz innego kota, samicy!

-Dians, tam była Dians! - Gathe'a pokręciła głową, jakby nie  
mogła otrząsnąć się z tego snu na jawie. - Znalazłam jej  
świątynie, ja... - urwała i nadal głaskała głowę kota. - Ty jej nie  
widziałes. Zobaczyłes coś innego. - Wpatrzyła się w ścianę  
ognia. - Pan tego miejsca tworzy iluzje. - Zadrzała, jakby zmroził  
ją strach i nie czuła żaru płomieni. - Jest sługa Ciemności! Ale  
dlaczego?... I Gruu... - Spojrzała na przytuloną do niej  
nieruchomą głowę. - Jak się tu dostaliśmy? - zapytała po długiej  
chwili milczenia. Jej głos już nie drżał. Zaakceptowała naszą  
rzeczywistość i gotowa była stawić czoło przyszłym wydarzeniom.

Opowiedziałem jej o tym, jak wydobywający się z zaklętej czary  
zapach sprawił, że przestałem widzieć iluzje i że uniemożliwiłem  
jej wejście w świetlny owal. Dodalem, iż wkrótce potem  
zostaliśmy przeniesieni w ten zar. Wysłuchala mnie do końca.

Nie tylko zrozumiała, o czym mowilem, ale wyciagnela wnioski i ocenila nasze polozenie.

-Bylo nas troje - powiedziala powoli. - Ten stwor musial kontrolowac nas troje jednoczesnie. Czar, za pomoca ktorego jego sludzy nas sparalizowali, mogl dzialac, poniewaz panowal tylko nad naszymi cialami, a podtrzymywala go wola naszych wrogow. Kiedy jednak stanelismy przed ich panem, ten nie mogl utrzymac jednoczesnie kontroli nad nami wszystkimi. Biedny Gruu, chociaz tak madry, nie byl w stanie zrozumiec czaru iluzji, dlatego pierwszy wpadl w pulapke. Ciebie zas strzezono w sposob, jakiego ten sluga Ciemnosci nie podejrzewal.

-Wiec nie widzialas tego, co przygotowal dla mnie? - zapytalem niedbale. Dlatego wiec stala milczaca i obojetna, podczas gdy ja ogladalem obrazy, ktore tak mnie poruszily. A moze w tym samym czasie ona widziala Dians?

-Ja zobaczylam Swiatynie Ksiezyca z oswietlonym jasno oltarzem. Czekalam, gdyz wiedzialam, ze Dians przyjdzie i ze tego miejsca wlasnie szukalam. Nie, nie widzialam tego, co ty. Ale ten, kto tkal te iluzje, nie mogl utrzymac dwoch obrazow rownoczesnie. Kiedy go pokonales za pomoca czary Lowcy, wtedy dla mnie stworzyl wizje Dians, gdyz na nia czekalam. I tak samo nie zdolal jej podtrzymac dla nas trojga. Moc czary nim wstrzasnela, dlatego odzyskales wolnosc na tak dlugo, zeby i mnie uwolnic... - Omiotla spojrzeniem sciane ognia. - Dokad nas zeslal?

-Do jakiejs swojej twierdzy - odrzeklem. - Nie wiem dokad, ani jak to zrobil. Jezeli istnieje jakis sposob na wydostanie sie stad, lepiej go znajdzmy, zanim upieczemy sie zywcem.

-Nie mam juz rozdzki - powiedziala przytulajac policzek do glowy kota - a moja wiedza nic tutaj nie znaczy. Nie mozemy tez ludzic sie nadzieja na dotarcie do wladztwa Swiatla, jesli przebywamy w sercu krolestwa Wielkiego Mroku, gdz nie ma przejscia miedzy ich swiatami. Spotykaja sie na granicy i tam ze soba walcza. Sadze jednak, ze umieszczono nas od niej z dala i nic nam tu nie pomoze ksiezycowa magia.

Nie moglem uwierzyc, by pogodzila sie z losem, albowiem przekonalem sie na wlasnej skorze, ze nigdy sie nie poddawala, bez wzgledu na przeciwnosci. Dodala mi otuchy mysl, ze przynajmniej w jakiejs mierze nie dalismy sie temu, ktory wladal moca przekraczajaca ludzkie wyobrazenie.

Dziewczyna zajela sie sakwa. Wyjela z niej paczuszke suszonych lisci, wybrala siedem, wlozyla je do ust i zaczela szybko zuc. Pod moim pytajacym spojrzeniem pokrecila tylko przeczaco glowa i wskazala na usta, dajac do zrozumienia, ze nie moze mowic. Poglaskala Gruu po glowie i zdalem sobie wtedy sprawe, ze podjela probe ocalenia swego czworonoznego przyjaciela.

## Rozdzial XV

Gathea wyjela z ust papke i zamknawszy powieki kota, posmarowala je ziolowa mieszanka. Nastepnie umiescila palce obu rak miedzy uszami Gruu. Zdawala sie nie dostrzegac otaczajacych nas plomieni. Ich tchnienie stalo sie jakby goretsze. Staralem sie przebic wzrokiem zaslone z jezykow ognia, lecz bylo to daremne. Od niepamietnych czasow ogien byl przyjacielem i jednoczesnie wrogiem czlowieka. Wkrotce otaczajace nas plomienie zbliza sie do siebie i wszyscy sie

spalimy. Tymczasem zaś Gatheasiedzi z zamkniętymi oczami, podtrzymując głowę kota. Wiedziałem, że używa jakiejś wewnętrznej mocy do przywołania impulsu życia, który nasz wrog wyparł z ciała Gruu.

Gruu poruszył łapą, odsłonił pazury i miauknął cichutko jak małe kociątko. Gathea pogłaskała go za uszami i wzdłuz szczęki.

-Dobrze jest. Budzi się.

-Do czego? - odparowałem. - Jeżeli dzięki iluzji uniknął tego - machnięciem ręki wskazałem płomień - dlaczego wzywasz go z powrotem?

Czułem suchość w ustach i marzyłem choćby o łyku wody z wiszącej mi u pasa manierki, ale nie chciałem marnotrawić tej niewielkiej ilości życiodajnego płynu, jaka tam pozostała. Pot lał się ze mnie strumieniami, ubranie i włosy lepiły mi się do skóry.

-Iluzji... - powtórzyła dziewczyna, nie przestając głaskać kota. - Wydaje mi się, iż ona jest główną bronią tej wrogiej nam mocy.

Spojrzała poza mnie na igrające języki ognia. Nie musiała wypowiedzieć słowami myśli, która przyszła jej do głowy.

-Może to jest iluzja - przyznałem - lecz dobrze utkana i nie możemy jej zniszczyć...

-Tak w gorze, jak i na dole... - powiedziała wtedy, ale nie zrozumiałem, o co jej chodziło.

-Iluzja - ciągnęła - oznacza konstruowanie z myśli zaczerpniętej z umysłu wroga lub ofiary. Później przyciąga się z innej

plaszczyny istnienia substancje tego, czego tamten najbardziej sie obawia albo pragnie, i ta osoba sama zamienia go w rzeczywistosc.

-Chcesz powiedziec, ze to my sami podsycamy te plomienie?

Skinela glowa.

-Robimy to dopoty, dopoki wierzymy w ich istnienie.

-A jesli nie masz racji i wokol nas sa prawdziwe plomienie?

-Nawet rzeczywistosc moze reagowac na moc. Mozna odeslac to, co zostalo przywolane. Czy sam juz tego nie udowodniles?

Zobaczylem krople potu splywajace po policzku Gathej. Pozniej Gruu podniosl glowe z jej kolan; wyschnieta juz lecznicza papka popekala na kawalki i odpadla, gdy otworzyl oczy. Wpatrzyl sie w dziewczynke i wydal dzwiek posredni miedzy mruzeniem a warknieciem.

Tak, moglem uznac przemiany, ktore widzialem na wlasne oczy, za dobrze utkana iluzje, ale to tutaj bylo czymś innym. Nie watpilem, ze jesli wyciagne reke, plomienie poparza mi cialo.

Moja towarzyszka przymknela znow oczy, wielki kot wydawal sie zadowolony z miejsca, gdzie drzemal. W blasku ognia zobaczylem poruszajace sie niemo usta mlodej czarownicy.

To igranie z umyslami! Nic dziwnego, ze moi pobratymcy z klanow trzymali sie z daleka od Madrych Kobiet, chociaz w duzym stopniu byli od nich zalezni. W owej chwili wolalbym miec za przeciwnika kogos, kogo mozna zobaczyc, kogos z mieczem

w garści, gotowego walczyć ze mną tak, jak to przyjęte.

I nawet nie mogłem być pewny, czy miejsce, w którym przebywaliśmy, znajduje się w naszym świecie. Z pewnością przeniesiono nas tutaj w sposób niedostępny dla takich ludzi jak my. A gdybyśmy pokonali ścianę ognia za pomocą czarów Gathej, co wtedy? Co zrobimy, jeśli się okaże, że nie jesteśmy w naszym świecie ani w naszym czasie?

Dziewczyna otworzyła oczy i wbiła we mnie gniewne spojrzenie.

-Przeszkadzasz! - powiedziała oskarżycielskim tonem. - Wciąż wierzysz! Och! - Wzięła pięścią w skale, na której przykucnęła. - Gdybym miała za towarzysza kogoś, kto nadawałby się do tego! A ty, ty wciąż walczysz ze mną. Ta twoja wiara nie w to, co trzeba!

Jej gniew udzielił się Gruu, który podniósł głowę i po raz pierwszy od wielu dni warknął na mnie.

Uraziły mnie jej słowa. Miała wobec mnie dług wdzięczności. Czyż nie powstrzymałem jej przed fałszywą Dians? Siegnąłem znowu po zaklętą czarę i podniosłem ją w nadziei, że znowu odetchnę zimnym, ostrym aromatem. Ale nic w niej nie było. Gathea spojrzała na mnie i zmrużyła z namysłem oczy. Zdawała się patrzeć na coś, co mogłaby wykorzystać lepiej ode mnie.

-Gdybys tylko więcej wiedzial...

-Wiec mi powiedz! - odparowałem.

Plomienie zbliżały się do nas coraz bardziej. Gathea odgarnęła z

czola mokre od potu wlosy.

-Nie moge spelnic twojej prosby. Nie sposob strescic calych lat nauki w kilku slowach wypowiedzianych tu i teraz!

Nagle drgnela, gdyz ognisty jezyk omal nie polizal jej reki i w jej oczach zobaczyłem blysk strachu.

-Moze nawet zabraknie nam czasu na te kilka slow - powiedzialem ponuro.

-Wladcy Mocy potrafia przenosic przedmioty z jednej plaszczyny istnienia na druga - odparla pospiesznie. - Patrza na cos i widza najskrytszy rdzen. Albowiem wszystko, kazda zywa istota czy martwy przedmiot, bylo kiedys mysla i w czesci nadal nia pozostalo. Ta mysl jest substancja, ktora widzimy na naszej plaszczynie, gdzie indziej istnieje zas w odmiennej postaci. Osoba wtajemniczona w Misteria Mocy moze odszukac taka mysl i zredukowac to, co pragnie przetransportowac, do jego poczatkow. Tego nas ucza...

-Czy widzialas, jak to sie robi? Gathea pokrecila glowa.

-Tylko ktos, kto posiadl ogromna wiedze, moze odnalezc najtajniejszy rdzen istoty lub rzeczy i posluzyc sie nim.

-To... - Wskazalem na plomienie, ktore znow pochylyly sie do wewnatrz. Bylem pewny, ze ognista sciana zbliza sie do nas. - ...jest ogien. Ogien rodzi sie z paliwa, drzewa, pewnych plynow, ktore pala sie szybko, jesli padnie na nie iskra. Co jest najtajniejszym rdzeniem ognia? To, co w nim sie pali?

W otaczających nas płomieniach nie widziałem ani śladu drewna, ani niecki na olej, którego używaliśmy do palących się długo lamp.

-To, co w nim się pali... - powtórzyła w zamysleniu Gathea. Później podniecenie rozjaśniło jej szczupłą twarz. - Tak, to możliwe, że paliwo dla tego ognia znajduje się gdzie indziej.

Nie wydała mi się ta myśl szczególnie pomocna, ale w młodej czarownicy obudziła nowe życie i nadzieje.

-Poczekaj! - Nachyliła się do przodu i wyciągnęła do mnie rękę. - Zaklęta czara... Czy masz trochę wody, którą mógłbyś do niej wlać?

-Bardzo mało.

-To musi wystarczyć. Ja nie mogę tego zrobić, ponieważ czara należy do ciebie i tylko ty możesz przywołać jej moc. Nalej do niej wody i trzymaj ją mocno. Potem weź mnie za rękę. Może Gruu również połączy swoją siłę z naszymi. Zrób to! To może być nasza jedyna szansa! Moja moc nie może działać sama.

Wlałem odrobinę wody, tyle, by tylko zwilżyć dno czary. Przykucnąłem, sciskając czarę w prawej ręce, lewą zaś ująłem dłoń Gathej.

-Teraz zamknij oczy, słuchaj i patrz! - rozkazała. - Tam jest ogień, w którym pali się chrust, taki jak na zamkowym kominku. A tu jest woda, cały strumień, i jej poziom podnosi się coraz wyżej i wyżej. Zobacz to! Musisz to zobaczyć! - dodała z naciskiem.



Ale kiedy zamknalem oczy, moj umysl sie zbuntowal. Nie moglem zbudowac takiego obrazu. Probowalem go stworzyc, ale ta nikla kopia zaraz zniknela.

Z daleka dobiegl mnie jakis glos... Nalegal, zadal, wiec wytezylem sluch. Nie, to byl obraz ognia, a nie glos. Tylko ze ow ogien rozpalono na lesnej polance. Ogien, w ktorym palil sie chrust - jak w kazdym myśliwskim obozowisku - ogien!

Cos sie we mnie obudzilo. Sila woli, o ktorej istnieniu nie wiedzialem. Wydalo mi sie, ze zarowno woda, jak i ogien przekształcily sie w energie, ktora mnie przepelniala. Moj blydy i drzacy obraz ognia ustabilizowal sie, moglem go utrzymac znacznie dluzej. Zobaczyłem nawet zagłębienie wśród skal, do ktorego wpadal strumien. Ogien i woda - odwieczni wrogowie!

Ogien i wypelniona woda niecka staly sie dla mnie calym swiatem. Poza nimi nic nie bylo, liczyl sie tylko to, ze widzialem je takimi, jakimi istnialy naprawde.

Nadal naplywala ku mnie sila, ktora najpierw pomogla mi rozjasnic wewnetrzny wzrok, tak ze zdolalem wyobrazic sobie ogien i strumien, a pozniej pozwolila posluzyc sie tym strumieniem i coraz wyzej podnosic poziom wody. Teraz niecka byla pelna wody i bardzo gleboka. Woda przelala sie w strone ognia!

Ogien blysnal i zgasl. Kurczowo trzymalem sie myslowego obrazu. Ogien tam byl, musial byc! Wtedy ognisko znowu zaplonelo. Kiedy skoncentrowalem sie na ogniu, woda z kolei odplynela. Nie, wodo, do gory, przez brzeg, w dol... Uniosla sie wielka fala i z pluskiem chlusnela na zewnatrz. Ale i ten obraz

zafalował. I po raz nie wiem już który pokrzepił mnie nieznaną siłą. Obraz znieruchomiał.

Woda spłynęła w dół, liznęła chrust, a potem go zalała. Plomienie zatrzeszczały, uciekły na konce polan, do środka ogniska, lecz woda i tam je odnalazła. Mój wewnętrzny obraz zachwiał się po raz ostatni, jakby ogień wiedział, że traci siły. Teraz woda napływała powodziową falą. Nie pozostał ani jeden plomyk, ani jeden zarzuty się wegielek. Przestałem myśleć o wodzie. Zniknęła. Ale zaraz... Czyżby przez chwilę odbiła się w niej głowa ukoronowana jelenimi rogami? Nie byłem tego pewny. Otworzyłem oczy i mój wzrok padł na czare. Zewsząd otaczał nas mrok, ściana płomieni zgasła.

Zamrugalem oczami. Jedynym źródłem światła okazała się słaba, powoli gasnąca poświata na boku czary. Gdybym nie czuł pod sobą twardego kamienia, pomyślałbym, że już umarliśmy. Mrok był tak gęsty i nieprzenikniony, jak we wnętrzu czarnej wieży, napierał, dusił. Gathea westchnęła w ciemnościach.

-To podziałało! - przerwałem milczenie.- Ogień zniknął. Ale jeszcze nie wróciliśmy do naszego świata, a może nadal przebywamy w siedzibie złej mocy?

Wyczuwałem wokół jakas inność, ale równie przytłaczająca jak Wielki Mrok. Kiedy zgasł rozpalony w moim umyśle ogień, zdałem sobie sprawę, że jeden krok to jeszcze nie podróż. Z ciemności dobiegł mnie głos Gathe i jej słowa jeszcze bardziej mnie zaniepokoiły.

-Nadal jesteśmy w pułapce - powiedziała. - To nie jest ani nasz czas, ani miejsce...

Nigdy nie dowiedziałem się, co chciała dodać, ponieważ w tej chwili otaczający nas mrok uległ przemianie. Poczulem, że coś nas wsysa, przyciąga z taką siłą, że zapiera mi dech w piersi. Jeknałem z bólu, usiłując napelnić powietrzem płuca. Moje palce sciskały jak żelazne kleszcze dłoń Gathej. W owej chwili nade wszystko obawiałem się, że nas rozdzieli, pozostawiając każdego swojemu losowi.

Własne ciało wydało mi się nieważkie, lekkie jak liść na wietrze. Zamknąłem oczy, gdyż nacisk ciemności, przez którą mkneliśmy, sprawiał mi ból. Coś nas przyciągało z coraz większą siłą, ale zarazem lekko otulało jakby siecią, która powoli zaciskała się wokół naszych ciał.

Po jakimś czasie wrażenie lotu minęło. Zawisliśmy w mroku. Wokół nas była tylko ciemność, nic nie widziałem. Czulem, że istnieje jakiś tego powód. Zdziwiło mnie, że tak szybko zdołałem wyczuć zamiary nieznanego. Nie otrzymałem przecież ku temu odpowiedniego wykształcenia, co ciągle wytykała mi Gatheja. Skąd w takim razie zaczerpnąłem wiedzę o rzeczach-których-nie-ma i o zasadach działania mocy?

Wisieliśmy, jak już powiedziałem, bezsilnie, czekając, aż pojawi się potrzeba, albo kaprys siły tak przekraczającej ludzkie zrozumienie, że nawet nie próbowałem odgadnąć jej natury. Z rzeczywistością łączyła mnie tylko ręka sciskająca dłoń Gathej. Miałem do niej tak wiele pytań, ale słowa weszły mi w gardło, zduszone przez napor mroku.

Mysle, że wtedy byłem bliski opuszczenia swego ciała, poszukania schronienia w śmierci. Rzecz jasna, jeśli siła woli można to osiągnąć. Słaba poświata okalająca twarz na zaklętej

czarze zgasła, może to stało się już podczas naszej niesamowitej podróży? Czulem ją w dłoni i wiedziałem, że, tak jak reka Gathej, jest złączona ze mną na dobre i na złe.

Raptem coś mnie gwałtownie szarpnęło i znowu polecielismy. Znowu mnie zmroził ów przeraźliwy chłód. Wydawało mi się, że przebijam się przez jakąś niesamowitą barierę. Zobaczyłem światło, słabe i szare, ale teraz nawet takie raziło moje oczy. Jego źródło znajdowało się pod nami, rosło i stawało się coraz jasniejsze, a my spadaliśmy ku niemu, podtrzymywani... Wola? Czyja wola i dlaczego?

Poczułem wstrząs, który gwałtownie szarpnął moim ciałem i oderwał od Gathej. Unosiłem się teraz jakby poziomo, jak ptak czy inna skrzydlata istota szybująca nad ziemią.

Przedemną, na brukowanej płaszczyźnie widniał wysrebrzony księżycem kamienny krag. W jego środku oslepiająco biały glaz jarzył się w bladej poświacie i ranił moje oczy. Chciałem je osłonić rękami, lecz żadna część mojego ciała nie słuchała poleceń umysłu. Na kamieniu leżała jakaś kobieta. Jej rozpuszczone włosy sięgały skraju bloku. Była naga i w pierwszej chwili pomyślałem, że jest martwa, gdyż w spoczywającej nieruchomo postaci nie dostrzegłem żadnych oznak życia.

W czterech rogach płaszczyzny stały kolumny z symbolami księżycy na szczycie - zupełnie jak w świątyni opodal doliny Garna. Pod każdą kolumną jakby falował wiotki kształt, na zmianę to przybierając ludzką sylwetkę, to tracąc ją. W miarę jak się zbliżałem, ruchliwe cienie gestniały i wydawały się bardziej cielesne.

Byli to mezczyzni, rownie nadzy jak lezaca na glazie kobieta. Kazdy trzymal dlugi kij. Bez przerwy poruszali sie przestepujac z nogi na noge, jakby maszerowali lub tanczyli w miejscu. Wyczulem tam fale rosnacego podniecenia; dosiegla takze i mnie probujac owladnac moim ciałem i umyslem.

Z zewnetrznego mroku wynurzył sie piaty cien, czarna plama szpecacy ksiezycowa poswiata. Tejze samej chwili zakleta czara ozyła w moich dloniach, pocieplala, stawala sie coraz goretsza, jakby napelniala sie gniewem i oburzeniem. I nagle, skads, splynela na mnie swiadomosc, o co w tym wszystkim chodzi.

Mialem stac sie orezem, narzedziem, ktorego Ciemnosc uzyje do wykucia czaru majacego wypaczyc Swiatlo. A ja bylem sparalizowany. I nie moglem walczyc.

Czarny cien ponizej wirowal i chwial sie w tancu. Zatrzymywal sie na chwile przed kazdym ze stojacych pod kolumnami mezczyzn i podnosil do gory kosciste ramiona, jakby cos przywoływal. Po takim kazdym kontakcie zmniennokształtne postaci przy kolumnach stawaly sie coraz bardziej realne, jakby otrzymywaly potezne dawki zyciowych sil. Przez caly czas naga kobieta lezala na oltarzu, zaczarowana lub gleboko uspiona, nic nie wiedzac, jak sadzilem, o tym, co sie wokol niej dzialo.

Niewidzialna sila sciagnela mnie w dol. Znalazlem sie tak blisko nagich mezczyzn, ze widzialem ich twarze - z wyjatkiem oblicza tanczacego cienia, ktory w kolejnych okrazeniach budzil Moc. Wyczuwalem, ze przeplywa obok mnie niczym bystry nurt rzeki.

Jezeli plasajacy w miejscu mezczyzni zobaczyli mnie nawet, nie dali nic po sobie poznac. Stalem teraz na bruku, w poblizu

srebrzystych kolumn ustawionych wokół ołtarza. Spojrzałem na głaz. To była Lynne!

Zniknęła gdzieś dziewczyna, która jechała w karawanie Garna. Zmieniła się w sposób, którego nie mogłem pojąć. Na jej ustach, czarnych teraz na tle wszechogarniającej bieli, igrał lekki uśmiech. Wydawało się, że spi i znajduje we śnie wielkie szczęście, którego ta niesmiała panna nigdy nie zaznała na jawie. Panna, którą znalazłem od dziecka i która unikała innych mężczyzn, może zastraszona przez ojca, że bała się podnieść oczy bez jego rozkazu.

Lynne! Ofiara. Nikt nie musiał mi tego mówić. Cokolwiek działo się w tej świątyni, nie miało nic wspólnego ze Światłem. Tu władał Mrok tak czarny jak miejsce, z którego mnie tutaj przeniesiono.

Stałem, trzymając czare w dłoniach. Robiła się coraz gorętsza, aż zaczęła mnie parzyć, jakby w jej wnętrzu plonął ogień. To była jej obrona przed tym, co miało się tu wydarzyć. Srebrna twarz jarzyła się, a z oczu tryskały świetlne włocznie.

Tanczący cieniem, którego postać skrywały powijaki nocy, odwrócił się od ostatniego już mężczyzny i podbiegł do mnie w podskokach. Miał na głowie kaptur i nie mogłem dostrzec jego twarzy. Zdawałem sobie jednak sprawę, że wiedział o moim przybyciu i był sprzymierzony z istotą, która mnie tutaj przetransportowała.

Chude ramiona ponownie uniosły się i opadły, a szerokie rekawy obszernej szaty zsunęły aż po barki, odsłaniając obciagniętą pomarszczoną skórę kości. Zakrzywione, starcze palce,

guzowate i wykoslawione, ponad ciałem uspionej dziewczyny siegnęły po zakletą czarę. Sciskałem ją mocno, wiedząc, iż tylko w moich rękach jest bezpieczna.

Postanowiłem się nie opierać temu, kto mnie tutaj przeniósł, gdyż nie miało to sensu. Cała moja wola skupiłem za to na utrzymaniu czary Lowcy.

Długie paznokcie wpily mi się w ciało; uwolniłem się gwałtownym i silnym szarpnięciem. Niewykluczone, że zaskoczyłem tym ruchem moc, która mnie wiezila, a może zakletą czarą obudziła we mnie siły, o których istnieniu nie miałem pojęcia.

Stwor, który chciał mi odebrać dar Gunnory, ponowił atak. W szamotaninie kaptur zsunął mu się z głowy i ujrzałem kobietę, która uosabiała wszelkie wynaturzenia niewieściej płci. Była bardzo stara i starzejąc się nie przestrzegła dobrych obyczajów i powszechnie przyjętych zasad. Dlatego na jej pobruzdzonej twarzy wyryły się dawne nienawisci i niewyobrażalne występki. Do prawie lysej głowy lepilo się kilka tłustych, siwych kosmyków.

A kiedy starucha splunęła na mnie i zakleła szpetnie, w jej ustach błysnęły tylko jeden lub dwa żółte zęby podobne do kłów Gruu.

Ta kobieta była potężna i wrogo nastawiona. Probując zabrać mi czarę okazała więcej siły, niż można by sądzić po jej koscistym ciele. Nie zdołała wyrwać mi tego talizmanu za pierwszym razem, okrzykła więc ołtarz ze spiąca Lynne i teraz szła prosto na mnie. Jej zapadnięte głęboko oczy plonęły nienawiscia zrodzona tak z chytrości, jak i z szalenstwa. Wyciągnęła ręce, żeby rozorac mi twarz długimi paznokciami.

Walka z moca, która mnie wzięła, przypominała brodzenie w piasku. Nie mogłem uchylić się przed skokiem staruchy, ani nie chciałem wypuścić z rąk daru Gunnory. Spróbowałem się więc osłonić ramieniem i barkiem, by wychwycić impet jej ataku.

Slina lśniła w kącikach jej ust, kiedy wykrzykiwała jakieś dziwne słowa. Ku mojemu zdumieniu zobaczyłem je. Chmura czerwonych i szarych symboli krążyła coraz niżej nade mną.

Wtedy właśnie odchyliłem do tyłu głowę i jak kiedyś zawolałem:

-Hej! Kurnusie! W Imię Twoich Rogów, wzywam Cię!

Wiedziała, jakby wpadła na niewidzialny mur, gdyż cofnęła się o parę kroków, chwiejąc się na nogach. Poruszała ustami i ślina ciekła jej po brodzie. Zaczęła pośpiesznie kreslić w powietrzu jakieś znaki, które także miały czerwone i czarne barwy Ciemności.

Czara w moich rękach była tak rozgrzana, że ledwie mogłem ją utrzymać. Podniosłem ją na wysokość ust, jakbym chciał się z niej napić. Ze srebrnych oczu były snopy światła jak groty włóczni.

Światłne pociski uderzyły w ubrana na czarno jedzie i napotkały opór, ugięły się więc na boki, zalewając kamienny ołtarz i spłaca na nim dziewczynę. Tam przemieszały się z poświęca księżycy i światło stało się jeszcze ostrzejsze i jasniejsze.

Starucha z niespotykana w jej wieku zrecznością odskoczyła do tyłu, wycofując się ze strefy blasku. Wrzasnęła, a ja, słysząc ten wrzask również w myślach, aż się skuliłem. Takiego bólu nie zdołałbym długo wytrzymać.



Nie ustapilem jednak. Nieznana sila, ktora dotad mnie wiezila, zniknela. Gdybym tylko zechcial, moglbym teraz odrzucic na bok czare i uciec, tym bardziej ze nie mialem pojecia, w jakiej to dziwnej batalii uczestnicze. Wiedzialem jednak, ze nigdy tego nie zrobie. Nie ruszyłem się z miejsca, podczas gdy wydobywające się z czary światło zalewało coraz większą przestrzeń.

Wiedzma cofała się krok za krokiem, aż znalazła się na skraju bruku. Zatrzymała się tam, dostrzegłem wtedy lekki ruch jej głowy: na chwilę przeniosła wzrok na uspioną dziewczynę. Skorzystałem z tego i zaatakowałem. Jednym susem znalazłem się między starucha a lynne. Katem oka zerknąłem na stojących pod najbliższymi kolumnami mężczyzn. Może rzuci się na mnie na rozkaz czarownicy? Byli nadzy i uzbrojeni tylko w długie kije. Ale ktoż wie, jaka niewidzialna broń władają?

Ci, których widziałem, zachowali bierność. Nie opuszczali stanowisk i nadal przestępowali z nogi na nogę. Wpatrywali się przed siebie, jakkolwiek nie mogłem być pewny, czy nie obserwowali lynne.

Świetlny pocisk pomknął w moją stronę. Znow podniosłem czarę. Ochronny blask wytrysnął nie tylko z oczu Pana w Rogowej Koronie, lecz także wylał się z wnętrza naczynia, tworząc zasłone oddzielającą mnie od wiedzmy. Tymczasem świetlna kaluża na bruku rozszerzała się coraz bardziej i ogarnęła stopy najbliższego mnie mężczyzny. Dopiero wtedy spostrzegłem, co się dzieje. Zrobił polobrot i spojrzał na rozjarzony strumień omywający mu nogi.

Jego twarz, dotychczas bardzo przystojna, teraz wykrzywiła się

odrazajaco. Ciało skurczyło się i pochyliło, jakby przypiekane w ognistym piecu. Wydal z siebie zwierzęcy wrzask bólu, gdy jego kij zaplonał srebrzystym ogniem. Odrzucił go od siebie.

Na miejscu urodziwego mężczyzny kulił się wlochaty, garbaty stwor o wielkiej zabiej gębie. Na próżno skakał i podrygiwał usiłując uciec przed świetlną powodzią.

Drugi z mężczyzn także stracił ludzki wygląd - stał się ogromnym ptakiem o zakrzywionym dziobie drapieżnika, podobnym do Skrzydel Orda, które nekaly nas w dolinie Garna, lecz znacznie od nich większym.

Czarownica zrobiła następny krok do tyłu, poza brukowaną płaszczyznę, i tym samym uniknęła kontaktu ze światłem. Pelznacy blask zatrzymał się na skraju bruku. Starucha przyczaiła się, jakby szykując się do skoku przez rozjarzone rozlewisko. Choć odparłem jej atak, wcale nie uznała się za pokonana ani nie zrezygnowała ze swoich planów.

Poruszała ustami mamroczać coś bezgłośnie, potem podniosła ręce i klasnęła tak głośno, jakby w to miejsce uderzył piorun.

I zniknęła!

Oparłem się o jasniejszy glaz. Oba szamoczące się pod kolumnami skulone potwory nie mogły ruszyć się z miejsca. Odwróciłem się ku pozostałym dwóm. Biała poswiata pelzła również w ich kierunku, ale nie zdołała ich uwiezić. Wprawdzie nie dali po sobie poznać, że dostrzegają grożące im niebezpieczeństwo, lecz nagle zniknęli, tak jak przedtem ich pani.

Uznałem, że bezpośredniego niebezpieczeństwa już nie ma i oparłem się o jasniejący ofiarny ołtarz. Byłem pewny, iż powrócę do naszego świata. Nie wiedziałem tylko, gdzie dokładnie się znalazłem. Na pewno to nie była świątynia leżąca w pobliżu doliny Garna. I gdzie są Gathea i Gruu? Czy pozostali tam, poza czasem i przestrzenią, we władzy pana czarnej wieży? Jeśli tak, to jak ich tutaj sprowadzić?

Usłyszałem za sobą westchnienie. Odwróciłem się błyskawicznie, Lynne uśmiechała się lekko i miała rozmarzone spojrzenie, jakby obudziła się ze snu, który nie powinien przysnąć żadnej pannie.

## Rozdział XVI

-Lynne! Pomyślałem, że natychmiast musimy się stąd wydostać. Miałem już dość tego miejsca, gdzie walczyły ze sobą nieznane moce. Czara, którą ścisnąłem w dłoniach, była chłodna i matowa. Nawet twarz na jej boku pociemniała, ukrywając moc, która tak się nieudolnie posłużyła.

Dziewczyna podniosła się z ołtarza. Poruszała się jak lunatyczka, powoli, sennie. Obudzona z głębokiego snu, jeszcze w nim tkwiła i niejasno dostrzegała otoczenie. Usiadła na kamiennym bloku.

Przesunęła rękami od piersi w dół, zatrzymując dłonie na brzuchu, jakby krył się tam bezcenny skarb. Nie patrząc na mnie, zaczęła nucić kolysankę. Cofnęła się w przeszłość, dawno temu niania Lynne ta piosenka ją usypiała.

-Dokonało się... - Wciąż mnie nie dostrzegała; może zapatrzyła

sie w siebie, a moze spogladala w dal, na obiecana jej przyszlosc, wspanialsza niz ksiezycowa poswiata oslaniajaca jej smukle cialo. - Dokonalo sie! Bog przyszedl do mnie i urodze jego dziecko. Dziecko, ktore bedzie potezniejsze od największego wodza... potezniejsze... znacznie potezniejsze... - Urwala i znow zanucila kolysanke.

Czyzby zupełnie stracila rozum? Ostroznie postawilem na ziemi zakleta czare, zdjalem z ramienia zwinieta podrozna oponcze. Jednym potzasnieciem ja rozwinalem i zarzucilem na ramiona lynne. Dziewczyna nadal siedziala nieruchomo na oltarzu, usmiechajac sie do siebie lekko i oslaniajac dlonmi nowe zycie, ktore, jak wierzyła, poczelo sie w jej ciele.

-Syn... ktory wtedy, gdy nadejdzie pora, przywola Wielkie Sily, ktory ujmie moc w rece i uczyni z niej orez potrzebny w owej godzinie. Wielce zostalam uhonorowana...

-lynne!

Swiadomie podnioslem glos i ostro krzyknalem. Chcialem obudzic ja z marzen. Musi koniecznie zdac sobie sprawe, gdzie sie znajduje i ze ja z nia jestem! Otworzyla szerzej oczy. Iluzja pozostala po niezwyklym snie, prysnela.

-Elron! - Nareszcie mnie rozpozнала. Pospiesznie okrecila sie ciasniej oponcza. - Ale... - Rozejrzala sie dookola, jakby wzrokiem szukala jeszcze kogos. Wtedy to zobaczyla monstra ledwie szamoczace sie pod kolumnami, uwieziane w powodzi swiatla. Ich widok nia wstrzasnal. Wrzasnela glosno i piskliwie.

-Elronie! Co to?! - Zadowolenie i spokoj malujace sie dotad na jej

twary ustapily miejsca strachowi i obrzydzeniu. - Tam jest... -  
Uniosla lekko glowe i jej nozdrza rozdely sie. - ...tam jest zlo! Nie  
moze mnie dotknac! Nosze w lonie boga, boskiego syna, wladce  
Mocy!

Zgramolila sie z oltarza i odbiegla kilka krokow, chcac sie oddalic  
od potworow, ktore sapaly i wydawaly okrzyki oslupienia i  
wscieklosci. Przyjrzałem sie ciemnosciom okalajacym Swiatynie  
Ksiezyca. Mimo ze starucha zniknela mi z oczu, nie mogłem  
uwierzyc, by tak latwo dala za wygrana. Tam moglo sie czaic  
doslownie wszystko.

-Elronie! - lynne, przytrzymujac oponcze jedna reka, druga  
chwycila mnie za ramie. - Zabierz mnie stad!

-Poczekaj, tylko sie upewnij, czy nic tam na nas nie czyha. - Tak  
mocno zacisnela palce, ze nie mogłem strzasnac jej reki.  
Trzymajac przed soba czare jak wyciagniety miecz - a w tym  
miejscu okazala sie orezem potezniejszym od najlepszego  
brzeszczotu - chylkiem odszedlem od oltarza. Katem oka  
obserwowalem szamoczace sie bestie, upewniajac sie, czy nie  
wrocili ich towarzysze.

Wokol wyczuwalem dziwna lekkosc i pustke. Czy to znaczylo, ze  
sie uwolnilem, chocby na krotko, od mocy, ktora mnie tutaj  
przyslala? Mogłem tylko miec taka nadzieje.

lynne trzymala sie mnie kurczowo, ale bez ponaglania starala sie  
isc ze mna w noge. Bez przeszkod dotarlismy na skraj  
blyszczacego bruku. Cofnałem sie o krok, przyciagnalem  
dziewczyne do siebie, a pozniej wpatrzylem sie w mrok. Gdy  
oczy, oslepione blaskiem Swiatyni Ksiezyca, przywzlykly juz do

ciemności, zobaczyłem, że ten przybytek otaczają, zwrócone na zewnątrz jak szprychy koła, niskie, kamienne budowle.

Na polu oczekiwałem, że zobaczę tam ludzi obserwujących ceremonie, która tak brutalnie przerwałem moim przybyciem. Lecz nic się nie poruszyło. Było to martwe, dawno opuszczone miejsce, w którym była tylko sama świątynia. Wtedy Lynne zawróciła. Pospiesznie chwyciłem ją za ramię.

-Raidhan! - zawołała. - Gdzie ona jest? Dlaczego odeszła?

-Cicho bądź! - warknąłem gniewnie. Jej głos odbił się echem od pustych budowli. Nie mogłem uwierzyć, byśmy byli tu sami. Należało zachować ostrożność.

-Puść mnie! Raidhan! - znów zawołała na cały głos. Nie wiedziałem, jak ją uciszyć. Mogłem tylko zakneblować jej usta skrajem oponczy, ale musiałbym odstawić zaklętą czarę. Nie odważyłem się jej wypuścić z ręki, gdyż nauczyłem się już ufać jej bardziej niż jakiegokolwiek innej broni. Poza tym obawiałem się, że jeśli teraz uwolnię Lynne, ucieknie ode mnie. Nie miałem ochoty szukać jej po nocy wśród tych ciemnych, pustych i ponurych budynków.

-Odeszła. - Udzieliłem jej jedynej możliwej odpowiedzi. Jeżeli tak nazywała się wiedźma, która wypędziłem ze świątyni z pomocą daru Gunnory, to powiedziałem prawdę. - Posłuchaj! - Potrząsnąłem nią lekko. - Widziałas tamte potwory przy kolumnach, czyż nie tak? Tutaj mogą krążyć podobne do nich monstra. Czy chcesz je nam ściagnąć na kark?!

-Nie rozumiem, o co ci chodzi - odrzekła z irytacją. - Co tutaj

robisz? Raidhan powiedziała, że bog mnie posiadzie i że jego moc narodzi się na nowo z mojego ciała. Świątynia Księżyca przyciągnęła mnie tu tylko w tym celu. Bog przybył i posiadał mnie...

Musiałem szybko znaleźć odpowiednie słowa.

-To ci się tylko przysniło. Na pewno dostałaś jakiś środek odurzający i miałaś dziwny sen. Nie przybył tu żaden bog. Świątynia Księżyca do niego nie należy. - Miałem nadzieję, że wszystko rzeczywiście tak przebiegało. Nie wiedziałem przecież, co się naprawdę wydarzyło, zanim trafiłem w sam środek tej ceremonii. Ponadto byłem przekonany, że obrzęd został przerwany. Czy tamte potwory, które na jakiś czas przybrały ludzką postać, miały splodzić z Lynne coś jeszcze potężniejszego i straszniejszego? Chyba właśnie taki był cel tych obrzędów.

-Pusc mnie! - Wyla się jak wąż w moim uścisku, nie możesz znać prawdy. Raidhan powiedziała mi...

Na szczęście była słabsza od Gathej i mogłem ją przytrzymać nawet jedną ręką.

-Jeżeli Raidhan to tamto ubrane na czarno, kosciste babsko - odparowałem - to rzeczywiście odeszła. Mam nadzieję, że daleko. Powinnismy zrobić to samo...

Lynne szamotała się jak szalona. Musiałem wsunąć czare za pazuchę i użyć obu rąk. Dopiero wtedy zdołałem ją obezwładnić, choć plula i płakała, i poprowadzić ze sobą. W głębi duszy miałem nadzieję, że jej krzyki nie ściagną nam na kark wrogów.

Droga, która szliśmy, była brukowana, a zbudowane przy niej budynki niskie, bez okien, z małymi, ciemnymi otworami zamiast drzwi. Prowadziła pod górę i mineliśmy trzynastę domów, zanim wyszliśmy na otwartą przestrzeń.

Lynne wreszcie zamilkła, tylko poplakiwała sobie cicho i ten szloch wstrząsał całym jej ciałem. Była bardziej wrażliwa i wzięta niż sądziłem. Dopiero wtedy przyszło mi na myśl, że powłoczy nogami nie dlatego, iż chciała pozostać w świątyni, lecz z powodu osłabienia i wyczerpania. Nagle potknęła się i upadła na mnie, a jej głowa oparła się na moim ramieniu. Jej ciało zwiotczało i osunęła się bezsilnie.

To mógł być podstęp. Trzeba było jednak wykorzystać szansę i oddalić się co prędzej od tego złowrobnego miejsca. Wziąłem Lynne na ręce i jak najszybciej ruszyłem dalej. Droga wiodła cały czas pod górę. Zatrzymałem się na odpoczynek dopiero po jakimś czasie. Postawiłem Lynne na ziemi i tuląc ją do siebie odwróciłem się, by spojrzeć w dół.

Świątynia Księżycy nadal świeciła jasnym blaskiem, ale stojących pod kolumnami poczwór już nie zobaczyłem. Nie zauważyłem też żadnych świateł ani ruchu w martwej osadzie. Domy były ciemne, a przejścia między nimi zupełnie puste.

Lynne przestała już płakać i tylko wzdychała cicho. Wisiała bezwolnie w moich ramionach, jakby opuściły ją siły. Obejmując ją ramieniem ruszyłem dalej.

Niewyraźna, biała linia drogi ginęła w ciemnościach. Księżyc świecił jasno i w jego blasku dostrzegłem wokół bujną roślinność. W półmroku widziałem liczne kepy drzew, ciemniejące zagajniki,



może las. Kępy krzaków rzuciły wyolbrzymione cienie, którym przyglądałem się z rosnącą nieufnością. Wyobrażenia zbyt szybko ukazywały mi obrazy, których lepiej było wcale nie oglądać. Wprawdzie drogi mogły strzec złe moce, doszedłem wszakże do wniosku, że teraz bezpieczniej jest nią wędrować niż na przelaj otwartą przestrzeń.

-Czy możesz iść? - zapytałem Lynne. Nie pójdę dalej mając zajęte obie ręce, byłoby to czyste szalenstwo. Nie zamierzałem też pozostawać na środku drogi. Wciąż byliśmy zbyt blisko niebezpiecznej świątyni.

-Nie miałes prawa tego robić! - Lynne nieoczekiwanie krzyknęła i uderzyła mnie, a przy tym ruchu oponcza zaczęła się z niej zsuwać. Jęknęła, złapała ją niezdarnie i otuliła się w nią pośpiesznie. - Raidhan przybędzie po mnie, nie pozwoli minie zabrać.

-Czy możesz iść? - powtórzyłem, nie zwracając uwagi na jej ostrzeżenie. Już wcześniej przyszło mi to do głowy.

-Tak - odparła niechętnie. Ale jeśli sądziła, że ja puszcze, że zdola mi się wymknąć i wrócić do Świątyni Księżyca, była w błędzie. Trzymając ją ręką za ramię, poprowadziłem Lynne przed sobą. Przez cały czas musiałem ją lekko popychać.

Szliśmy w milczeniu. Lynne już nie sprawiała mi kłopotów, zwracałem zatem więcej uwagi na pola rozciągające się po obu stronach drogi, wypatrując najmniejszego ruchu. Ale tylko wiatr szeleścił w galeziach drzew i krzewów i muskał wysoką trawę.

-Dlaczego po mnie przybyłeś? - To pytanie zaskoczyło mnie

troche. Przywykłem już bowiem myśleć o mojej kuzynce jak o brzemienu, które trzeba nieść, a nie o żywym człowieku.

Dlaczego? Wyruszyłem w nieznane, ponieważ miałem wobec pana Garna dług do spłacenia - za moja głupotę. Nie odnalazłem Lynne. Po prostu trafiłem na nią. Dlaczego siły, których może nigdy nie zdołam zrozumieć, sprowadziły mnie tutaj? To miejsce nie było moim celem.

-Jestem teraz bezimiennym banita - odpowiedziałem. - Pan Garn sprawiedliwie mnie ukarał. Gdybym nie zmilczał, że odwiedzałaś świątynie na wzgórzu, może byś się tu nie znalazła.

Długa chwila milczała. A gdy znowu się odezwała, powiedziała bardzo cicho:

-Wiec przybyłeś tutaj, żeby zmyć plamę na honorze, jak powiedziałby wasal. - Nie przemawiała jak Lynne, która znałem. W jej głosie brzmiała szydercza nuta.

-Jak wiesz, nie jestem już wasalem, ponieważ banita nie może być człowiekiem honoru - odparłem. Uchybiłem moim obowiązkom, a tego nie można wymazać.

-Chcesz więc zabrac mnie z powrotem... do tych, którzy nie patrzą dalej niż na trudy swoich rak, którzy nie władają mocą i nawet nie wiedzą, że naprawdę są polgłówkami. - Mówiła piskliwie i coraz głośniejsze. - Nie jestem niewolnicą, z którą możesz zrobić, co zechcesz, ani głupim i bezwolnym stworzeniem. Jestem... - Umilkła, a jej energiczny protest wywarł na mnie takie wrażenie, że zapytałem:

-Kimże więc jesteś, panienko lynne?

Zaskoczył mnie jej głośny śmiech. Później odparła szyderczo:

-Zaczekaj i sam zobaczysz, banito. Wtraciłeś się do spraw, których nie powinieneś być tykac, bez względu na to, jak daleko i wysoko mierzysz. Nasze teraz w łonie - tak, ja, dziewica - nasze w łonie dziecko! Przyszłego władcy mocy, mocy tak wielkiej, ze zostanie panem tego świata. Jestem wybranka boga! Nie możesz mnie stąd zabrać. Spróbuj, a sam zobaczysz! Jestem teraz cząstką największej siły tej krainy...

Pomyślałem o starej wiedźmie i o rzucanych przez nią przekleństwach, o dwóch potworach, które światło czary uwięziło w świątyni. Ich wszystkich łączyło jeśli nie pokrewieństwo, to co najmniej przymierze z mieszkańcem czarnej wieży. Nie potrafiłem znieść myśli, że lynne cieszyła się, iż posiadała ja tak wielkie zło. Musi znajdować się pod wpływem czarów, przecież dobrowolnie nie wybrałaby Ciemności?!

Zwolniłem kroku, wyjąłem zaklętą czarę i zwróciłem ją tak, żeby moja kuzynka mogła spojrzeć na twarz Pana w Koronie z Jelenich Rogów. Lśnił tak jasno w blasku księżyca, jakby zimny metal wyczuł moje zamiary i chciał mi pomóc.

-Czy wiesz, kto to jest, lynne?

-Tak, to jest Kurnus, Łowca. Ale co ty masz z nim wspólnego, Elronie? - zapytała z zaskoczeniem. - On jest strażnikiem i opiekunem Księżycowej Pani. To ona mnie przywołała i na jej rozkaz stałam się tym, kim jestem...

Nie, tamten obrzed, ohydny jak smrod zlych mocy, na pewno nie dotyczyl Dians, ktora czcila Gathea, ani Gunnory czy Lowcy Ukoronowanego Rogami. Ktos znieksztalcil, wypaczyl jakis rytual, by schwytac w pulapke lynne. Dla naszego wspolnego bezpieczenstwa nalezalo sie dowiedziec, jak gleboko tkwila w tym wszystkim.

-Czy to Dians cie wezwala? - spytalem.

-Dians? - powtorzyla, jakby nigdy dotad nie slyszala tego imienia.  
- Kto to jest Dians? Mnie wezwala Raidhan, Najstarsza z Trojcy, wladczyni Ciemnego Ksiezyca. Ona jest Madra Pania, ktora ozywi Wielkiego Pana. Przywolala mnie, zebym stworzyla cialo, ktorym On bedzie mogl sie posluzyc.

-A czy Gunnora rowniez do ciebie przemowila? - pytalem dalej.

-Dians, Gunnora! - W jej glosie zabrzmialo rozdraznienie. - To imiona, ktore nic nie znacza. Skad je znasz, banito? Ach, zapomnialabym o najwazniejszym! Dlaczego nosisz czare Rogatego Lowcy?

-Podarowano mi ja. Posluchaj, lynne, wpadlas w rece zlych mocy. Dians i Gunnora sa prawowitymi wladczyniami ksiezyca. To ich wladze uzurpowala sobie twoja Raidhan. Czy kiedy zobaczylas tamte potwory w swiatyni, nie zrozumialas, ze masz do czynienia z Ciemnoscia?

-W glowie ci sie pomieszalo! - wrzasnela piskliwie. - To ty zadawales sie z Ciemnoscia, nie ja! Mowie ci, ze mnie wezwano, ze zostalam wybrana. Spedzilam te noc w ramionach Wielkiego Pana. Jestem jego ukochana, wybranym przezen naczyniem...

Wtedy omal się nie uwolniła. Odwróciła się gwałtownie i spróbowała podrapać mi twarz. Nie byłem na to przygotowany i w rekach pozostała mi tylko oponcza. Rzuciłem się do przodu, przycisnąłem jej ramiona do boków i trzymałem tak blisko siebie, że zobaczyłem grymas strachu i wstretu na jej twarzy.

-Nie będę z tobą dyskutować. - W tej chwili zrozumiałem, że nie przekonają jej żadne argumenty. Gahea... Gruu... Oddałbym miecz, żeby znów byli przy mnie. Wciąż nie dawała mi spokoju myśl, że złe moce nadal ich wiążą w tamtym mrocznym miejscu, na innej płaszczyźnie istnienia. - Chodzi o to, że jesteśmy zupełnie sami w krainie pełnej czarodziejskich zasadzek - ciągnąłem. - Musimy trzymać się razem, gdyż inaczej zginiemy.

Lynne opuściła ręce i potoczyła spojrzeniem wokół. Księżyc świecił tak jasno, że zobaczyłem, jak przez jej twarz przemknął cień przerażenia.

-Ja byłem bezpieczna. Ja jestem bezpieczna! Raidhan i tak mnie znajdzie! - zawołała. Ale w jej głosie już zabrakło poprzedniej pewności siebie.

Odniosłem wrażenie, że zrezygnowała z dalszej walki ze mną, ja zaś nie chciałem tkwić tu na środku drogi, która wiodła prosto do miejsca, które może kiedyś było Świątynią Księżycy, lecz teraz stało się siedliskiem zła. Chwyciłem dziewczynę za ramię, rozkazałem iść dalej. Nie protestowała. Potrzebowałem jakiegoś schronienia. Wszystko, przez co przeszedłem, choć obecnie przypominało koszmarny sen, bardzo mnie zmęczyło. Jeśli znajdzie dobre miejsce na obozowisko, czy spokojnie zasnąć, pewien, że Lynne nie ucieknie? Może będę musiał związać jej ręce i nogi. Nie widziałem w tym nic niewłaściwego, zwąwszy,

czego byłem świadkiem w opustoszałej świątyni.

Droga przed nami skrecała, omijając lancuch pagórków niezwykle przypominających mi kurhany, jakie w naszej dawnej ojczyźnie wznosili panom, którzy zapewnili im bezpieczne życie. Może się nie myliłem i w tym kraju żyli niegdyś wielcy wojownicy i sławni wodzowie?

Wiatr, który dotąd nieustannie szeleszczał w wysokiej trawie i w galeziach drzew, zmienił teraz kierunek. Dał bardziej z prawa, z zachodu, przynajmniej tak osadziłem na podstawie położenia gwiazd. Niosł ze sobą znajoma won, ostra i świeża... Taka sama kiedyś rozchodziła się z zaklętej czary! Instynktownie zwróciłem się ku niemu, szukając czegoś - sam nie wiem czego - co mogło okazać się wiezią łączącą mnie z Panem w Rogowej Koronie. Tak mnie oszłomily wszystkie przejścia, że gotów byłem przyjąć jako przewodnika nawet zapach.

Waska ścieżka oddzielała się od drogi i wijąc się między kurhanami biegła na zachód. Czy powinniśmy nią pójść, mając za wskazówkę tylko zapamiętany aromat? Kiedy zatrzymałem się przy ścieżce, zobaczyłem przecinające ją czarne cienie mogił.

lynne znowu stawiała opór.

-Dokąd idziesz? - zapytała. Wydawało się, że były w niej dwie osoby: nad uległa i posłuszna dziewczyna z Domu Garna znacznie częściej jednak brała górę inna, wrogo do mnie nastawiona, spragniona niezwykłości i pierwszych doznań swobody.

Miałem rację, zapach, którego szukałem, był mocniejszy w

dolinie między pagórkami. Trzymając lynnę tylko jedną ręką, drugą wyjąłem czare i odruchowo zwróciłem obliczem Lowcy w stronę ścieżki.

Tak bardzo przywykłem, że pomagają mi lub przeszkadzają siły przekraczające ludzkie zrozumienie, iż zgola się nie zdziwiłem, gdy srebrne oczy znów ożyły. Dwa snopy słabego światła strzeliły ku wzgórzom. Mogło to być gigantyczne cmentarzysko z grobami dawno zmarłych wodzów, a może nawet całych armii, które walczyły tu ze sobą i pogrzebały zabitych na polu bitwy.

Lynne westchnęła szybko z wrażenia i już się nie sprzeciwiała, kiedy sprowadziłem ją z gładkiej, brukowanej drogi na wydeptaną w trawie ścieżkę, taką jak szlaki, do których już się przyzwyczailem.

Nad nami przemknął jakiś cień. Zatrzymałem dziewczynę i tuliąc ją do siebie, spojrzałem w górę. Szybowała tam jakaś duża skrzydlata istota - przypomniałem sobie warka, z którym walczyłem i którego nie mogłem zabić. Przeleciała nad nami, nie zwracając na nas uwagi. Nie dostrzegłem dokładnie kształtu, ale wyglądała jak prawdziwy ptak. Nieznany stwor leciał prosto i nagle skreślił w bok nad najbliższym kurhanem, jakby wpadł na jakąś niewidzialną przeszkodę. Dodała mi otuchy myśl, że coś go odpedziło, chociaż nie wiedziałem, co właściwie się wydarzyło. Kiedy zniknął w oddali, ruszyłem tak szybko, jak mogła iść lynnę, chociaż skarżyła się, że kamienie ranią jej stopy i że nie mamy po co się spieszyć.

Ścieżkę, którą szliśmy, najwidoczniej wydeptano już po usypaniu mogił. Właśnie mijaliśmy jeden z kurhanów, na którego szczycie stały wielkie kamienne bloki. Strzelala z nich ku niebu smuga

niebieskawe mgły, której blask był za słaby, by rozjaśnić nam drogę.

Musielismy szybko znaleźć jakieś schronienie. Dokuczał mi głód i pragnienie. Nie wiedziałem, jaki jest stan mojej kuzynki, ale gdy się zachwiała, zabrakło mi już sił, by ją unieść.

W końcu dotarliśmy do wyższego od innych kurhanu, zwieńczonego wielkim głazem. Z czterech rogów tego kamienia bila słupami w niebo niebieskawa poświata; przypominało mi to świece ustawiane przy śmiertelnym łozu naszych wodzów. Nie widziałem w pobliżu innego bezpiecznego miejsca.

Ze szczytu tej mogiły będziemy mogli rozejrzeć się po okolicy, a poza tym emanowała stąd aura prawości. Ten człowiek od dawna nie żył, lecz jego grób miał własne zabezpieczenia i ci, którzy myśleli tak samo jak umarli, mogli się do nich odwołać w razie potrzeby.

Lynne sprzeciwiła się mojej propozycji obozowania na szczycie kurhanu twierdząc, że - jak wszystkim wiadomo - duchy zmarłych gniewają się, jeśli żywi wdzierają się na miejsce ich ostatniego spoczynku. Ale kiedy dziewczyna znowu spróbowała się uwolnić i czara zakolysała mi się w reku, blizniacze światła czaszy nie tylko zwrocily się w stronę kurhanu, ale nawet się wzmocniły. Lynne skuliła się i owinęła oponczą, jakby chciała osłonić się przed ciosem. Nic więcej już nie powiedziała, tylko na mój rozkaz zaczęła się pisać po zboczach.

Szczyt kurhanu wyrównano i na środku umieszczono wielki kamień. Gdy się do niego zbliżyliśmy, wysokie niebieskie płomienie nachyliły się ku zaklętej czarze jak skierowane



wiatrem.

Moja kuzynka krzyknęła, padła na kolana i ukryła twarz w dłoniach, a zmierzwione długie włosy okryły ją drugim płaszczem. Stałem obok, nasłuchując, ponieważ z ciemności dobiegły mnie dalekie, bardzo ciche dźwięki. Usłyszałem szcęk miecza uderzającego o miecz, zgrzyt brzeszczotu, który natknął się na tarczę, krzyki triumfu i rozpacz. A później wszystko zagłuszył głos rogu, rogu Lowcy, a nie jakiegoś wodza dającego hasło do bitwy. Opanowało mnie silne podniecenie, zapomniałem o zmęczeniu, głodzie i pragnieniu. Jedną ręką uniosłem do góry czarę, drugą zaś wyciągnąłem miecz; nie wiedziałem, czemu to robię. Nie szykowałem się do walki. Nie musiałem - gdyż wrogowie, którzy tu kiedyś przybyli, dawno odeszli i pozostało tylko uczucie triumfu, radosne i silne jak światła płonące na szczycie kurhanu. Dotykając ustami rekojesci miecza podniosłem go wysoko, jakbym oddawał cześć wodzowi i swemu władcy.

Nie miałem pojęcia, komu w ten sposób złożyłem hold, czułem tylko, że postąpiłem właściwie. Wokół mnie tancyły niebieskie płomienie, a czara Lowcy świeciła jasnym blaskiem.

A potem nastąpiła cisza, jakby wszystkie dźwięki zdmuchnął ciepły wiatr, który przyniósł mi zapach wina Pana w Rogowej Koronie. Ogarnął mnie żal, poczucie ogromnej straty i z całej duszy zapragnąłem pojsć dalej, odnaleźć tych, którzy krzyczeli, oraz Tego, Który Dał w Rog. Ale jeszcze nie nadeszła moja godzina, zostałem więc sam.

Powoli wsunąłem miecz do pochwy. Niebieskie płomienie przygasły. Inne podniosła głowę i utkwiała we mnie wzrok. Oczy

miała szeroko otwarte, a na jej twarzy malowało się zdumienie i strach.

-Kim jesteś? - zapytała.

-Jestem Elron, banita, chociaż... - powiedziałem jej prawdę, ale zaraz urwałem, gdyż uswiadomilem sobie, że gorczy wygnania ulotniła się w jakiś sposób podczas pełnej przygod wędrowki na zachód. Spojrzałem teraz na tamtego Elrona i wydał mi się bardzo młody i niedoświadczony.

Wprawdzie wiedziałem niewiele więcej od niego, lecz zdawałem sobie sprawę z własnej niewiedzy, a to było już wielkim krokiem naprzód.

Lynne odgarnęła włosy z twarzy. Przykucnąwszy obok niej, postawiłem na ziemi manierkę i wyjąłem z sakwy resztki żywności. Jadła chciwie, nie skarząc się, że pokarm zleżały, a woda nieswieża. Przyswiewał nam księżyc i wielkie znicze. Każde z nas rozmyślało o swoich sprawach, ja - o Gathe i Gruu...

Po skończonym posiłku ująłem oburącz srebrną czarę, uniosłem ją na wysokość piersi i spojrzałem w nią jak w okno albo zwierciadło. Skupiłem rozwój myśli na dziewczynie, która była ze mną w czarnej wieży. Ze wszystkich sił starałem się ożywić jej myślowy obraz, tak jak przedtem, w tamtym świecie, stworzyłem wizję walki ognia i wody.

Jakże trudno było utrzymać jej obraz. Trwał przez chwilę, a później zniknął. Zamysliłem się; zrealizowałem cel, który sobie wytknąłem na początku wędrowki. Lynne była ze mną, Gathe zaś dobrowolnie wybrała inną drogę. Nie mieliśmy wobec siebie

zadnych zobowiazan. Nie, wcale tak nie jest - krzyknela jakas czastka mej istoty. Nie znajdziesz spokoju, dopoki sie nie upewnisz, ze powrocila do swiata ludzi i ze moze spelnic swoje pragnienie. Nie znajde spokoju... - Tak, to byla prawda.

## Rozdzial XVII

-Elronie!W pierwszym momencie pomyslam, ze to wola ktos obcy, gdyz nigdy nie slyszalem takiej nuty w glosie lynne. Moja towarzyszka kleczala, wpatrujac sie w majaczace w mroku kurhany, oswietlone slabym blaskiem niezwyklych zniczy.

Ksiezyc zachodzil, jego poswiata przygasala. lynne wskazala na zachod. Teraz i ja zauwazylem sylwetki przeslizgujace sie miedzy mogilami, widoczne tylko wtedy, gdy mknely od jednego cienia do drugiego. Zaniepokoilam sie, gdyz wydalo mi sie, ze okraza nas tlum liczny jak druzyna wodza klanu. Wyjatkowo trudno bylo je dostrzec, nawet widzac ich upodobanie do mroku. Dlatego nie wiedzialem, czy mamy do czynienia ze stadem duzych drapieznikow, ludzmi, a moze jakimis innymi istotami wypuszczonymi na to pustkowiu przez moc, ktora juz odegrala pewna role w moim zyciu.

-Widze - odparlam szeptem. Wprawdzie najblizsza z ruchomych sylwetek znajdowala sie dosc daleko od kurhanu, na ktorym sie schronilismy, ale nie chcialem, by uslyszaly nas uszy bystrzejsze od moich.

Dziewczyna przysunela sie blizej i klekajac obok wielkiego glazu musnela ramieniem moje udo. W przycmionym, niebieskim swietle wygladala staro, jej twarz byla blada i sciagnieta. Wydawalo sie, ze wydarzenia tej nocy odebraly jej mlodosc i

dziewczecy wdziek. Utkwila we mnie wzrok.

-Sam widzisz... - Dostrzeglem w jej oczach zlosliwy blysk. -  
Przyszli po mnie! - Oparla rece na brzuchu, chroniac, oslaniajac  
dziecko, ktore rzekomo nosila w lonie. - Ja mam urodzic ich  
przyszlego pana. Oni o tym wiedza! Uciekaj, banito, ratuj sie,  
poki czas. Nawet ja nie zdolam cie obronic przed ich zemsta!

Najwyrazniej uwazala, ze nadeszla chwila triumfu sil, z ktorymi  
tak niebacznie sie zwiazala. Ja jednak nie zamierzalem uciekac.  
W przeciwnienstwie do Lynne nie mialem pewnosc, czy to, co  
zblizalo sie w mroku, bylo poteznym zastepem slug Ciemnosc.

Zakleta czara poruszyla mi sie w rekach. Przysiaglby, ze  
trzymalem ja mocno i nie mogla przemiescic sie przypadkiem.  
Odchylila sie ode mnie otworem i zwrocila ku mnie bokiem, na  
ktorym znajdowala sie twarz Lowcy. Te oczy... one widzialy!  
Spojrzaly na mnie. Nie moglem odwrocic od nich swojego  
wzroku, chociaz czulem, ze powinienem obserwowac istoty, ktore  
skradaly sie miedzy kurhanami. Zastanawiajac sie nad soba  
uwierzylem, ze zmienilem sie pod pewnym wzgledem,  
przestalem byc niedoswiadczone miodzikiem, ktory zawiodl  
swego pana i zostal przezen skazany na wygnanie. Teraz istotnie  
stawalem sie...

Nie! Usilowalem krzyknac glosno, wyzwolic sie spod wladczego  
spojrzenia oczu, ktore musialy byc - tak, musialy - tylko metalem.  
Wprawdzie zrecznie obrobionym, bo oczy wygladaly jak zywe,  
ale jednak metalem, nie byly wiec zywe, nie mogly siegac do  
mojego umyslu, przygotowujac tam miejsce... miejsce dla  
czego? Pytania bez odpowiedzi klebily sie w mej glowie.

Narastala we mnie jakas sila. Nie wylacznie sila, lecz jeszcze cos, pojawila sie jakas swiadomosc, ktora starala sie dopasowac swoja osobowosc do mojej. Ale ja nie bylem naczyniem, jakiego oczekiwala i potrzebowała. W moim umysle pozostala jakas bariera. Moja osobowosc, czastka bedaca Elronem, przywarla do tego muru obronnego, jak ostatni z druzyny wojownik, zdecydowany raczej zginac niz oddac posterunek nieznanemu napastnikowi.

Corka Garna milczala uparcie. Nie moglem zajrzec do ciemnych przesmykow miedzy kurhanami, ale wyczulem, ze wrog czesciowo sie wycofal. Mozliwe, ze lynne juz o tym wiedziala. Niebo pojasnialo mimo deszczu i chmur, gdyz zblizal sie ranek. Niebieskie swiatla zbladly i zgasly. Dopiero teraz zobaczylem wyryte gleboko w kamieniu symbole-runy. Nie moglem ich odczytac, tak bardzo roznily sie od naszych liter. Na przeciwleglym krancu glazu, po wschodniej jego stronie - moze nawet nad sercem tego, kto byl tu pogrzebany - ujrzałem zarys czary podobnej kształtem do daru Gunnory, lecz bez twarzy Rogatego Lowcy. Nad wizerunkiem naczynia dostrzegłem jeleni wieniec - rogi, ktore najwidoczniej byly ozdoba diademu jakiegos starozytnego wielmozy.

-Dartif o Podwojnym Mieczu...

Podniosłem do gory rozwarta dlon, jakbym pozdrawial wodza przed bitwa, chociaz niewiele o sobie wiedzielismy.

-To jakies imie? - Otulona w oponcze lynne spojrzala na mnie ponuro.

-Wypowiadam imie, pozdrawiam wielkiego pana - odparłem

swiadom, ze nie ja to robie, lecz ukryta we mnie sila. - To byla bitwa na Farthfell. - Omiotlem spojrzeniem ogromne cmentarzysko. - Kiedy sludzy Ciemnosci pod wodza Archona przybyli z polnocy i rog wojny wezwal wszystkie zastepy swiatla, tutaj stoczono ostatni boj. Walczyli i zgineli. Ich swiat sie skonczyl. W tej wojnie nikt nie zwyciezyl. Pozostalo po niej tylko wspomnienie lepszych czasow...

Opowiadalem to wszystko, ale zrozumialem dopiero wtedy, gdy skonczylem mowic. Ogarnal mnie wielki smutek, przemijajacy smutek, jaki umie wywolac zreczny Bard. Spiewa on o czynach wielkich wojownikow z przeszlosci, o zwyciestwach i kleskach, wzbudzajac w nas przekonanie, ze w dawnych czasach ludzie byli lepsi i silniejsi od nas, dajac nam przyklad bohaterow, z ktorymi mozemy sie porownywac i ktorych powinnismy nasladowac.

Albowiem ludziom potrzebne sa takie wzorce, chociaz gdy rozgladaja sie wokolo, widza tylko swoich malostkowych, podlych wspolplemiencow. Lecz jesli uwierza, iz kiedykolwiek istnieli prawdziwi bohaterowie, wielu postara sie im dorownac. Dlatego wlasnie sluchamy Bardow i niektorzy z nas placza w duchu, a innych chwyta gluchy gniew, ze zycie nie jest juz takie jak dawniej. Ale wspomnienia dodaja sily naszym ramionom i hartuja charakter i wole. I stajemy do walki, kiedy niebezpieczenstwo zagraza nam w naszych czasach. To Bardowie lacza przeszlosc z terazniejszoscia, dajac nam nadzieje. Nie bylem Bardem i nie wysluchalem opowiesci przy wtorze harfy. Mimo to spojrzalem na podobizne Rogowej Korony, wiedzac, ze nie moge sie rownac ze spoczywajacym pod nia wojownikiem, lecz nie czulem sie tez od niego gorszy, gdyz bylem kims innym i mialem w sobie zalazki

tego, czego sam dokonam w zyciu.

Wprawdzie ranek byl mglisty, ale siegalismy juz wzrokiem poza kurhany. Nic sie nie poruszalo miedzy nimi. To, co skradalo sie pod oslona nocy, odeszlo. Wyciagnalem reke do lynne na poly oczekujac, iz znow bedzie ze mna walczyc. Nie spodobala mi sie ta mysl.

-Dokad idziesz? - zapytala nie ruszajac sie z miejsca, dopoki nie polozylem jej reki na ramieniu i nie postawilem na nogi.

Nie bylem pewny, dokad pojdziemy. Rog gral na zachodzie i cos popychalo mnie w tamta strone, chociaz powinienem skierowac sie na wschod, gdyz na wschodzie byla dolina jej ojca.

-Na zachod... - odparlem w koncu.

Spojrzala poza mnie i obrzucila wzrokiem otoczenie Farthfell. Byl to otwarty, rozlegly teren, z rzadka porosly niewielkimi zagajnikami.

-Czy rzuciles wrozebne kamienie na szlak? - zapytala.

-Jeszcze nie slyszalem, zeby ktos wymienil moje imie rano przed bitwa - odwdzieczylem sie innym naszym wierzeniem. - Dlatego nie sadze, bym umarl dzisiaj. A poki czlowiek zyje, wszystko jest mozliwe.

-Wiazac mnie, tylko sam sobie szkodzisz. Sa tacy, ktorzy czekaja na mnie i na dziecko, ktore nosze w lonie. Pozwol mi odejsc. Nie jestem juz corka Garna. Jestem przyszla matka syna, ktory bedzie najpotezniejszym z ludzi. Wzruszyłem

ramionami. Wciąż wierzyła w iluzję, która podsunęła jej tamtą wiedźmą. Możliwe jednak, że nie była już dziewica. Wiedziałem tylko, że na jakiś czas splotły się nasze losy i że nie oddam jej siłom, z którymi walczyłem w Świątyni Księżyca.

Kiedy kreta ścieżka zeszliśmy z kurhanu Dartifa, zobaczyłem na niej mnóstwo śladów rozszczepionych kopyt, Wielkich łap, co więcej - niekształtnych, pazurzastych stop, podobnych do ludzkich, a nawet butów. Wszystkie tak głęboko się odcisnęły, jakby miały stać się dla nas ostrzeżeniem albo wręcz otwarta groźba.

Doszlismy tą ścieżką aż do strumienia. Tam zatrzymaliśmy się i zjedliśmy skromny posiłek z szybko kurczących się zapasów, ja zaś wreszcie napelnilem wodą manierkę. Należało też coś upolować, jeśli chciałem oddać widmo głodu.

Farthfell było dużą równiną rozciągającą się między dwoma łańcuchami górskimi. Wschodnie góry musiałem więc przebyć przed przygodą w czarnej wieży. Przyglądając się majaczącym na zachodzie szczytom, pomyślałem z niechęcią o kolejnej przeprawie, kiedy to jedynym przewodnikiem byłoby moje wewnętrzne przekonanie, że ta właśnie droga powinienem iść.

Ulewa zamieniła się w mżawkę. Moje odzienie i oponcza lynne szybko przemokły. Moglibyśmy schronić się w zaroślach, które zauważyłem ze szczytu kurhanu, woląłem jednak pozostać na otwartej przestrzeni. Wśród drzew zbyt często groziło mi niebezpieczeństwo.

Zawiesiłem manierkę u pasa z sakwą na ramieniu i wstałem. Lynne bynajmniej się nie spieszyło. Mokre włosy lepiły się jej do



głowy i ramion, wyglądała jak zjawą z jakiegoś dawnej opowieści. Bardzo chciałem ofiarować jej lepszy przyodziewek, lecz długiej sukni, ani krótkiej podróżnej szaty nie można wyczarować z trawy i krzaków.

-To szalenstwo! - Uderzyła pięścią w piasek. - Pusc mnie! Niczego w ten sposób nie osiągniesz, zwiększasz tylko ich nienawiść do siebie.

-Teraz nie trzymam cię siłą - odpowiedziałem zmęczonym głosem. Ta walka tak mnie wyczerpała, że najchętniej odszedłbym, pozostawiając ją jej losowi. Nie mogłem jednak tak postąpić.

-Wiesz mi! Do spółki z tym, który teraz jest w tobie, wiesz mi! - wybuchnęła podnosząc głos. - Obajście obaj zginiecie taką straszną śmiercią, jak Kryphon od Zakłetej Strzałki...

Wstała powoli, jakby opuściły ją siły, skierowała na zachód i zaczęła iść. Jej blada twarz stezła w grymasie niechęci. Oddaliliśmy się tylko trochę od strumienia, który przeszliśmy w brodzie, kiedy nagle Lynne podniosła głowę i zwróciła ją na północ. Wrocili jej siły. W nagłym przypływie energii odrzuciła oponczkę, jakby okrycie ciała nic dla niej nie znaczyło, i pomknęła niby strzałą. Jej smukłe nogi polyskiwały bielą jak u galopującego konia.

Zatrzymałem się tylko po to, by podnieść z ziemi oponczkę, a potem ciężko ruszyłem za nią. Miała nade mną przewagę, gdyż przeszkadzała mi w biegu kolczuga i ciężki miecz. Mimo to nie znikła mi z pola widzenia, a nawet udawało mi się zmniejszyć dzielącą nas odległość. Na szczęście trzymała się otwartej

przestrzeni. Byłoby gorzej, gdyby ukryła się w którymś z zagajników. Wydawało się jednak, iż zupełnie o mnie zapomniana. Przypuszczałem, że ten, kto ją już raz schwytał, teraz znowu zarzucił sieć czarów.

Teren się podnosił. Lynne bez trudu wbiegła na zbocze, czasami nawet przeskakiwała to jakieś szczeliny, to kamienie, wciąż do przodu. Zniknęła za szczytem góry, lecz ja uparcie wlokłem się za nią. Kiedy wreszcie i ja dotarłem na wierzchołek i spojrzałem w dół, na moment stanąłem jak wryty. Czekali na nas.

Zobaczyłem wiedźmę w czerni, która rzucała czary w Świątyni Księżyca. Towarzyszył jej jeden z latających potworów. Walczyłem z takim w pobliżu jego nory, tym razem jednak była to samica, znacznie wyższa od staruchy. Wprawdzie leniwie wachlowała się skrzydlami, lecz pazurzaste stopy mocno trzymała na ziemi. Z prawej stała inna postać i to na jej widok zwolniłem kroku.

Ujrzałem coś, co łączyło cechy człowieka i zwierzęcia, i to najgorsze cechy obu gatunków. Jego ciało od pasa w dół porastała szczeciniasta sierść, a nogi kończyły się wielkimi jak u byka kopytami. Równie ogromne i podobne do byczego miały przyrodzenie, tak rzucające się w oczy, jakby było dlan źródłem pychy albo swego rodzaju orezem. Powyżej pasa sierść rzedła, chociaż rosła gęściej na piersi, barkach i w górnej części ramion. Same ramiona były zbyt długie i zakończone wielkimi, zwisającymi nisko rękami. Ale najbardziej zaskoczyła mnie głowa i twarz tego stworzenia.

Osobliwie i jakos przerażająco przypominała oblicze zdobiące moją czarę. Tamto tchnęło szlachetnością, od tego zaś było zło.

Wydawało się, że jedna istota rozszczepiono na dwie części, wszystko, co dobre w jej naturze, gromadząc z jednej strony, a całe zło - z drugiej. Ten zwierozczek był przeciwieństwem Rogatego Pana - i nie nosił korony. Jeleni wieniec nie gorował nad jego gestymi rozczochranymi kudłami.

Odchyliwszy do tyłu głowę, wrzasnął przeraźliwie. Ten okrzyk był zwierozczym rykiem, a zarazem tryumfalnym śmiechem. Tymczasem stojąca obok niego wiedźma podniosła wysoko ręce, poruszając palcami jak czoleńkiem tkackim. Skrzydlata poczwara uśmiechnęła się, ukazując drugie kły.

lynne, zdając się nie dostrzegać zagrożenia, biegła w stronę niesamowitej trojcy. Dopiero potknawszy się o ukryty w trawie kamień, zwolniła nieco kroku. Znajdowałem się zbyt daleko, by ją zatrzymać. Zdając się na los, rzuciłem w ślad za nią zwiniętą mokra oponczę.

Oponczę rozwinięła się w powietrzu. Trafiłem lepiej, niż się spodziewałem, gdyż przemknęła nad głową dziewczyny, a potem spadła prosto na nią. lynne z rozpedu zrobiła jeszcze jeden duży krok, po czym przewróciła się oslepiona. Dobięgåłem do niej, podczas gdy lynne szamotała się z oponczę.

Śmiech zwierozczleka ucichł. Powietrze rozdarł skrzekliwy śpiew staruchy, każde z nich słowo, które wypowiedziała, zdawało się szarpać na kawałki niebo nad naszymi głowami.

Zwierozczek stał, szczerząc zęby, z rękami opartymi na kosmatych biodrach. Emanowało od niego zadufanie zabijaki, zwycięzcy w wielu bitwach. Był bardzo pewny siebie, a jego oczy płonęły czerwienią. Odniosłem wrażenie, że w tych oczodolach

nie tkwia zwyczajne organy wzroku, tylko jakies narzady naginajace swiat do jego woli.

Skrzydlatą poczwara zakolysała się i wspięła na palce, coraz szybciej i mocniej bijąc skrzydłami. Wyczulem, że szykuje się do ataku na mnie, i wyciągnąłem miecz.

Widok obnażonego brzeszczotu pobudził człekokształtą bestię do jeszcze głośniejszego rechotu. Z całej siły objąłem ramieniem Lynne. Gdyby podeszła do nich, gdyby tamto babsko położyło na niej ręce, byłaby ostatecznie zgubiona i nie wyzwoliłaby jej żadna moc, która mogłbym przywołać. Umarłoby wszystko, co było w niej dobre, czyste i ludzkie. Lepiej, żeby zginęła, niż miałaby dalej żyć taka, jaka by się wówczas stała. Śmierć była najcenniejszym darem, jaki mogłem jej teraz ofiarować. Jasno pojąłem, że trzy potwory wezmą ją wtedy, kiedy tylko im się to spodoba. Tak, lepiej poderznąć jej mieczem gardło...

-Zrób to, młody durniu! - Czerwone ślepia zwierozocleka rozbłysły. - Daj ją nam we krwi! Weźmiemy ją jeszcze chętniej! - dodał szyderczo.

A więc ich władza sięgała poza szybką i spokojną śmierć! Przeraziło mnie to do szpiku kości. Zarazem jednak nie mogłem od niego oderwać wzroku, chociaż bardzo się o to starałem. Był tak podobny do Lowcy, a jednocześnie taki zagubiony i zły. Ludzka natura zawiera dobro i zło. Wizerunek na czarze przyciągnął lepszą część mojej istoty. Ku tej istocie skłaniała się moja zła strona.

-To prawda. Jasno i szybko myślisz, głupcze. Będiesz mój, jeśli tego zechce. - I zrobił jakiś gest.

Ogień rozgorzał w moich ledzwiach. Zalala mnie fala pozadania tak silnego jak wtedy, gdy stanalem przed mieszkancem czarnej wiezy. Odrzucic na bok oponcze, posiasc dziewczyne, ktora obejmuje!... Zacisnalem dlon na rekojesci miecza tak mocno, ze wpila mi sie w cialo. Ten bol obudzil mnie z transu i zdolalem oderwac wzrok od wladczego spojrzenia czlekokształtnej bestii.

Poczulem, ze jednoczesnie zaciska sie wokol nas siec czarow, ktora tkala starucha. Ja - jesli bede mial szczescie - umre, ale los lynne bedzie znacznie gorszy.

I wowczas zwrocila sie do mnie sila, ktora zawladnela czescia mnie tej nocy spedzonej wsrod kurhanow. Moglem ja przyjac albo odtracic. Jezeli zechce zaakceptowac to, czym sie stalem, musze to zrobic calkowicie, do konca. Ale ja bylem tylko czlowiekiem i jako czlowiek krocylem wlasna droga. Zgodzic sie zostac narzedziem jakiegokolwiek mocy - dobrej czy zlej - czy to znaczy wyrzec sie samego siebie? Czas! Potrzebowalem czasu! Nie mialem go juz. Bez namyslu odchylilem glowe i spojrzalem w olowiane niebo, ktore zamknelo sie nad nami jak sklepienie zamkowego lochu. Cale nasze otoczenie stalo sie jednak szare, poszarzaly nawet liscie i trawa, wszystko, co zylo, przybralo barwe smierci.

Zwilzylem wargi jezykiem. Jeszcze przez chwile, tylko przez chwile, Ignalem do Elrona, ktorego znalem. Do Elrona, ktorym zawsze bylem. Potem zas zawolalem: - Hej, hola, Kurnusie!

Wydalo mi sie, ze schwycila mnie i wywrocila na nice potezna dlon, moja krew poplynela w inny sposob, a kosci sie przemiescily. Zatrzaslem sie od stop do glow, jakby szarpnal mna huraganowy wiatr. Straszny bol przeszl mi czaszke.

Widziałem jakis korytarz, w którym jeden zamach otworzył mnostwo zamkniętych dotąd drzwi, do wnętrza i na zewnątrz. To, co kryło się za nimi, wydostało się na wolność.

Kim byłem? Nie umiałbym powiedzieć. Usłyszałem i zobaczyłem to, czego nie umiałby określić słowami ani nazwać nikt z mojej rasy. Szarpiący, rozdzierający ból zlagodniał. Jak długo to trwało? Moją umęczony umysł odniósł wrażenie, że wiele dni.

Rozejrzałem się. Lynne przykucnieta u moich stop podnosiła na mnie nieprzytomne oczy; struzka sliny płynęła z kącika jej otwartych ust. Tamta trojka nadal zagrażała mi drogę. Jednak skrzydlata poczwara przestała się śmiechać, zwierzczyk zaś rechotać. Wyszczerył za to zęby i ogień plonął już nie tylko w jego oczach, lecz i wokół całej postaci.

Wiedzma, która Lynne nazwała Raidhan, ciągle trzymała uniesione do góry ręce, ale jej palce znieruchomiały, jakby utraciły siły. Nie wiem, co we mnie zobaczyli, ale moje serce zabiło mocniej. Sadziłem, że ulegając stracie wszystko. Stało się zupełnie inaczej - wszystko zyskałem. Teraz należało się pośpieszyć, zapomnieć o bogactwach ukrytych w umyśle dziecka, które było Elronem. Tak, dziecko, albowiem każdy człowiek, bez względu na wiek, jest dzieckiem, jeśli nie zna swoich możliwości. Później przyjdzie czas rozkoszować się tym, co zyskałem.

Spojrzałem w zachmurzone niebo i zawolałem: - Hola, Kurnusie!  
- Przebudzone we mnie zdolności sprawiły, że mój głos jak grom przetoczył się po okolicy.

I otrzymałem odpowiedź: granie rogu, rogu, który już nie

przywoływał, lecz tryumfalnie ogłaszał, że zdobycz nie tylko dostrzeżono, ale i osaczono. Byłem mieczem w dłoni Lowcy, a nie psem gonczym. A potem...

Przybył znikąd. Nie, nie znikąd, ale z innego miejsca przylegającego do tego świata, miejsca, które z czasem może także stać się moim domem. Był wysoki jak Garn. Jego kolczuge tworzyły ruchliwe zielone, brazowe i niebieskie plomyki, które okalały jego ciało barwną aurą. Moje przeczucia okazały się słuszne: wprawdzie twarz na boku zaklętej czary była tylko bladym odbiciem oblicza Pana w Rogowej Koronie, ale jego rysy niezbyt różniły się od rysów zwierzoczleka. W mgnieniu oka przypomniałem sobie słowa Gathej.

Jak w górze, tak i na dole. Każda Moc ma swoją jasną i ciemną stronę, gdyż muszą się równoważyć. Gdy ta równowaga ulega zakłóceniu i jedna z sił staje się potężniejsza od drugiej, wówczas wkracza Los, Przeznaczenie, potrzeba zachowania równowagi we wszystkim. Powrót do poprzedniego stanu bywa krwawy i straszny, ale prawo to obowiązuje we wszystkich światach.

Trojca potworów nie wycofała się. Monstra zaczęły pechnąć, rosnąć, wchłaniać w siebie coraz więcej substancji, nawet teraz usiłując dorównać Rogatemu Lowcy.

Nagle zauważyłem w powietrzu jakieś zawirowanie.

Bezmierna tęsknota ścisnęła mi serce na sam jej widok. Odziana w świetlistą szatę o barwie miodu i bursztynu stała naprzeciw staruchy z podniesioną głową, jak sprawująca sady wielka dama. A przecież... - W zwiedlej, pomarszczonej twarzy Raidhan

zauwazyłem pewne podobieństwo do mojej jantarowej pani.

Przybył też ktoś trzeci - jeszcze jedna skrzydlata istota. Nie wiem, jak wyglądała, gdyż był od niej taki blask, że nie mogłem na nią patrzeć. Poruszone jej skrzydłami powietrze przyniosło słodką won wiosennych kwiatów rozkwitających wśród ubiegłorocznych liści.

-Jak w gorze, tak na dole - powiedziałem cicho. Katem oka zauwazyłem obok siebie jakiś ruch. Lynne powstała i wyciągnęła przed siebie rękę, jakby szukając jakiegoś oparcia. Ująłem jej dłoń. Była lodowato zimna i dziewczyna drżała jak pod podmuchami lodowatego wiatru.

## Rozdział XVIII

I tak stali naprzeciw siebie - Światło i Ciemność. Wprawdzie Lynne i ja nie wzięliśmy udziału w tym spotkaniu, ale dzięki wiezi z przeszłości, która powstała w moim umyśle, zrozumiałem, że walka między nimi nie rozpoczęła się dzisiaj. W tej przepojonej magią krainie naruszenie równowagi nastąpiło dawno temu i raz gość brało Światło, a raz Ciemność. Przybycie moich współplemięnców może kolejny raz przechylic szalę i doprowadzić do wybuchu niewyobrażalnie straszliwej wojny, jakiej nikt z nich nie mógłby sobie wyobrazić. Gunnora... O, tak, do końca życia będzie działał na mnie jej czar. Zdałem sobie sprawę, że odtąd zawsze będę łgał do rzeczy i spraw jej podległych, gdyż jej zawdzięczam jakąś część mojej istoty. Pozostała część, wraz z całą resztą, stała się sługą i wasalem Kurnusa, Pana w Rogowej Koronie. Z własnej woli złożyłem mu hołd i nie żałowałem tego wyboru. Miał bowiem takie same cechy, które wcześniej dostrzegłem i wysoko ceniłem u Barda



Ouse i Mieczowych Braci. W owej chwili zacząłem się zastanawiać, czy cała nasza wędrowka była rzeczywiście rezultatem dokonanego przez nas wyboru, czy też w jakiś sposób zostaliśmy wezwani, by doprowadzić do ponownego przechyłu szal odwiecznej wagi.

W jaki sposób przejawiały się zdolności i talenty tych, którzy stali teraz naprzeciw siebie? Czy rzeczywiście potrzebowali innych istot, niepodobnych do nich i z nimi nie spokrewnionych, by wybrać odpowiednie miejsce i czas do przywrócenia równowagi? High Hallack był opustoszałą krainą; czy Dawny Lud wymarł i ci tutaj zamierzają walczyć ze sobą o władzę nad moimi pobratymcami?

Kiedy tak rozmyślałem, niesmiertelni rozmawiali ze sobą. Objąłem ramieniem Lynne, która nie mogła utrzymać się na nogach i oparła się o mnie. Czy tamta trojka potworów wyssała z niej sily po to, by zaspokoic swój głód mocy? Raidhan opuściła bezsilnie ręce, tak że ukryły się w obszernych rekawach jej czarnej sukni. Skrzydlata poczwara wykrzywiła się i splunęła: plwocina spadła na ziemię w pobliżu stop świecacej postaci, która była jej przeciwieństwem i od której był tak mocny blask, że nie mogły go przeniknąć oczy śmiertelników.

-Znow nadeszła decydująca chwila...

Czy te słowa dotarły do moich uszu, czy też zadzwieczyły w moim umyśle? Wypowiedział je Kurnus, który zbliżył się o krok do zwierzoczleka.

-Rzuciles mi wyzwanie, Kuntifie, więc odpowiadam na nie. Nie otworzysz znow swojej bramy!

-Za to ty otworzyłeś aż za wiele bram, rogakzu - warknął wściekle jego przeciwnik. - Teraz wprowadzasz do gry nowe pionki. Czyż nie jest to od dawna zabronione? - Wskazał na mnie. - Ponieważ nieliczni ocalałe mieszkańcy opuścili tę krainę, a wszyscy bohaterowie zginęli, więc przyzywasz słabszych od nich ludzi i usiłujesz uczynić z nich nowych wasali. To niezgodne z przysięgą...

-Niezdane z przysięgą? - To przemówiła Gunnora, uprzedzając Lowce. - Przecież to ty pierwszy chciałeś się nim posłużyć, a raczej zamierzała to zrobić twoja towarzyszka? Ty, który wezwales go za pomocą nie należącej do ciebie czary, żeby doprowadzić do skutku swoje nieczyste zamiary?! Nie pozwolimy, żeby dziecko-demon urodziło się w Arvonie! A ty, Raidhan, twój podstęp się nie udał i twoja ofiara uwolniono z sieci iluzji, które utkalas. Pomimo twoich wysiłków nadal jest dziewczyna, a nie naczyniem dla zła.

Ze strony świetlistej postaci usłyszałem melodyjne dźwięki brzmiące jak najpiękniejsza piosenka, cudowne trele, podnoszące słuchacza na duchu. Wtedy ta, która była żalosną karykaturą swojej przeciwniczki, zgarbiła się tak, że czubki jej skrzydeł ukryły się w wysokiej trawie.

-Tak, bramy się otworzyły - powiedział spokojnie Pan w Koronie z Rogów. - Kiedy bowiem nadchodzi czas przemieszczenia sił, wtedy wzywamy tych, którzy mogą nas usłyszeć. I z nich może się zrodzić nowy początek. Długo byliśmy zupełnie sami w opustoszałej krainie. Nie ze wszystkimi można nawiązać kontakt, ale zawsze gdzieś jest żywa ziemia czekająca na odpowiednie ziarno. Otrzymują wybór i dokonają go w swobodzie i dobrowolnie, gdyż mają do tego prawo jak wszystkie żywe

stworzenia.

-Ta dziewczyna już wybrała! - Raidhan wskazała koscistym palcem na Lynne.

Objąłem mocniej córkę Garna. Nie pojedzie do tamtej nikczemnej trojki!

-Nie wybrała dobrowolnie, gdyż nic nie rozumiała - odparowała Gunnora. - Czy sadzisz, że nie wiem, w jaki sposób schwytalas ją w pułapkę? Ona nie ma w sobie iskry, która samodzielnie by rozgorzała płomieniem prawdziwego wyboru! Spojrz, czyż tak nie jest? - Zwróciła się w naszą stronę i wyciągnęła rękę.

Zapałem tak gwałtowna zadza, że obawiałem się, iż upadnę. Ale Lynne krzyknęła, jakby spadł na nią mocny cios, obróciła się w moich objęciach i ukryła mi twarz na piersi. Wydawało się, że odwraca się od widoku, którego nie może znieść.

-Chciałaś się nią posłużyć nie pozostawiając jej swobody wyboru! - Dostrzegłem litość w oczach Gunnory. - Chciałaś doprowadzić do Wielkiego Tajemnego Zespolenia pomiędzy swoimi złymi mocami a pustym naczyniem, żywa istota, która zamierzała upodlić, odbierając jej to, co należy do Światła!

Jeszcze raz spojrzała na staruchę.

-Tworzymy Trojce i żadne wypaczenie Wiedzy nie może tego zmienić. Ale my wszystkie - ty, ja i Dians - zobowiązaliśmy się dotrzymać przysięgi. W przeciwnym razie odpowiemy za to.

-Już kiedyś doszło do wojny między Światłem i Ciemnością. -

Teraz Kurnus poprowadził atak. - Jej rezultatem była śmierć i zniszczenie. Ten kraj opustoszał, a my prawie się wyczerpalismy i omal nas stąd nie wygnano. Jego nowi mieszkańcy muszą sami podejmować decyzje.

-Ja mam swoje miejsce i moc. Nie możesz mi tego odebrać! - wybuchnął zwierzęczek.

-Czyżbym zamierzał to zrobić? Oni muszą mieć swobodę wyboru. Ci, których zdołasz jawnie wyzyskać, zostaną twoimi wasalami, ponieważ różnica wśród nich tacy; którzy odpowiadają tylko na twoje wezwanie. Tych dwoje już wybrało...

-Ona nie wybrała. Sama to powiedziała! - warknęła do Gunnory Raidhan.

-W pewien sposób tego dokonała. Należy do tych, z którymi nie możemy nawiązać kontaktu, gdyż ich umysły są dla nas zamknięte. Nie wolno rzucać na nich czarów, bo obawiają się tego najbardziej na świecie. Wezwij ją teraz, ale bez pomocy magii! - rozkazała Gunnora.

Na czole wiedźmy osiadła prawdziwa chmura gradowa. Reki jej sukni zafalowały: poruszyła rękami, lecz nie wykonała żadnego rytualnego gestu. Może przyznała rację mojej bursztynowej pani.

-Czy widzisz? - W głosie Gunnory zabrzmiała dziwna nuta, czyżby łitość?! Może żyła jakieś cieplejsze uczucia do tej kosałowej, wychudzonej i brzydkiej jak noc kobiety? - Trzeba naprawić to, co się stało. Teraz!

Wyczulem koncentrująca się wokół niej moc, a bijący od jej ciała złoty blask pociemniał. Starucha zachwiała się i cofnęła o krok. Dosłownie pienila się z wściekłości. Wykrzywiła usta, jakby chciała plunąć jadem. Po chwili jednak zgarbiła się, jak przygnieciona brzemieniem lat. Podniosła ręce gwałtownym ruchem. Wyczulem, że toczy zaciętą walkę z potężniejszą od niej siłą. Gunnora nie miała z tym nic wspólnego. Podział dokonywał się w niej samej, wyrównując szale. Starucha zmagala się z pragnieniem zdobycia większej mocy.

Później wymówiła cztery słowa, a każdemu towarzyszył głośny grzmot i huk. Wydawało się, że ziemia i niebo zamieniły się miejscami i na mgnienie oka nałożyły na siebie. A później znów znaleźliśmy się w jednym miejscu i czasie.

Naraz drgnąłem. Obejmowałem ramieniem - powietrze! Lynne zniknęła. Krzyknąłem głośno i Gunnora szybko spojrzała na mnie.

-Nie obawiaj się o nią, gdyż wróciła do swojej rodziny. Nie będzie nic pamiętała. A to, że nie nosi w łonie potwornego dziecka, które zgubiłoby nas wszystkich - to wyłącznie twoja zasługa. Raduj się!

-Nie zwyciężyłeś! - ryknął zwierzoczek. Ton jego głosu obiecywał rozlew krwi i straszna śmierć. - To jeszcze nie koniec!

Kurnus pokręcił głową.

-Zaden z nas nigdy nie zwycięży. W przyszłości będziesz ciągle ponawiał próby, ale zawsze znajdzie się ktoś, kto stanie do walki z tobą. I równowaga zostanie zachowana.

-Nie na zawsze! - Kuntif przesunął rękę po ciele gwałtownym ruchem, jakby odpychał coś z wściekłością.

I zniknął!

Wiedźma wyszczerzyła resztki zębów w szyderczym uśmiechu.

-Nie na zawsze! - powtórzyła. Obszerne rękawy czarnej sukni smagnęły, jej ciało. Okutana w czern, zaczęła się zmniejszać, aż w końcu skurczyła się do rozmiarów liścia i niewyczuwalny podmuch unosił ją w nicosc.

Skrzydłata poczwara wrzasnęła chrapliwie, rozwinęła skrzydła, uniosła się w powietrze i pomknęła jak strzala. Świetlista istota poleciała za nią.

Pozostała dwójka niesmiertelnych zwróciła się do mnie. Zbyt wiele było we mnie z wcześniejszego, młodszego i niedoświadczonego Elrona, bym nie zapytał:

-Czy Ciemność będzie mogła tutaj grasować? Jaki zatem los czeka mój lud?

-Światło nie istnieje bez ciemności. Gdyby jej nie było, jakże mogłbyś ocenić światło i go pragnąć? - odpowiedział mi pytaniem Kurnus. - Sam słyszałeś, jak mówiłem, że ten kraj niemal opustoszał. Wśród twoich współplemięnców narodzi się tacy, którzy nawiążą z nami kontakt. Ze Światłem i Ciemnością. Wybór będzie należał tylko do nich. Reszta zaś pozostanie w nieswiadomości, gdyż nie oni będą tymi, którzy szukają...

Pomyślałem teraz o mieszkańcu czarnej wieży i wydało mi się, że

w takim razie można dobrze nazwać złem, skoro coś takiego wabiło bez przeszkód swoje ofiary, bez przeszkód ze strony tych, którzy mogą pomóc...

-Nie bez przeszkód...

Zaczęłam wierzyć, że między nami słowa są niepotrzebne. To był mój pan, którego sam wybrałam na resztę życia. Przeczuwałam jednak, że nadejdzie dla mnie chwila dreczacego niepokoju, gdy będzie mi się wydawało, że dobro mogło wiele zdziałać, a mimo to nic nie zrobiło.

-Moc zależy od równowagi sił - tłumaczył mi Kurnus. - Czy nie rozumiesz, że jeśli ktoś zgromadzi zbyt wiele mocy, niezależnie od tego, czy jest Światłem czy Ciemnością, przechyli szalę i chaos zapanuje na ziemi? Zrozumieliśmy to już dawno temu i ta lekcja drogo nas kosztowała. Ten kraj był niegdyś wielki i silny, dopóki nie została zakłócona równowaga. Odbudowa zajmie wiele czasu. I niejednemu raz będzie się wydawało, iż przekracza to siły tych, którzy się tego podejmą. Twoi współplemięcy spróbują to zrobić, gdyż tkwią w nich zalazki wielkości. Stanięcie się potężniejsi, niż moglibyście rościć w najśmielszych marzeniach.

Mówił prawdę i wiedziałem o tym, ale pozostała we mnie czysto ludzka niecierpliwość.

-Czy Lynn rzeczywiście nic nie grozi?

-Obudzi się w tym samym miejscu, z którego ją porwano. Po przybyciu twojego ludu, Raidhan zastawiła w tamtej świątyni pułapkę. Lecz jej zamiary spełzły na niczym. Kiedy przywołała czarę, ty, który już odcisnąłeś na niej swoje piętno, przybyłeś

także. Na czas twojego życia należy do ciebie - wyjaśniła Gunnora. Coś się zmieniło. Ogromne wrażenie, jakie dotąd na mnie wywierała, osłabło. Patrzyłem na nią i czułem się szczęśliwy w jakiś nie znany mi sposób, przestała palić mnie gwałtowna złość. Bogini uśmiechnęła się do mnie.

-Nie teraz... Tak, poznasz pozadanie i zaspokojenie, lecz w odpowiednim miejscu i z kims, kto je z toba podzieli.

-Gathea i Gruu?

Kurnus już się nie uśmiechał. Patrzył na mnie jak senior na wasala w przeddzień boju, jakby chciał się upewnić, że jestem przygotowany i dobrze uzbrojony.

-Czara jest twoja, a reszta zależy od ciebie. Znowu powstaje kwestia wolnego wyboru dla was obojga. Czy zechcesz poddać się próbie wiedzy, że możesz zostać odtracony? A może zaakceptujesz wyroki Losu, dobre lub złe?

Nie rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć, ale wiedziałem, czego najbardziej pragnąłem w owej chwili.

-Gathea i Gruu mogą mnie potrzebować. Chciałbym udać się do nich.

-Dobrze, sam wybrales. Idź więc i rob, co ci serce kaze!

Nie przenosił mnie powietrzny wir, ani nie wyrosły mi nagle skrzydła. Otoczył mnie mrok. Przez moment wydawało mi się, że znowu trafiłem do czarnej wieży. Potem zrobiło się jasno i zobaczyłem zalany księżycem krajobraz.



Znalazłem się przed Świątynią Księżyca. To nie był dobrze mi znany przybytek w pobliżu doliny Garna ani ponure miejsce, w którym Raidhan usiłowała znaleźć pomocników dla swoich ohydnych czarów. Ta jarzyła się czystym światłem i dorównywała blaskiem tamtej świątyni, w której Lynne czekała na poohanbienie i śmierć duszy. Może tu także chodziło o równowagę szal?

Ta, której szukałem, stała przed kamiennym ołtarzem. Jej ciało lśniło srebrzystobiałą poświatą księżyca, ponieważ odrzuciła wszelki stroj i kapłała się w jego promieniach, przyciągając do siebie, żywa w tym miejscu moc. Nad ołtarzem zawisł snop światła, osłaniający dostrzegalną ledwie postać.

Uniosłszy do góry ramiona Gathea wielbiła swoją boginię z zamkniętymi oczami. Na jej twarzy malowała się bezbrzeżna tęsknota. Moje palce powędrowały do sprzaczek i rzemyków. Najpierw zdjąłem kolczugę i odpiałem pas, potem pozbyłem się całej reszty. Po chwili ja też miałem tylko srebrzysty blask, zaklęta czarę, a w niej liśc otrzymany od zielonej kobiety. Podsunęła mi to pamięć i nakazał impuls.

Kiedy zbliżyłem się do świątyni, światło przede mną zgestniało, stawiało opór, atakowało mój umysł. To był sprzeciw wobec tego, co niosłem i co zamierzałem zrobić. Zza świetlnej zasłony wynurzyło się srebrzyste ciało Gruu. Nie zauważyłem go, choć leżał między dwiema kolumnami tuż przede mną. Wielki kot zmarszczył wargi w bezgłosnym, ostrzegawczym warknięciu. Jego oczy, które w tym świetle błyszczwały jak drogie kamienie, na chwilę spoczęły na zaklętej czarze, a potem spotkały się z moimi. Przemówiłem do niego w myśli, zapewniając kota, który był kims więcej niż kotem - o jego miejscu w moim życiu, życiu, które będzie nasze na całą przyszłość.

-To moje prawo i jej decyzja.

Gruu odszedl na bok, a ja wkroczyłem do Swiatyni Ksiezyca.

Tak wiele mocy! Uderzala we mnie, czulem jej chlodny nacisk na moje cialo. Czulem sie, jakbym wpadl w cierniste krzaki.

Chcialem pobiec, ale z wysilkiem zrobilem jeden krok, potem drugi. W lewym reku trzymalem na wysokosci serca zakleta czare, w prawym zas cieply lisc.

Gathea odwrocila sie nagle, jakby jakis ostrzegawczy podmuch przebil sie przez pogodne czary wypelniajace to miejsce.

Otworzyła szerzej oczy i podniosla reke, nakazujac mi odejsc.

Lecz ja wiedzialem, co nalezy zrobic, gdyz dokonalem juz wyboru, ona zas dopiero miala to uczynic. Wrzucilem lisc do czary. Lezal tam tylko przez moment, po czym powoli sie roztopil i wirujac wypelnil naczynie prawie po brzegi - dar natury, ktory mial poblogoslawic te chwile.

Przyklaklem na jedno kolano niczym wasal skladajacy hold swojej pani. Czyzby cos lekko uciskalo mi glowe? Tak, ale choc gotow bylem nosic korone, nie ja ja tam umieszczze.

Gathea wskazala na mnie palcem.

-Odejdz! - rozkazala z moca, ale w jej glosie zabrzmiala nuta strachu. Ten rozkaz zwiekszył nacisk na moje cialo. Jezeli Gathea sie nie ugnie, zostane wypedzony z tego miejsca i odtad juz nigdy zadne z nas nie bedzie w pelni soba. Zawsze bedziemy odczuwali jakis brak i pragneli nie wiedzac, czego pragniemy, dopoki nie przejdziemy przez Ostatnia Brame.

-Dians! - Kiedy nie posлуhałem jej rozkazu, dziewczyna odwróciła się w stronę ołtarza i wiszącego nad nim snopu światła.

Dostrzegłem w nim jej boginię - niewyraźnie zamajaczył cień smukłej, dziewczęcej postaci. Nie sądzę, żeby jakikolwiek mężczyzna mógł zobaczyć Dians taką, jaka była naprawdę. Na mglistej twarzy malował się taki sam wyraz jak na twarzy Gathej: nieruchome, dumne oblicze dziewicy wiernej słubom przeciwnym rozkwitowi życia.

-Dians! - powtórzyła dziewczyna.

Od bogini wionęło chłodem, wyczułem cień wrogości. Siegnawszy do świeżo zdobytej wiedzy przypomniałem sobie, że Dians mogła zabić mężczyznę, który uwiodł albo wziął przemocą kogoś z jej kapłanek.

Ja jednak nie odwoływałem się do nikogo i do niczego. W tej walce muszę zwyciężyć własnymi siłami.

-Dians! - Czyżby w głosie Gathej zabrzmiała pytająca nuta, a nie lek?

Nad czarą, unosząc się spiralnie z powstałego z liścia napoju, skupiła się złocista mgielka o barwie szaty Gunnory. Później przybrała kolor bursztynu i mocny zapach wypełnił przestrzeń między mną a Gatheą.

-Dians... - To już nie było wołanie, tylko szepta pełen rozczarowania. Dziewczyna odwróciła się od srebrzystej postaci i spojrzała na mnie. Przemówiłem, używając rytualnych słów z obrzędu starszego niż historia mojej rasy:

-Pole czeka na nasienie, moc Pani Ksiezycyca przygotowuje pole dla nasienia. Nadchodzi ten, kto ma obowiazek przebudzic ziarno, by wydalo plon. On zas bedzie pokarmem dla ciala, umyslu i duszy.

Gathea podeszla do mnie niechetnie, krok za krokiem. Na jej twarzy odbijala sie wewnetrzna walka. Wybor nalezal do niej. Nie moglem tego zrobic za nia, musiala przyjsc do mnie i to dobrowolnie.

Dluga chwile stala tak blisko mnie, ze wyciagnieta reka moglbym dotknac jej miekkiego ciala. I popelnilem blad. Moc przechodzi z mezczyzny do dziewczicy i z nowo powstalej kobiety z powrotem do mezczyzny. Tylko wtedy, gdy wszystko dokona sie zgodnie z prastarym obyczajem, calosc bedzie wieksza niz czesci skladowe. Lecz to Gathea miala podjac decyzje.

-Dians... - dobiegl mnie cichy szept. Srebrne swiatlo wokol nas pulsowalo raz goraca, raz zimna fala, jak gdyby odzwierciedlajac stan ducha Gathej.

Spojrzala mi gleboko w oczy. Nic nie powiedziala. Nie wiem, co chciala w nich zobaczyc i czy rzeczywiscie umiala to w nich odnalezc. Powoli podniosla rece, opuszczone dotad bezwladnie... Czy wyrwie mi czare? - pomyslalem. A moze dokonala innego wyboru?

Jej palce objely czare tuz powyzej moich, prawie na krawedzi i mocno sie zacisnely. Pozniej wyjela mi ja z reki. Wtedy nachylilem sie nieco nizej i dotknałem jej srebrzystych stop, wypowiadajac starozytna formule:

-Ci, którzy szukają, znajdą, i wspaniały będzie to skarb. W Dziewicy kryje się Królowa i pozdrawiam ją w imieniu Pani Księżycy, tak jak pozdrawiam ciebie.

Uniosłem ręce i oparłem je tam, gdzie smukłe uda Gathej łączyły się z jej ciałem.

-W Dziewicy ziarno czeka na czas plonów. Pozdrawiam cię tak w imieniu Pani Księżycy.

Wstałem i dotknąłem jej małych, twardych piersi.

-W Dziewicy czeka Niewiasta na sposobny czas. Pozdrawiam się tak w imieniu Pani Księżycy.

Gathea trzymała teraz czare między naszymi ustami. W jej oczach dostrzegłem zdumienie - i coś jeszcze...

Napilem się z czarą, która mi podał, a potem ona zrobiła to samo. Razem wysaczyliśmy napój. Gathea odrzuciła za siebie puste naczynie, które nie upadło na kamienną posadzkę, ale przeleciało w powietrzu i znalazło się na ołtarzu. Świetlista kolumna zmieniła barwę ze srebrzystej na złotą. Wziąłem Gatheę w ramiona. Pocalunek, który jej ofiarowałem - a obiecała mi to Gunnora - miał przypieczętować mój los i usunąć ostatnią przeszkodę.

W złocistym blasku i ciepłe zapomnieliśmy o wszystkim. Pozostała tylko kapłanka i Pani Księżycy, mężczyzna i Pan w Koronie z Jelenich Rogów. Z ich związku narodzi się moc i z jej pomocą będzie można wiele dokonać. Kiedy zaś posiadam tę, która już nigdy nie pojedzie jałową drogą Dians, poczułem na

glowie ciezar Rogowej Korony.

This file was created with BookDesigner program

[bookdesigner@the-ebook.org](mailto:bookdesigner@the-ebook.org)

2010-01-23

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; [msh-tools.com/ebook/](http://msh-tools.com/ebook/)